BEZPIEKA KONTRA OPOZYCJONISTA

Cenckiewicz o śp. Józefie Szylerze, na którego donosił TW „Bolek”

Dodatek specjalny: Ideologia LGBT na uczelniach – jak się przed nią bronić?

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 16/421 19–25 KWIETNIA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DANE O COVID-19 NIE KŁAMIĄ: Z LOCKDOWNEM CZY BEZ – NA JEDNO WYCHODZI

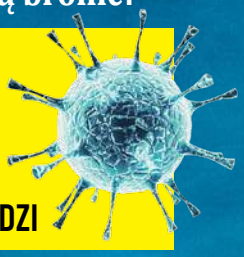

Warzecha: Nowy Polski Ład to cios w rodzącą się polską klasę średnią

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

BOLSZEWIZM 2.0

Szczepan Twardoch i inni dziennikarze „GW” piszą na nowo historię Polski

• Pańszczyzna jak niewolnictwo?

• Kresy jak kolonie?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 16 >

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

ORLEN
ORLEN
WRAP
ZA 5 ZŁ
GDY TANKUJESZ
ZA MIN. 100 ZŁ*
* Promocja trwa 1-30 kwietnia 2021 r. i dotyczy zarejestrowanych użytkowników karty VITAY i aplikacji ORLEN VITAY oraz osób płacących ORLEN PAY, kartą flotową lub e-kartą flotową. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować kupon promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Upadek rzecznika

Wygląda na to, że męczarnie z odejściem radykalnego lewicowca, występującego w roli rzecznika praw obywatelskich, Adama Bodnara, potrwają na szczęście już tylko trzy miesiące. Wreszcie! Wynika to jasno z wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który w czwartek ogłosił rzecz oczywistą: koniec kadencji to… koniec kadencji. Jeśli konstytucja przewiduje, że „Rzecznik Praw Obywatelskich jest powoływany przez Sejm za zgodą Senatu na 5 lat", to oznacza to dokładnie to, co oznacza: po upłynięciu terminu pięciu lat Adam Bodnar przestaje pełnić swoją funkcję. Jakkolwiek by się biedak upierał, ile by ekspertyz przedstawił, ilu usłużnych profesorów prawa znalazł, którzy będą twierdzić, że pięć lat to pięć lat w ogóle, ale w szczególe (kiedy rządzi PiS) pięć lat może trwać sześć lat lub siedem lub osiem, to sprawa jest i tak dla opozycji przegrana. Są granice gwałtu na rozumie i języku, których nawet sprawni propagandyści nie są w stanie przekroczyć.

Obecny stan rzeczy pokazuje, nie jest to jedyny przypadek, jak często nieprzemyślaną konstrukcję polityczną stworzyli autorzy konstytucji. Po prostu nie przewidzieli sytuacji konfliktów i sporów, kiedy to różne władze i instytucje zamiast współpracować, będą się blokować. Tak jest teraz, kiedy to inaczej wygląda większość w Sejmie, a inaczej w Senacie, i dlatego nie daje się uzgodnić kandydata obu izb. Zresztą nie przewidzieli też zapewne, że urząd rzecznika wszystkich obywateli w relacjach z władzą przekształci się w instrument promowania lewackich, genderowych i tęczowych ideologii. W tej sytuacji decyzja Trybunału, by Sejm w trzy miesiące uchwalił ustawę o „tymczasowym pełnieniu funkcji", wydaje się posunięciem roztropnym.

Rozstrzygnięcie to wywołało oskarżenia i ataki. Jak zwykle można było liczyć na silną grupę posłanek, które wyróżniają się ponadprzeciętną, nawet jak na możliwości ogółu polityków, nazwijmy to tak, skłonnością do histeryzowania. Tym razem pierwsze miejsce w kategorii najgłośniej/najgłupiej zajęła posłanka KO Klaudia Jachira. Obserwując rozprawę przed TK, stwierdziła: „Czy tak wyglądały procesy stalinowskie?". Słowa te nasuwają mi inne pytanie: „Czy tak wyglądają osoby o kurzym móżdżku?". Jest ono równie właściwe jak to, które zadała pani poseł.

A poważnie: zgodnie z decyzją TK Sejm ma uchwalić ustawę, która określi, co się stanie w sytuacji, gdy kadencja urzędnika wygasa, a nie ma wybranego następcy. Przeciwnicy tego rozwiązania (ci, którzy są w stanie argumentować, a nie krzyczeć) mówią, że „skoro to konstytucja reguluje wybór RPO i nie przewiduje żadnego »tymczasowego« Rzecznika, to de facto TK nakazał obejście konstytucji zwykłą ustawą" – jak przeczytałem na jednym z opozycyjnych portali. Zabawne. Przecież z zasady Trybunał musi dokonywać interpretacji niejasnych bądź dwuznacznych sytuacji prawnych. W innym przypadku byłby niepotrzebny. Jeśli zatem konstytucja uznała, że kadencja upływa po pięciu latach, i nie przewidziała trybu powołania rzecznika w sytuacji konfliktu między Sejmem a Senatem, to ustawa o „tymczasowym" rzeczniku jest jedynym sensownym rozwiązaniem. Nie jest to „obejście", ale doprecyzowanie. W przeciwnym wypadku należałoby uznać, że niemożność powołania rzecznika pociąga likwidację tego urzędu.

Zanim zapadł wyrok TK, Adam Bodnar występował w środę w Senacie, który to szczególnie docenił jego działalność, przyjmując specjalną uchwałę. Rzecznik Bodnar miał tam okazję – który to raz z rzędu? – by pokazać, że jednak nie całkiem zapomniał o tym, co znaczą określenia „bezstronność" i „szacunek dla prawa". Kolejny raz z tej okazji nie skorzystał. Występując przed senatorami, stwierdził: „Dyskutujemy w czasach, kiedy np. dowiadujemy się z mediów, że aktywistka – wybitna, znana wszystkim Marta Lempart" itd. Doprawdy, ogłoszenie, że pani, która nawołuje publicznie do przemocy, szczuje na przeciwników politycznych, nie waha się używać haseł brutalnych i wulgarnych, atakujących chronione przez prawo wartości, jest „wybitną, znaną wszystkim aktywistką", jest najlepszym świadectwem upadku Adama Bodnara. Żeby to dostrzec, nie trzeba było czekać aż do wystąpienia w Senacie. Wystarczyło przyjrzeć się jego innym interwencjom (choćby w sprawie drukarza z Łodzi, którego chciał zmusić do działania sprzecznego z sumieniem), czy karierze namaszczonej przez niego europosłanki Sylwii Spurek.

Cóż, gdyby Bodnara potraktować tak, jak robi to ze swoim oponentami pani Lempart, powinno się w stosunku do niego użyć słowa z gwiazdkami. Ale że żyjemy w systemie demokratycznym, jeszcze przez trzy miesiące będzie mógł używać urzędu do celów, które z ochroną praw obywatelskich nie mają nic wspólnego. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 06d3422e85

TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
KSERONIEWOLNICTWO TWARDOCHA
Antyszlachecki resentyment

17 PIOTR ZYCHOWICZ
NIE BYLIŚMY KOLONIZATORAMI!

KRAJ

20 KAMILA BARANOWSKA
CO CZEKA PIS?
Rozpad, wybory czy trwanie?

23 ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM
BĘDZIEMY PROWADZIĆ ZE ZJEDNOCZONĄ PRAWICĄ „HANDEL WYMIENNY"

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
PRAWA PRZECIWKO LUDZIOM

28 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
JAK SEMKOWIE POLSKĘ WYBRALI

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
ŻYCIE TO POMAGANIE

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
OKRUCHY KLARY
Nowa książka laureata Literackiej Nagrody Nobla

34 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
KINEMATOGRAFIA W PRL

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

DODATEK SPECJALNY

43
IDEOLOGIA LGBT NA UCZELNIACH

OPINIE

60 TOMASZ CUKIERNIK
LOCKDOWN NIE DZIAŁA
Obostrzenia nic nie dają?

64 JAN FIEDORCZUK
NA PRAWO OD PIS?

HISTORIA

66 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
ROBOTNICZY ARYSTOKRATA
Józef Szyler (1944–2021)

70 ROZMOWA Z JACKIEM KOMUDĄ
ZAWISZA BYŁ POCZCIWY

ŚWIAT

74 TERESA STYLIŃSKA
KRÓLOWIE NA WALIZKACH
Po śmierci księcia Filipa

78 JACEK PRZYBYLSKI
CZY BIDEN POSKROMI PUTINA

80 ROZMOWA Z MIKLÓSEM CSESZNEKYM
ZROZUMIEĆ ORBÁNA

82 PIOTR WŁOCZYK
MAO PRAWDY

EKONOMIA

84 ŁUKASZ WARZECHA
CIOS W KLASĘ ŚREDNIĄ
Nowy Polski Ład jak yeti?

SPORT

90 ŁUKASZ MAJCHRZYK
BÓL ZWYCIĘSTWA
Zdrowie niszczone przez sport

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
WALKA O LEKI I ODDECH
Debata „Do Rzeczy": IPF w dobie COVID

FELIETONY:

SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK, JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (69), PRZYBYLSKI (77), GABRYEL, WARZECHA (87), KOMUDA (94), ZALEWSKI, WOŁCZYK (96), SIEDLECKA (97), CEJROWSKI (98)

eprasa.pl 06d3422e85

PRODUKT POLSKI

Polski Cukier

LAUR KONSUMENTA 2020

Daje początek
polskim
wypiekom.

eprasa.pl 05d3422e85

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk, Paweł Żdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **na podst. „Bocianów" Józefa Chełmońskiego i fot. Jana Graczyńskiego/East News; oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA
FIRMA RODZINNA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Korespondencję elektroniczną do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Do Rzeczy" w anglojęzycznej Wikipedii

[...] O ile charakter pisma na wikipedia.pl opisywany jest w następujący sposób: „Pismo ma charakter konserwatywno-liberalny (popierający tradycję chrześcijańską i wolność gospodarczą)", o tyle anglojęzyczna wersja przybiera tendencyjny i intelektualnie krzywdzący format: „pro-United Right, anti-LGBT, nationalist, hard euro-sceptic, ultraconservative, Catholic fundamentalist and right-wing populist".

Jako czytelnik z prenumeratą „Do Rzeczy" i „Historii Do Rzeczy", na co dzień mieszkający w UK, prosiłbym bardzo o interwencję w celu doprecyzowania oraz załagodzenia powyższego angielskiego opisu, ponieważ jakakolwiek weryfikacja mojej subskrypcji przez brytyjski urząd/instytucje wiązałaby się z automatyczną utratą pracy, statusu i ostracyzmem. Myślę, że w podobnej sytuacji znajduje się wiele innych osób. Godzi też ona w reputację gazety na rynku międzynarodowym, co może wiązać się z utraconymi wpływami, kontraktami reklamowymi i marginalizacją na międzynarodowym rynku medialnym.

Z wyrazami szacunku
Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Rehabilitacja Judasza", Paweł Lisicki, „DRz" 15/2021

Artykuł „Rehabilitacja Judasza" pióra Pawła Lisickiego porusza, jak zwykle zresztą u tego Autora, ważki i ciekawy problem – tym razem zagadnienie Bożego miłosierdzia. Według modernistycznych duchownych, którzy mają coraz większe wpływy w Watykanie, Bóg miałby być tak nieskończenie miłosierny, że zbawienie automatycznie przysługuje każdemu człowiekowi, bez względu na jego wolę i wcześniej popełnione (nawet niegodziwe) uczynki. W tej perspektywie nawet Judasz (i każdy inny zaprzaniec i zdrajca) powinien osiągnąć życie wieczne. Jest to jednak jawna herezja, sprzeczna z tym, co mówił Zbawiciel, przebywając na Ziemi: „Wprawdzie Syn Człowieczy odchodzi, jak o Nim jest napisane, lecz biada temu człowiekowi, przez którego Syn Człowieczy będzie wydany. Byłoby lepiej dla tego człowieka, gdyby się nie narodził".

Bóg jest miłosierny, ale nie narzuca się człowiekowi i nie gwałci jego wolnej woli. Szanuje jego wybór. Nawet to, że człowiek odrzuca Boga. Miłosierdzie Boże udzielane jest hojnie, ale tylko tym, którzy go pragną. [...]

Tak więc Bóg, pełen miłosierdzia, czeka zawsze na grzesznika i gotów jest wybaczyć każdą winę, nawet w ostatniej godzinie życia, ale tylko wtedy, gdy grzesznik Go o to prosi. Nie ma więc tutaj żadnego automatyzmu. Gdyby bowiem przyjąć takie „nowoczesne" pojmowanie miłosierdzia, to należałoby wyeliminować w ogóle pojęcie grzechu, a ofiara Zbawiciela złożona na krzyżu za nas wszystkich nie miałaby żadnego sensu. Bóg mógłby bowiem „automatycznie" rozgrzeszyć (a właściwie „zlikwidować" pojęcie grzechu, jak to robi współczesna lewica) całą ludzkość.

Niestety herezje modernistyczne są coraz częściej prezentowane przez część duchowieństwa, nominalnie nadal katolickiego. Wizja z powieści Pawła Lisickiego „Epoka Antychrysta" spełnia się na naszych oczach. I obawiam się, że papież judasz może zasiąść na watykańskim tronie (a może nowoczesnym krzesełku?) wcześniej niż dopiero w 2217 r.

Wojciech Zajączkowski, Łódź

eprasa.pl 06d3422e85

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowa niewola w przebraniu

PIOTR SEMKA

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Niej więcej od wiosny 1945 r. ekipa Bieruta kontrolowała już większość terenów, które znalazły się w późniejszych granicach PRL. O ile duże miasta znajdowały się niepodzielnie w rękach nowej władzy, o tyle tereny wschodnie i południowe były nasycone poakowską partyzantką. Te oddziały zresztą chętnie wracały do nazwy „Armia Krajowa", gdyż była czytelna zarówno dla Polaków wiernych rządowi londyńskiemu, jak i dla komunistów. W mieście konspiracja rozwijała się słabo. Poważnym ciosem dla tworzenia struktur „Nie" było aresztowanie 7 marca 1945 r. gen. Emila Fieldorfa. Co prawda „Nil", korzystający z fałszywej tożsamości prostego kolejarza, nie został rozpoznany, ale nie zmieniło to faktu, że został wysłany na przymusowe roboty w głąb Rosji.

Miasta komuniści kontrolowali nieomal niepodzielnie. Konspiracja miejska stawała się coraz słabsza. Za to paradoksalnie brak koordynacji centralnego ośrodka ruchu oporu spowodował, że dziesiątki ugrupowań leśnych były trudniejsze do rozpracowania i zniszczenia. Po przesunięciu się walca sowieckich wojsk na zachodzie oddziały żołnierzy wyklętych podnoszą głowę i spychają PPR i UB do większych miast. Miasta małe i średnie są obiektem udanych akcji nowej generacji leśnej partyzantki. Przykładem takiej akcji było opanowanie Ostrołęki nocą z 18 na 19 maja 1945 r. przez oddziały AKO [oto jej opis za książką pt. „Żołnierze Wyklęci Mazowsza i Mazur 1944–1956"]:

Oddziałem AKO liczącym 85 żołnierzy dowodził szef samoobrony inspektoriatu mazowieckiego AKO por. (nazwisko nieznane) ps. Zych. [...]. Wyznaczone pododdziały zablokowały ogniem broni maszynowej siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, Komendy Powiatowej MO i NKWD. Podczas wymiany ognia zabito czterech funkcjonariuszy NKWD oraz funkcjonariusza PUBP. [...] Mimo że z gmachu PUBP wystrzeliwano rakiety wzywające na pomoc sowiecką załogę stacjonującą na stacji kolejowej, Rosjanie nie zdecydowali się na interwencję, obawiając się – zupełnie słusznie – partyzanckiej zasadzki. [...]

W ciągu dziewięciu miesięcy między lipcem 1944 r. a majem 1945 r. Polacy przeżyli sekwencję zdarzeń, które wywracały dawny porządek i ustalone pewniki. [...]

Gorzkie poczucie, że wojna nie skończyła się wolnością dla Polski, prześladowało większość Polaków w kraju i za granicą. Co bardziej przenikliwe umysły najbardziej przerażał fakt, że nowa niewola występuje w przebraniu formalnej niepodległości. Słusznie przewidywano, że taka maskarada niezwykle utrudni walkę siłom podziemnym w kraju". ©℗

CZYTAJ TAKŻE FRAGMENT WYWIADU RZEKI Z PIOTREM SEMKĄ „PIĄTKA U SEMKI" NA STRONIE 28

FOT. ADOBE STOCK

INFLACJA W POLSCE ROŚNIE NAJSZYBCIEJ OD 17 LAT

W marcu inflacja w Polsce przyspieszyła do 3,2 proc. rok do roku, z 2,4 proc. w lutym – ogłosił już oficjalnie Główny Urząd Statystyczny, potwierdzając tym samym swój wstępny szacunek sprzed dwóch tygodni. Niestety, zdaniem ekonomistów czeka nas dalszy wzrost cen, a w najbliższych miesiącach inflacja przekroczy zapewne poziom 4 proc. Na szybki wzrost inflacji wpływają m.in. drożejące usługi, rosnące opłaty za wywóz śmieci oraz coraz wyższe ceny paliw. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Trzeba rozmawiać

W programie Jana Pospieszalskiego, zepchniętym od pewnego czasu przez TVP na najmniej oglądane anteny regionalne, dopuszczono do głosu lekarzy mających zupełnie inne poglądy niż ci, którzy doradzają rządowi. Były wiceminister zdrowia oraz ordynator jednego ze szpitali zakaźnych, a także inni goście programu, dziennikarz, prawnik i lekarz, w uprzejmych, ale stanowczych słowach skrytykowali działania rządu i instytucji państwowych w czasie epidemii. W największym skrócie uznając, że przyniosły one więcej szkody niż pożytku.

Wywołało to gniewną reakcję Joanny Lichockiej, która jako poseł PiS, a potem urzędnik Rady Mediów Narodowych, zdołała już dawno zapomnieć o czasach, gdy sama była dziennikarką. Wydała ona oświadczenie, w którym „podważanie przez media publiczne polityki rządu w sprawie epidemii" nazwała „skandalem" i „niedopuszczalnym przekroczeniem granic". Zapowiedziała też, że zażąda wyjaśnień od prezesa TVP, i nie czekając na nie, sama wszystko wyjaśniła: w sposób, delikatnie mówiąc, dość słaby. A mianowicie insynuując Pospieszalskiemu, że powoduje nim frustracja, bo przez lockdown nie może koncertować i zarabiać.

Gdyby Pospieszalski odpowiedzieć chciał na tym poziomie, mógłby rzec, że Lichocka atakuje go po to, by dopiec Jackowi Kurskiemu, którego zwalcza od dawna, i zasugerować, że ta niechęć ma coś wspólnego z frustracją wynikającą z porównania wyników TVP z sukcesami nadzorowanego, a wręcz, jak tam mówią, ręcznie sterowanego przez Lichocką Polskiego Radia. O PR trzeba tu jednak wspomnieć nie dla złośliwości, ale dla wyjaśnienia istoty sprawy. Zarówno wypowiedź Lichockiej, jak i sytuacja w państwowym radiu dobitnie pokazują, jak sanacyjna wiara Komendanta w osobistą kontrolę i ręczne sterowanie udzieliła się niższym szczeblom. I jak bardzo jest nieskuteczna. Szczególnie w mediach, które, jak sama nazwa wskazuje, muszą odgrywać rolę pośrednika, a nie tuby, do której władza krzyczy, co uważa, nie interesując się żadną „zwrotną". Takie media czeka los radiowej Trójki. W tym sensie rozmawiać – a więc i krytykować – nie tylko warto, lecz także po prostu trzeba. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Konstytucja, czyli władza

Sprzeciw Solidarnej Polski pozbawił PiS politycznego mandatu na ograniczenie suwerenności Rzeczypospolitej, na uzależnianie naszego państwa od zobowiązań finansowych przyjmowanych przez Unię Europejską, czyli faktycznie – przez inne państwa. Jedność prawicy nie polega na manewrach z opozycją, a jeszcze ważniejsza od międzypartyjnych relacji jest racja stanu. PiS nie ma prawa zrzec się władzy, którą dysponuje, dla wykonania konstytucyjnego obowiązku ochrony suwerenności. Oczywiście, już słyszę, że to „wewnętrznie sprzeczna argumentacja, bo tę władzę, z której nie ma prawa zrezygować – za chwilę, targując się o warunki Funduszu Odbudowy, może stracić". Otóż nie! To argument tyleż demagogiczny, co bezpodstawny.

Do ochrony suwerennych prerogatyw Rzeczypospolitej przed przekazaniem ich za granicę wystarcza 34 proc. głosów w Sejmie, dokładnie – 154 posłów. Każda partia, również opozycyjna, mając tyle miejsc w Sejmie – ma niezależną od rządu WŁADZĘ ochrony konstytucji (vide: art. 90/2). PiS tę władzę miał, choć z niej nie skorzystał, gdy wspólnie z PO ratyfikował traktat lizboński. A teraz zachowałby ją nadal, nawet w wypadku zmiany rządu. Zmiana rządu jest zresztą tylko hipotezą, natomiast radykalne ograniczenie suwerenności, wzrost uzależnienia Polski od Unii, jest faktem.

Choć nie sposób też zaprzeczyć, że po awanturach ostatnich lat PiS miałby słaby tytuł do powoływania się na nadrzędny autorytet konstytucji. To jednak kolejny dowód, że nie należało tego tytułu trwonić i autorytetu konstytucji osłabiać, gdy suwerennościowa, konserwatywna większość w Trybunale Konstytucyjnym była w zasięgu ręki, byle cierpliwie poczekać na wygaśnięcie kilku (dziś już dawno wygasłych) mandatów. Tyle się w zamian działo! A teraz rachunek za te wszystkie harce pod hasłem: „Cała Polska z was się śmieje" płacić ma Rzeczpospolita. Mnie nie jest do śmiechu. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Tureckie kazanie

Daliśmy się zakuć w dyby poprawności politycznej do tego stopnia, że utraciliśmy zdolność osądu proporcji spraw i problemów. Mam obawy, że już bezpowrotnie.

Dyktatura sfanatyzowanych szaleńców każe nam, jak opisał Orwell, nieustannie rewidować i reinterpretować historię, listę lektur, ocenę postaci historycznych, a przede wszystkim zmieniać znaczenie słów, pojęć i zjawisk. Wszystko przypomina nachalną, opartą na terrorze pedagogię systemów totalitarnych, która potrafiła wywołać mniej lub bardziej trwałe zmiany w mózgu i sposobie myślenia tresowanych. W przypadku inteligentów nawróconych na stalinizm mówiło się (za Miłoszem) o „ukąszeniu heglowskim".

O tym, jak dotkliwie i głęboko świat Zachodu pokąsała poprawność polityczna, pokazała reakcja wysublimowanych zachodnich umysłów na chamstwo tureckiego islamonazisty Erdoğana (ach, ten wąsik...) w Ankarze. Spostponował szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, dla której zabrakło fotela w komnacie rozmów i musiała się usadowić na kanapie. Za to na jedynym fotelu obok bisurmanina rozparł się belgijski dżentelmen, szef Rady Europejskiej Charles Michel.

Świat cywilizowany, wnosząc po reakcjach, przeżył najgłębszy ze wstrząsów. Ruszyło tsunami potępienia: macho, mizogin, szowinista męski, prowokator. Na miły Bóg, słusznie, ale...

Można było odnieść wrażenie, że brak jasnej deklaracji w sprawie Erdoğana i brakującego fotela dyskwalifikuje politycznie, towarzysko i internetowo, bo na wyścigi oburzali się wszyscy – politycy, komentatorzy, filozofowie, gadające głowy, lwy klawiatury i wykreowane przez pospólstwo, porażające ignorancją gwiazdy sieci. Przytłaczającej większości tych ludzi nie wadzi i specjalnie nie wadziło, że Erdoğan zamienił swój kraj w więzienie, ma na rękach krew niewinnych ludzi, szczuje, prowadzi chuligańską politykę zagraniczną i wojny. Wadzi im jedynie, że się okazał chamem w stosunku do kobiety. Najwyraźniej tresura politpopu rozchwianiem wartości i proporcji wszelkich zrobiła swoje. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Pożytki z mapy

Dzisiaj zacznijmy może trochę lżej. Jest na TT taki profil – „Eric". Tenże Eric skupia się na przeszukiwaniu Internetu pod kątem wykwitów ludzkiej inteligencji i udostępnia je, niestety. Znaczy się, dzięki niemu dostajemy ludzi sauté, że się tak wyrażę, czyli ich wpisy z różnych miejsc bez cenzury i korekty, i nie jest to dobra informacja dla ludzkości. Są owe wpisy różnej wartości, przez błędy ortograficzne i stylistyczne często trudno w ogóle uchwycić sens pewnych wypowiedzi, co też jest jednak jakimś wyeksponowaniem człowieka, ale... Ale warto śledzić ten profil choćby z powodu takich perełek jak przytoczona poniżej dyskusja dwóch internautów. „1. Bug nie istnieje". „2. Istnieje, jest na mapie, debilu".

Uaktywnił się nam były premier Donald Tusk. Zwrócił uwagę na dziewięciomiesięczny areszt tymczasowy dla Sławomira Nowaka, którego nazwał wprost więźniem politycznym, mimo że zarzuty ma ściśle korupcyjne. Po tej jego wypowiedzi następnego dnia sąd zwolnił z aresztu podejrzanego. Twitter zapłonął. Nie brak było opinii (ulubiona fraza z „Wiadomości" TVP), że sąd się wprost słucha byłego premiera, bo to kasta i tak dalej, ale kontrowano też, że jeśli prokuratorzy przez dziewięć miesięcy nie potrafią napisać aktu oskarżenia, to może powinni zarabiać na życie hodowlą np. owiec. Przywoływano przypadek największego oszusta w historii, Bernarda Madoffa, który wyłudził od 50 do 65 mld dol. i został skazany na 150 lat więzienia sześć miesięcy po zatrzymaniu. Niezwykle celnym, jakże polskim, kontrargumentem było stwierdzenie, że „w ten kraj" się tak nie da. Nie da się i sprawa załatwiona. Na tym jednak nie koniec twitterowej aktywności Tuska (bardzo wpływowa osoba na TT, ponad 1,2 mln śledzących). Jego kolejny wpis można uznać za co najmniej zdumiewający: „Nielegalne władze chcą dziś usunąć Rzecznika Praw Obywatelskich. To nie jest atak na urząd, to atak na każdego z Was. Przemiana Rzeczypospolitej w Rzecz Pisowską". Wypowiadanie się na temat legalności władz po demokratycznych wyborach może się wydawać nieco karkołomne, chyba że Tusk przechodzi na pozycje rewolucyjne. I na koniec ostatni wpis pana Donalda: „Pisowski minister Wójcik twierdzi, że trzy lata w areszcie bez wyroku sądowego to »coś normalnego«. Hazardzista". Króciutka pamięć, za pana czasów kibic Maciej Dobrowolski siedział w areszcie 40 miesięcy tylko na podstawie zeznań jednego bandyty. Warto pamiętać... ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. PAWEŁ GROMADA

ŻADNYCH ROZRYWEK

Maryla Rodowicz opowiedziała „Faktowi", jak pandemia wpływa na jej życie uczuciowe. Otóż, wpływa źle, bo pozbawia ją możliwości randkowania. A rozwiedziona gwiazda bardzo by sobie porandkować chciała. – Nie ma szans kogoś poznać, nawet jakbym chciała. Gdzie bym niby kogoś miała poznać? Wszystko jest pozamykane. Nie ma żadnych wydarzeń kulturalnych, koncertów, nie można usiąść w restauracji, wyjść do kina... – wyliczała Rodowicz. No tak, okazuje się, że jedyną dostępną rozrywką jest udzielanie wywiadów tabloidom. A więc pani Maryla korzysta, ile może. To jeden z wielu nieprzewidzianych skutków pandemii.

ŚWIATOWA SŁAWA

Wokalista Rafał Brzozowski dziwi się, że jego piosenka, z którą zamierza wystąpić na festiwalu Eurowizji, nie podoba się innym – okazuje się, że ma najwięcej negatywnych ocen w serwisie YouTube spośród wszystkich zgłoszonych na konkurs. – Ten ranking według mnie nie odzwierciedla sytuacji wśród widzów i słuchaczy z Europy. On w jakimś stopniu pokazuje, jakie są nastroje społeczne, ale ja bym się tym nie przejmował i skupił na występie. Piosenka jest dobra i jak jest dobra piosenka, to ona się zawsze obroni – uważa Rafał. – „The Ride" jest piosenką, która ma szansę podbić Europę, bo nie dość, że jest dynamiczna i ekspresyjna, to jest tam powtarzalny refren, który łatwo zapamiętać. Rozmawiałem z wieloma dziennikarzami z różnych państw i ta piosenka się podoba. Dziwne jest to, że w Polsce jest na nią hejt, a za granicą nie – dodał. To może w związku z tym, że my tu w Polsce się nie znamy, pan Rafał postawi teraz na karierę zagraniczną i tam będzie świecił swoim talentem? No co? Pomarzyć zawsze można.

O DEMOKRACJI TYLKO NA MALEDIWACH

Uwaga! Jest kolejna porcja politycznych przemyśleń prosto z Malediwów od Kingi Rusin. Okazuje się, że Rusin nawet wśród palm, na egzotycznych wakacjach nie może przestać myśleć o PiS. Trochę się nawet o nią zaczynamy martwić, bo normalne to jednak nie jest. – Tymczasem w Polsce wykorzystuje się tragedię pandemii do odwrócenia uwagi i dorzyna się kolejną instytucję demokratycznego państwa prawa. Zgodnie z wolą rządzących nastąpi upadek niezależnego Rzecznika Praw Obywatelskich. Rządzący dokonają tego rękami kadłubowego Trybunału NIEkonstytucyjnego, w którego składzie mamy dublerów, Krystynę Pawłowicz i Piotrowicza. Widok prokuratora stanu wojennego musztrującego niezależnego rzecznika obywateli, broniącego na co dzień resztek państwa prawa, przejdzie do historii hańby. PiS rekomenduje na stanowisko rzecznika WSZYSTKICH obywateli (również niewierzących czy homoseksualnych)... posła PiS – pisze Rusin. Dla okazania dramatyzmu sytuacji i okrutności, które mają miejsce w Polsce, Rusin dołączyła piękne zdjęcie z basenu z pięknym widokiem na morze. Jak już załamywać ręce nad upadkiem demokracji w Polsce, to tylko w odpowiednich warunkach. To chyba oczywiste.

W OBRONIE CELEBRYTÓW

Edyta Pazura, żona aktora Cezarego Pazury, myśli o tym, by wycofać się z show-biznesu. Ma już bowiem dość szkalowania celebrytów i celebrytek oraz wrzucania wszystkich do jednego worka. A przecież i w show-biznesie zdarzają się ludzie dobrzy i szlachetni. Tak mniej więcej brzmi jej argumentacja. „Celebryta to już nie-człowiek, nie-matka, nie-ojciec, nie-syn, nie-córka, tylko kupa, której można przypisać każdą przywarę tego świata" – pisze rozżalona Edyta. „Gdy ktoś kłamie czy jest nazywany patologią, to pewnie posiada imię i nazwisko, więc warto je użyć, niż wrzucać wszystkich do jednego wora, wywołując kolejną falę agresji w czasach, kiedy napięcia i tak już sięgają zenitu" – apeluje. „Celebryci to też tacy ludzie, którzy biorą udział w akcjach charytatywnych, mówią o kryzysie klimatycznym, wspierają słabszych, walczą o prawa kobiet i mniejszości, a czasami dokonują niemożliwego dzięki swojemu »celebryckiemu« nazwisku. Nie tylko podróżują na Zanzibar..." – kończy. Z ostatnim zdaniem zgadzamy się najbardziej. Nie tylko podróżują, lecz także wrzucają stamtąd fotki. Miliony fotek. To pewnie w ramach wspierania słabszych. ©℗

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/DDTVN/EAST NEWS

eprasa.pl 06d3422e85

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z okazji kolejnego przedłużenia lockdownu na następne dwa tygodnie przygotowaliśmy dla Was psychozabawę pt. „Którym pandemicznym obostrzeniem jesteś?”.

1) Kończy się czterogodzinna konferencja na Teamsach. Wszyscy się powoli żegnają, rozluźnienie i te sprawy. Co mówisz?

a) dziękujesz za cudowne spotkanie i mówisz, że czekasz na kolejne;

b) dziwisz się, że było tak krótko;

c) robisz podsumowanie na podstawie swoich skrupulatnych notatek;

d) wracasz do jakiegoś nieistotnego szczegółu sprzed trzech godzin i mówisz, że masz do niego wiele wątpliwości i chciałbyś o tym porozmawiać jeszcze raz.

2) Wspólnie z frendami zamawiacie obiad do open spejsa. Jak się zachowujesz?

a) trochę wybrzydzasz, że w menu nie ma obliczonych kalorii, po otrzymaniu zamówienia ważysz kotleta i kapustę;

b) zaglądasz wszystkim w talerze, krytykujesz ich wybór, straszysz, że żaden pilates tego nie spali;

c) zakładasz za wszystkich hajs, ale nikt ci nie oddaje, dopominasz się o zwrot i jesteś ignorowany;

d) opieprzasz dostawcę, bo spóźnił się pięć minut, głośno mówisz, że niedobre, zostawiasz po sobie syf na stole, z satysfakcją patrzysz, jak inni wkładają naczynia za ciebie do zmywarki.

3) Zbliża się koniec miesiąca i wszystko wskazuje na to, że twój frend z teamu nie wyrobi normy. Co robisz?

a) trochę się z niego śmiejesz i pytasz, czy chce, aby pomóc mu przygotować CV;

b) dużo się z niego śmiejesz i mówisz, że z takim CV pewnie będzie mu trudno;

c) trzy razy sprawdzasz normy, nieproszony próbujesz mediować z menedżerem, okazuje się, że sam też nie wyrobiłeś normy;

d) składasz donos do team leadera, zarządu i centrali w Berlinie, że kolega ostatnio spędzał za dużo czasu w toalecie oraz zmultiplikował czas poświęcany na wlewanie mleka do kawy.

4) Kiedy chcesz zwrócić komuś z teamu uwagę, że coś zrobił źle, lub przypomnieć coś, o czym zapomniał:

a) dajesz mu porozumiewawcze znaki, a na końcu wysyłasz SMS;

b) mówisz przy wszystkich, że znów o czymś zapomniał i czy wreszcie może to zrobić;

c) aranżujesz z nim oficjalną rozmowę na Teamsach, wbijasz się w garnitur, układasz skrypt rozmowy, wszystko załatwiasz w dwie minuty;

d) piszesz do niego ostry e-mail, a w DW dajesz wszystkich, którzy mogą koledze zaszkodzić.

Najwięcej odpowiedzi a): Wszyscy się do ciebie przyzwyczaili, chociaż na początku wydawałeś się dość nieznośny. Ostatecznie jednak wokół są bardziej upierdliwi od ciebie, więc nikt się tobą przesadnie nie interesuje. Jesteś nakazem noszenia maseczek w zamkniętych pomieszczeniach.

Najwięcej odpowiedzi b): Nie jesteś najmądrzejszy, niewielu cię rozumie, a jeszcze mniej lubi, ale nikt nie okazuje tego publicznie, bo twoja ciocia pracuje w zarządzie korpo i odpowiada za HR. Kiedy tego nie widzisz, inni za plecami pokazują ci język. Po cichu liczą, że wreszcie sobie znajdziesz inne miejsce. Jesteś obowiązkiem noszenia maseczki na zewnątrz.

Najwięcej odpowiedzi c): Z jednej strony niby wielu przyznaje, że jesteś potrzebny, ale z drugiej strony mało kto się tobą przejmuje. Czasem ktoś ukradkiem robi ci zdjęcia i wysyła do gazet. Jesteś ograniczeniem liczby wiernych w kościołach.

Najwięcej odpowiedzi d:) Po prostu jesteś przykry i wszyscy wokół mają cię dość. Liczą na to, że jeśli sobie pójdziesz, to wreszcie zacznie być normalnie i trochę odpoczną. Na razie wszystkich męczysz i w HR jesteś pierwszy do odstrzału. Oczywiście jesteś zamknięciem gastronomii i hotelarstwa. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Ostatni porządny cel

No i pięknie. A mówiłem, żeby poczekać z tym wyrokiem!

No to co się stało, Jarku? Przecież chyba Julia najpierw dzwoniła...

Dzwoniła, dzwoniła, ale wiesz, Jacek, jak to jest. Ja akurat karmiłem kota, nie odebrałem, ktoś tam coś źle przekazał, ktoś nie zrozumiał i poszło. A jeszcze pewnie ona myślała, że skoro Bodnar robi problemy z Polska Press, to trzeba uderzyć.

No, stało się...

Fatalnie się stało! Ostatni porządny cel do nawalania się przewrócił! A my zostajemy teraz z tym całym bigosem, bo trzeba ustawę uchwalać. Już widzę, jak duży Jarek i Zbyszek mi idą na rękę. Co za bardak, ja cię nie mogę...

A może Bodnar się jednak nie podda tak łatwo? Jakby się tak zabarykadował tam u siebie, na Miodowej...

Mam nadzieję. Weź to jakoś dobrze zorganizuj. Niech tam Mariusz policję wyśle, ale nie za dużo. I niech nie wchodzą na rympał. Aha, i po cichutku zorganizuj tam Bodnarowi jakiś prowiant od zaplecza, pizzę czy coś. Żeby jak najdłużej wytrzymał. Dlaczego ja zawsze muszę wszystko sam robić?! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zamach konstytucyjny rozpoczął się w 2016 r.”.

ADAM BODNAR, *były Rzecznik Praw Obywatelskich, w rozmowie z Onet.pl*

eprasa.pl 06d3422e85

dwaj panowie g

Z życia poszerzanej koalicji. Czyli relacji: szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński – naczelny kukista Paweł Kukiz. Wszyscy się ekscytują sędziami pokoju. Betka! My słyszeliśmy, że na stole leżą bardziej rewolucyjne propozycje. Otóż Kaczyński SWP byłby się w stanie przychylić częściowo do okręgów jednomandatowych, gdyby Kukiz przychylił się do powrotu listy krajowej.

Od razu się rozmarzyliśmy. Wyobrażacie sobie, co by się działo w Eine Totalopposition, gdyby miała drogą negocjacji i porozumień wyłaniać wspólnych kandydatów przeciw PiS w okręgach jednomandatowych? Ostatni raz taką jatkę widziano pod Grunwaldem.

Z życia koalicji opozycyjnych. Nie kilkadziesiąt, tylko kilka. Nie do Peezelu, tylko w różne miejsca. Fakt, że z klubu Peło. Ot, cała prawda o nadchodzących „wielkich zmianach w Sejmie". Tak to jest, jak dziennikarze za bardzo słuchają marzeń Zgorzelskiego Piotra.

Jak wszyscy wiedzą, prezydent Andrzej Sebastian zainaugurował w pałacu działalność Biura Polityki Międzynarodowej. Biuro organizował Krzysiek Szczerski, ale wkrótce zastąpi go Jakub Kumoch. Nikt nie wie natomiast, dlaczego uroczystość odbyła się akurat 15 kwietnia. Wyjaśniamy. Otóż 15 kwietnia wypadają urodziny Krzyśka Szczerskiego. Okrągłe, 48.

Zastanawiamy się, co sobie w takim razie może otworzyć Szczerski za dwa lata z okazji pięćdziesiątki. Ponieważ będzie wtedy w USA ambasadorem polskim przy ONZ, obstawiamy jakieś dobre amerykańskie wino. Prywatnie polecamy produkty ze stanu Waszyngton. Cienkusze z Kalifornii są nawet dla nas za mało hipsterskie, więc cóż dopiero dla Krzyśka.

Kumoch za Szczerskiego, a za Kumocha do Trucji – Andrzej Papierz. Dyrektor generalny w MSZ podał się więc do dymisji, co wywołało ekstazę u Srebrnego Lisa Dyplomacji. Witold Waszczykowski nazwał nawet Papę „Rasputinem i szkodnikiem". Nas to nie dziwi. Papierz doprowadził bowiem do odwołania z Pragi ambasador, która jest bliską znajomą Srebrnego Lisa. I do wywalenia niejakiego Izydorczka, który z placówki w Tokio zrobił sobie bazę wypadową do wycieczek po Japonii. Cóż.

Po cichu liczono, że Papierz wyleci wcześniej. W tej sprawie duże nadzieje budził Żelazny Marian z NIK-u. Kontrolerzy trzepali resort do dna. Niestety, efekt okazał się więcej niż mierny. Wyniki kontroli zostały opisane w dwóch zdaniach, które sprowadzały się do konstatacji, że żadnych uchybień nie stwierdzono i w związku z tym nie ma żadnych sugestii.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w mediach. Spragnieni rozgłosu i poklasku cyngle „GazWybu" zorganizowali spotkanie z cyklu „W klubie Wyborczej" zatytułowane „Na tropie Obajtka. Jak pracują dziennikarze śledczy »Wyborczej«". Na plakacie zmieściła się szóstka, z dzielnym Czuchną na czele. Ale nie wątpimy, że jest ich więcej. Jesteśmy też przekonani, że gdyby cała ta gromadka traktowała swe obowiązki tak poważnie, jak się chwali, to Sławek Lolo Pindolo Nowak mógłby dziś najwyżej wnosić o skrócenie wieloletniej odsiadki ze względu na dobre zachowanie. Ale jakoś nie traktowała. Przez przypadek.

Największy paker wśród naczelnych i najlepszy naczelny wśród pakerów opuszcza branżę PR. I wraca do mediów. Mowa o Sławku Jastrzębowskim. Wiemy, myślicie sobie: „Oho! Polska Press! Drżyjcie naczelni!". Otóż nie. Sławek – zwany Bicepsem – dorobił się na tyle, że kupuje sobie na własność środek przekazu. Jest nim Salon24 założony przez kolegę Sławka z dotychczasowej firmy, Igora Jankego. Tradycyjnie życzymy powodzenia na nowej drodze życia.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Lolo Pindolo Sławek Nowak opuścił areszt i poinformował zebranych dziennikarzy, że „nadejdzie jeszcze czas na prawdę". Co trochę nas skonfundowało. No bo co szkodziło, żeby ową prawdę powiedzieć od razu? Ale pewien doświadczony papuga wszystko nam wyjaśnił: „Wiecie, prawdę trzeba zawsze najpierw uzgodnić ze wspólnikami".

Dziwnym trafem niemal w tym samym czasie, kiedy wypuszczano Sławka Lolo Pindolo, na Ukrainie zarzuty usłyszał oligarcha, który miał Nowakowi wręczać łapówki. Jakie to piękne, niemal jak fizyka kwantowa – oligarcha dawał, ale Sławek nie brał. No, chyba że brał. Dopóki nie otworzymy pudełka, dopóty nie będzie wiadomo. A jak otworzymy, to ktoś pożałuje: Sławek albo kot Schrödingera. Stawiamy na Sławka.

Z cyklu „Jak rodacy radzą sobie w trudnych czasach". Jak wiecie, COVID odwołał Polakom majówkę. Ale nie wszystkim. Znajomy polityk pochwalił się, że wyrusza na odpoczynek do zaprzyjaźnionego pensjonatu. Zaznaczył jednak, że żadnego prawa łamał nie będzie. Nie wynajmuje pokoju, lecz podpisuje umowę dzierżawy. Na pięć dni. Nie pochwalamy, ale zakapować po nazwisku też nie możemy, bo to nasza wiewiórka.

Pamiętacie portal Lubimyczytac.pl? Ten, który z dętych powodów uwalił głosowanie na Ziemkiewicza w plebiscycie na książkę roku? Ma kolejne osiągnięcie w marszu ku lepszej przyszłości. W ankiecie na temat obyczajów czytelniczych roku pandemii na końcu jest rubryczka nr 21 – płeć. Można wybrać spośród odpowiedzi: „mężczyzna", „kobieta" albo „inna identyfikacja płciowa". Mimo wszystko uznajemy to za dyskryminację. Podkreślono bowiem, że „można udzielić jednej odpowiedzi". Tylko jednej? Patriarchat, cenzura i zaścianek! ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl 06d3422e85

Kseroniewolnictwo Twardocha

Tomasz Rowiński

Szczepan Twardoch napisał niedawno felieton, w którym wyłożył czytelnikom, że dawna Polska niewiele różniła się od USA lat 60. XIX w. z powodu rasowej segregacji i rzeczywistego niewolnictwa

W USA ciemny kolor skóry z dużym prawdopodobieństwem oznacza bycie potomkiem niewolników, co wcale nie przestało być ważne 156 lat po zniesieniu niewolnictwa tamże, i nie dziwię się, że dziś potomkowie amerykańskich niewolników coraz głośniej domagają się z tego powodu reparacji, jakkolwiek trudne byłoby takiego postulatu spełnienie" – napisał Szczepan Twardoch na łamach „Dużego Formatu" w felietonie pt. „Jestem potomkiem niewolników". Chociaż autor zastrzega, jak bardzo irytuje go kopiowanie problemów amerykańskich i przenoszenie ich razem z rozwiązaniami do Polski, choć opatruje też zastrzeżeniami swoje porównanie pańszczyzny do niewolnictwa, ostatecznie orzeka, że niewolnictwo w Polsce było i trwało nawet 50 lat dłużej niż w Stanach Zjednoczonych. Dodaje oczywiście, że ci, którzy się z nim nie zgadzają, żyją w fałszywej świadomości co do swojej historii. Dlaczego? Ponieważ jest to pańska historia, a my w większości pochodzimy z ludu, z chłopów, którzy w szlacheckiej i inteligenckiej kulturze stali się synonimem jakoby gorszego człowieka, czyli „chama". Którego zresztą – a jakże! – Twardoch zestawia z amerykańskim „niggerem", czyli „czarnuchem". Chociaż zatem Twardoch zarzeka się, że nie kopiuje, to faktycznie nie odchodzi od kserokopiarki.

POTOMKOWIE „PANÓW"

„[...] bycie »białym« nie należy w Polsce do sfery przywileju. Do sfery przywileju należy u nas bycie potomkiem panów, właścicieli niewolników, ja zaś, cham, potomek niewolników, chcę dołożyć wszelkich starań, aby ci mniej liczni, a jednak ciągle dominujący w życiu społecznym potomkowie panów, właścicieli naszych przodków, nie zapomnieli, na ilu pokoleniach bezwzględnej eksploatacji opierają się ich dzisiejsze przewagi" –

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

pisze Twardoch. Do poparcia swoich opowieści w kolejnym tekście, będącym odpowiedzią na polemikę Macieja Radziwiłła, odwołał się do badań Marka Jerzego Minakowskiego. Wynika z nich, że przedstawiciele elit politycznych i kulturalnych w Polsce w większości mają wśród swoich przodków jakieś szlacheckie rody, posłów Sejmu Wielkiego, a i królowie się zdarzają. Jednak Twardoch nie wspomina o innych ustaleniach Minakowskiego, np. że inteligencja w II RP była grupą znacznie węższą niż szlachta w I RP i potomkowie szlachty stanowili w niej mniejszość. W powojennych elitach szlacheckie rodziny prawie całkowicie znikają i powracają dopiero po 1989 r. Co to oznacza? Że Polska wcale nie jest krajem rozwarstwionym stanowo. Jest za to krajem, gdzie dawne podziały w znacznej mierze się zatarły z powodu kolejnych rewolucji społecznych, związanych choćby z trwającą dwa wieki polityczną niestabilnością Polski. Sam inteligent Twardoch może być przykładem tego, że potomkowie różnych stanów zajmują dziś eksponowane społecznie pozycje, a prestiż, władza czy zamożność już dawno dystrybuowane są w niemal zupełnym oderwaniu od tego, czy ktoś miał przodków chłopskich, szlacheckich czy magnackich. „Nasze społeczeństwo można porównać do gotującej się zupy. Jakaś jego część jest na wierzchu, ale to nie jest tak, że to są cały czas te same rodziny, ciągi genealogiczne. To jednak cały czas się zmienia" – mówił swego czasu Marek Jerzy Minakowski.

Prowokacja Twardocha chwyciła i pisarzowi odpisał Maciej Radziwiłł. „Tekst ten wpisuje się w bardzo modne w ostatnim czasie przepisywanie historii Polski na nowo. W tej nowej wersji nacisk kładzie się na historię ludzi z najniższych warstw społecznych, która dotychczas była pomijana i lekceważona. Podkreśla się okrucieństwo wyzysku przez dawne elity i bezwzględność pańszczyzny" – napisał prezes fundacji Trzy Trąby. I dodał: „Co charakterystyczne, te próby pisania historii od nowa podejmują często nie historycy, ale przedstawiciele innych dziedzin. Warsztat historyczny tych prac jest zwykle bardzo słaby. Nie uwzględnia się kontekstu historycznego. Nad narracją góruje moralizatorstwo. Pańszczyzna oceniana jest według dzisiejszych kryteriów".

„MARKSIZM GENETYCZNY"

Trudno się dziwić, że Radziwiłł określił tekst Twardocha mianem przejawu „marksizmu genetycznego".

„O ile Marks nauczał, że właściciel majątku wyzyskujący pracowników z chwilą wywłaszczenia przestaje być już wyzyskiwaczem, o tyle marksizm genetyczny zakłada, że nawet potomek wyzyskiwacza należy do klasy wyzyskiwaczy. Po okresie rewolucji i wojny domowej Leninowi nie przeszkadzali potomkowie dawnych wyzyskiwaczy, choć inne podejście reprezentował Stalin, który uczył, że walka klas zaostrza się w miarę budowy socjalizmu, a potomków dawnych właścicieli mordować kazał jeszcze wiele lat po rewolucji" – napisał Radziwiłł.

Aby dopasować Polskę do wzoru niewolnictwa amerykańskiego, Twardoch pomija nie tylko zasadnicze różnice pomiędzy nim a pańszczyzną, lecz także pomija fakt, że reformy społeczne w Polsce uwłaszczyły chłopów na ziemi, którą uprawiali, że zostawali oni profesorami i premierami, a współczesny rynek przywilejów, o których pisze Twardoch, ukształtował się znacznie mocniej pod wpływem rewolucji komunistycznej roku 1945 oraz reglamentowanej rewolucji roku 1989 niż Polski szlacheckiej.

„Pochodzę od przywódców targowicy, którzy byli zdrajcami, i pochodzę od autorów Konstytucji 3 maja, której uchwalenie, jak sądzę, sprowokowało ostatni rozbiór Rzeczypospolitej. Nic z tego nie wynika – patrząc wstecz, można zobaczyć, że synowie zdrajców byli często patriotami, i vice versa. Pochodzę też od wielu ludzi, którzy niczym się nie zapisali w historii" – napisał Radziwiłł w swojej polemice. Zrobił w niej rzeczywiście to, co chciał chyba zrobić Twardoch – zniuansował historię, pokazując jej złożoność, a także skomplikowanie losów polskiej szlachty, która praktycznie przestała istnieć, stając się bazą pojemnej i stosunkowo demokratycznej warstwy inteligenckiej. Dzisiaj większość polskiej inteligencji to ludzie, którzy nie stali się jej częścią dzięki „kapitałowi kulturowemu" szlacheckich przodków.

W odpowiedzi na polemikę Radziwiłła Twardoch jedyne, co właściwie miał do zaproponowania, to ciągnące się przez pół tekstu szyderstwo z magnackiego rodowodu polemisty i banalne uwagi o tym, że nie ma i nie będzie świata idealnego. „Nie wierzę w utopijne społeczeństwo całkowicie znoszące nierówności wynikające z przywileju; wystarczy mi przywilej uprzywilejowanym uświadomić. Nie sądzę, by w jakikolwiek sposób dało się dziś zrekompensować stulecia pańszczyzny; wystarczy jej nie lekceważyć" – pisał. Czy naprawdę Twardoch sądzi, że Maciej Radziwiłł nie zdaje sobie sprawy, ile zawdzięcza swojej rodzinie? Łatwo pokazać, że znacznie większe przywileje – np. możliwość mówienia innym, co mają myśleć – ma dziś w Polsce inteligencja, do której należy Twardoch, a nie – bez obrazy – dinozaury na wymarciu, jakimi są pojedynczy członkowie dawnych magnackich rodów, którzy dysponują jeszcze jakimiś dobrami.

eprasa.pl 06d3422e85

„Nie jestem bolszewikiem, nie nawołuję, by grabić zagrabione, moje postulaty są skromniejsze; wystarczy mi zagrabione zagrabionym nazwać" – przy tak ogólnym postulacie Twardocha grabieżcą jest właściwie każdy, kto korzysta z pracy innych albo zajmuje wyższą pozycję społeczną. Jak wiadomo – według Marksa – do wyzysku prowadzi każda sytuacja, gdy środki produkcji pozostają nieuspołecznione, czyli np. prywatne. Można powiedzieć, że „chamskiemu planowi", jak nazywa swoje postulaty Twardoch, brakuje puenty.

PAŃSZCZYZNA JAK NAZIZM?

Porównania pańszczyzny do nazizmu, które czytelnik znajdzie w polemice Adriany Rozwadowskiej – dziennikarki „Gazety Wyborczej" zajmującej się w godny szacunku sposób patologiami polskiego kapitalizmu – są jeszcze bardziej kuriozalne. Jak można zestawiać system polityczny, który świadomie metodycznie był nastawiony na przemysłową zagładę arbitralnie określonych narodów, z systemem, choć opartym na nierówności, to jednocześnie zapewniającym przeważnie stabilny byt szerokiemu społeczeństwu w cywilizacji przedprzemysłowej? To prawda, że pańszczyzna się degenerowała, głównie z powodu swojej ekstensywności i coraz większej niewydolności, jednak można zapytać, czy pracownik najemny, który dziś nie może nawet marzyć o zawodowej stabilizacji, nie zamieniłby swojego „elastycznego czasu pracy" na możliwość obrobienia kawałka ziemi w zamian za wysługę godzin na pańskim polu? Twardoch i Rozwadowska powinni zapytać swoich przodków, co by im się bardziej podobało.

„Gdyby myślenie Radziwiłła wprowadzić w czyn, kobiety wciąż nie miałyby praw wyborczych, czarni jeździliby z tyłu autobusu, a gwałty na chłopkach byłyby traktowane jak oczywistość (bo tak było, za gwałt na szlachciance groziła za to kara śmierci). Tylko refleksja i krytyczne spojrzenie na przeszłość posuwają nas do przodu. To dzięki nim – i żywym protestom przeciwko »swoim zadaniom«, czyli zbieraniu bawełny albo dzierganiu robótek ręcznych – rozwinęliśmy się w kierunku, gdzie liczy się każde życie" – pisze w anegdotycznym skrócie Rozwadowska. Prawa zapewne są dziś bardziej humanitarne niż dawniej, ale – o czym autorka dobrze wie, ponieważ zajmuje się tym jako dziennikarka – praktyki, które można spotkać w świecie zależności zawodowej czy mieszkaniowej realnego kapitalizmu, jeżą włos na głowie. Sytuacje, gdy ludzie są poniżani przez pracodawców lub zarabiają tak niewiele, że praktycznie nie mogą przeżyć, wciąż nie są rzadkością. Można by wyciągnąć z tego wniosek, że dziś mamy pewnie lepsze opakowanie prawne życia społecznego niż kiedyś, ale przecież i gorszy obyczaj, którego upadek wymaga, by ciągle rozbudowywać osłony legislacyjne.

Pobocznie dla tej sprawy można dodać, że faktycznie chciałoby się, by liczyło się każde życie, ale zalegalizowana hekatomba nienarodzonych osób oraz coraz szersze praktyki eutanazyjne w szpitalach tzw. cywilizowanego świata powinny szybko wytrącać nas z dobrego samopoczucia i łatwej ochoty do prostych ocen przeszłości. „Myślenie Radziwiłła" mówi tylko, że świat ekonomiczny był kiedyś inaczej urządzony, i uświadomienie sobie tego bez przesadnego moralizowania jest z pewnością częścią postawy krytycznej. Zarzuty Adriany Rozwadowskiej wobec procesu nabycia przez państwo polskie obrazu „Dama z gronostajem", w który zaangażowany był Maciej Radziwiłł, zajmujące znaczną część jej tekstu, właściwie nie dotyczą już pańszczyzny, ale potwierdzają marginalność jej dziedzictwa w aktualnej historii życia społecznego. Dyskusja, której Szczepan Twardoch nie potrafił spuentować w swojej odpowiedzi Radziwiłłowi – bo jak sensownie miał to zrobić? – ześlizgnęła się faktycznie w tekście Rozwadowskiej w stronę personalnych zarzutów wobec wąskiego grona osób z kręgu rodzin Radziwiłłów i Czartoryskich.

Ciekawym punktem tej wymiany tekstów był krótki artykuł młodych historyków Łukasza Kożuchowskiego i Marii Rościszewskiej, którzy spróbowali wydobyć dyskusję z oków ideologii i resentymentu. Oboje zajmują się dziejami polskich chłopów. Badając własne genealogie, odkryli, że gdyby w Polsce panował system stanowy, Kożuchowski mógłby odrabiać pańszczyznę u Rościszewskiej, ponieważ taka relacja zachodziła właśnie pomiędzy ich przodkami. Dzisiaj, jak widać, w społecznej strukturze znajdują się niemal w tym samym miejscu. „Czy to, że moi przodkowie byli »panami na włościach«, sprawia, że powinnam się jakoś szczególnie wstydzić albo że jestem winna? Nie sądzę" – pisze Rościszewska. „Twardoch nie bierze pod uwagę czynników niwelujących – przynajmniej częściowo – tego typu różnice społeczne. W ostatnich 200 latach mieliśmy uwłaszczenie, które zerwało wiele więzów między wsią a dworem i umożliwiło wielu chłopom polepszenie swojego bytu. Mieliśmy dużo akcji oświatowych i gospodarczych, w które pewne kręgi chłopów ochoczo się angażowały. Mieliśmy wreszcie reformę rolną, która zlikwidowała większość materialnej podstawy szlacheckiej dominacji w społeczeństwie. Należy też pamiętać, że choć w relacjach między wsią a dworem występowało wiele rażących nadużyć – wyzysku, molestowania, a nawet mordowania poddanych – nie było to regułą".

Kożuchowski dodaje, że gdy rozmawiał „jakiś czas temu z ciocią, urodzoną w 1923 roku i w młodości pracującą jeszcze »u pana«, wspominała ona dziedzica z dużą dozą sympatii, jako człowieka serdecznego, bardzo pomocnego i szczodrego".

„Z dyskusji z moimi znajomymi chłopskiego pochodzenia – pisze też Kożuchowski – często wynikało, że w ich rodzinach pamięć o szlachcie też jest pozytywna, a relacje między wsią a dworem zapamiętano jako co najmniej poprawne".

Autorzy nie zapominają, że istnieją świadectwa też całkowicie przeciwne, jednak głos Rościszewskiej i Kożuchowskiego wobec efekciarstwa Szczepana Twardocha brzmi rozsądnie, nawet jeśli zdają się przeceniać rolę pańszczyzny wśród czynników kształtujących dzisiejszą stratygrafię społeczną.

Nawet jeśli prawdą jest, jak piszą Rościszewska i Kożuchowski, że potomek szlachcica ma większą szansę zostać dobrze sytuowanym inteligentem niż potomek pańszczyźnianego chłopa, to warto zapytać, czy czynnik ten jeszcze w ogóle można brać pod uwagę jako istotny w sytuacji rozmycia prostych linii pochodzenia i powszechnego w Polsce zerwania więzów pamięci. Pamięć ta trwa tylko w wąskich grupach i tylko część tych pamiętających to potomkowie szlachty. Jaki odsetek rzeczywiście czerpie korzyści z wysokiego urodzenia swoich przodków? Ważniejsze stało się obecnie to, czy ktoś pochodzi z miasta czy z prowincji, czy rodzinę stać na kształcenie uniwersyteckie. Antyszlachecki resentyment wydaje się być kolejną inteligencką kreacją zgodną z aktualnymi modami umysłowymi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Ruiny zamku w Ostrogu na Wołyniu. Pamiątka po „polskich kolonizatorach"
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Nie byliśmy kolonizatorami!

Piotr Zychowicz

Czy Litwa i Ukraina były „koloniami" Polski? Teza modna i chwytliwa, ale mocno dyskusyjna

Jak wiadomo, II Rzeczpospolita miała ambicje kolonialne. Nasi przodkowie snuli romantyczne wizje oceanicznych podróży i biało-czerwonego sztandaru łopoczącego nad gajami palmowymi. W celu realizacji tych planów w 1930 r. powstała nawet Liga Morska i Kolonialna.

Projekty te jednak nie wypaliły. II RP kolonii nie zdobyła, a wkrótce sama przestała istnieć i stała się kolonią swoich sąsiadów. Sen o egzotycznych podbojach pozostał tylko marzeniem.

A może wcale nie! Coraz częściej można bowiem usłyszeć, że o ile II RP rzeczywiście nie miała kolonii, to kolonie miała I Rzeczpospolita. O jakie terytoria chodzi? O Wielkie Księstwo Litewskie i Ruś. Kolonizatorem miała być polska szlachta, a ludami kolonizowanymi litewscy, białoruscy i ruscy chłopi. Do polskiej debaty publicznej tezę tę wprowadził na dobre francuski historyk Daniel Beauvois, autor – skądinąd bardzo ciekawego – monumentalnego dzieła „Trójkąt ukraiński". Według profesora Polacy stworzyli mit „fałszywej arkadii". Czyli wyidealizowany, sielankowy obraz Kresów. Jest to świat malowniczych ziemiańskich rezydencji, balów i polowań. Herbów, zamków i dworków. Szlachecka idylla.

Prawdziwa historia – dowodzi Beauvois – miała mało wspólnego z tym wyobrażeniem. W rzeczywistości ziemie litewsko-ruskie miały być areną bezwzględnej, kilkusetletniej polskiej

eprasa.pl 06d3422e85

ekspansji kolonialnej. Jej ofiarą padły miejscowe ludy, które jęczały pod jarzmem polskiej szlachty. Profesor Beauvois w swojej książce polskich ziemian nazwał „plantatorami", a ruskich chłopów „niewolnikami".

„Każdy naród – pisał francuski badacz – winien jasno zdać sobie sprawę ze swej przeszłości. Zatem dla Polaków nadszedł bez wątpienia czas uznania „kolonialnego" charakteru ich obecności na Ukrainie, z której w końcu zostali wygnani. […] Polacy na próżno starali się odciąć od ukraińskiego żywiołu i okopać w swych dworach-twierdzach. Ukraińcy bywali traktowani przez Polaków jako »nasz ludek«, masa potulna, grzeczna i nieco ograniczona do momentu, kiedy okazywało się, że ów »ludek« może się zamienić w stado narwanych koni, w niebezpiecznych buntowników, których trzeba koniecznie poskromić".

Stąd już tylko krok od tezy głoszonej przez część badaczy ukraińskich, że masakry Polaków dokonywane w XX w. na Ukrainie były de facto walką narodowo-wyzwoleńczą. Mniej więcej taką samą jak boje Algierczyków i Wietnamczyków przeciwko kolonialnej dominacji Francji.

Metafora prof. Beauvois trafiła pod strzechy dzięki naszej noblistce Oldze Tokarczuk. „Trzeba będzie stanąć z własną historią twarzą w twarz – mówiła pisarka w 2015 r. – I spróbować napisać ją trochę od nowa, nie ukrywając tych wszystkich strasznych rzeczy, które robiliśmy jako kolonizatorzy, większość narodowa, która tłumiła mniejszość, jako właściciele niewolników czy mordercy Żydów".

MY, LITWINI

Muszę przyznać, że teza prof. Beauvois swego czasu bardzo mnie zafrapowała. Rodzina moja wywodzi się bowiem z Wielkiego Księstwa Litewskiego. A konkretnie – z Laudy. Przodkowie moi mieszkali pod miejscowością Wędziagoła, mniej więcej w połowie drogi między Kiejdanami a Kownem.

Czy zatem dziadowie moi byli kolonizatorami? Oto jest pytanie, które zadałem sobie po przeczytaniu książki francuskiego badacza. Gdyby udzielić na nie odpowiedzi twierdzącej, należałoby uznać, że… skolonizowali samych siebie.

W Słowniku Języka Polskiego PWN kolonizacja ma bowiem dwie definicje. „Przekształcanie podbitych terenów w kolonie" i „zasiedlanie terenów bezludnych lub słabo zaludnionych". Z kolei w internetowym Wielkim Słowniku Języka Polskiego możemy przeczytać, że kolonie to „zagraniczne posiadłości jakiegoś państwa".

Jeżeli dobrze rozumiem te definicje, to kolonizatorem jest przybysz z odległej metropolii, który najpierw podbija obcy kraj, a następnie się w nim osiedla. Oczywiście – wyzyskując przy tym tubylców. Problem z moimi przodkami polegał na tym, że oni na Litwę nie musieli przybywać i nie musieli jej podbijać. Dlaczego? Bo byli tubylcami. Ludźmi, którzy na Litwie mieszkali „od zawsze". Litwa nie była dla nich obcym, zamorskim lądem, ale domem. Ukochaną ojczyzną.

Jarema Wiśniowiecki. Ruski kniaź, który tłumił powstanie Kozaków FOT. WIKIPEDIA

Na tym właśnie polega różnica. Polska nie podbiła Wielkiego Księstwa Litewskiego. Związało się ono dobrowolną Unią z Koroną. A szlachta litewska – wraz z upływem stuleci – dobrowolnie przyjęła polską kulturę i polski język. Nie oznaczało to jednak oczywiście, że ludzie ci przestali się czuć Litwinami.

Wprost przeciwnie. Nawet do dzisiaj wśród potomków litewskich rodzin można znaleźć patriotów Wielkiego Księstwa Litewskiego. A jednocześnie – patriotów Rzeczypospolitej Polskiej. Ludzi, którzy określają się jako „gente Lithuanus, natione Polonus".

W trwającym właśnie spisie powszechnym podam dwie narodowości „litewską" i „polską". Jest to dla mnie rzecz naturalna i oczywista. Zakładam, że tak samo zapewne zrobiłby Adam Mickiewicz, autor słów: „Litwo, Ojczyzno moja" napisanych po polsku. I tak samo zrobiłby pewnie marszałek Józef Piłsudski, który często mówił o sobie, że jest Litwinem.

„Ludzi mego pokolenia – pisał w 1923 r. prof. Marian Zdziechowski – wychowano jako Litwinów. W dzieciństwie uczono mnie, wraz z historią Polski, historii Litwy. Gdyby mnie dziś zapytano, kim w głębi serca się czuję, powiedziałbym, że się czuję obywatelem Wielkiego Księstwa Litewskiego, nierozerwalnie Unią złączonego z Polską. Gdy widzę powiewający z góry zamkowej w Wilnie sztandar z Orłem, a bez Pogoni, odczuwam to jako krzywdę sobie wyrządzoną".

Nie jestem ekspertem od światopoglądu francuskich kolonizatorów. Zdaje mi się jednak, że ich stosunek uczuciowy do Madagaskaru, Indochin czy Senegalu był jednak nieco inny niż przytoczony wyżej stosunek do Litwy.

Jeżeli chodzi o Wielkie Księstwo Litewskie, to teza o „polskiej kolonizacji" jest chybiona. W kraju naszym na palcach jednej ręki można było policzyć majątki należące do rodzin, które przybyły na Litwę z Korony. Aż do wielkich rosyjskich konfiskat popowstaniowych w XIX w. ziemia na Litwie należała do szlachty litewskiej.

Uznajmy jednak na chwilę, że Wielkie Księstwo Litewskie rzeczywiście było „polską kolonią". Kogóż wówczas nale-

eprasa.pl 06d3422e85

żałoby uznać za największego polskiego wyzyskiwacza? Oczywiście Radziwiłłów, do których należały przecież setki tysięcy dusz. W tym momencie cała sprawa sięga już oczywiście absurdu. Radziwiłłowie byli bowiem prastarym rodem litewskim. Symbolem Litwy.

Oczywiście nie twierdzę, że relacje szlachty i chłopów na Litwie układały się zawsze zgodnie i harmonijnie. Tak nie było. Dochodziło do tarć, krzywd i konfliktów. Szczególnie w epoce przed zniesieniem pańszczyzny. Stosunki między grupami społecznymi nie były w tamtych czasach sielanką i w tej sprawie prof. Beauvois ma rację.

Problem w tym, że wszelkie podobne konflikty miały charakter społeczny, a nie narodowy. Wynikały z feudalnych relacji między dworem, a wsią. Czy nam się to podoba, czy nie, tak był wówczas zorganizowany świat. Nie tylko Rzeczpospolita.

Błędem jest więc stosowanie współczesnych kryteriów i pojęć do zupełnie innych czasów. Dopiero powstanie nacjonalizmów na przełomie wieków XIX i XX podzieliło ludzi na „polskich panów" oraz „litewskich i białoruskich chłopów". W wiekach poprzednich nikt takimi kategoriami nie myślał. Gdyby w 1850 r. powiedzieć litewskiemu szlachcicowi z Laudy, że na własnej ziemi jest „polskim kolonizatorem", uznałby rozmówcę za niespełna rozumu.

„Litewskie były wioski, litewskie były zaścianki, choć w nich mówiono po polsku – wspominał ks. Walerian Meysztowicz. – »Litwin jestem« – mówił każdy za Kościuszką. Litwinami byliśmy wszyscy: w pałacach, dworach i chatach. Nikomu to nie przeszkadzało być Polakiem. Przynależność do dwóch narodów, stanowiących jedną Rzeczpospolitą, była powszechnie przyjęta. Nie zabraniano Litwinowi być Polakiem ani Polakowi Litwinem".

KONFLIKT NA RUSI

Nieco inaczej rzecz się miała na Rusi. Ziemie ukrainne – jak wiadomo – w 1569 r. weszły w skład Korony. Był to wówczas teren w dużej mierze spustoszony i wyludniony wskutek krwawych najazdów tatarskich. Określenie „Dzikie Pola" nie wzięło się znikąd.

Nie oznacza to jednak, że na Rusi nie było szlachty. Szlachta na Rusi była. Mowa o kniaziach i bojarach. Szlachta ruska – podobnie jak litewska – z czasem przyjęła polskie język i obyczaje. Kolejne wybitne ruskie rody, szczególnie po roku 1620, porzucały prawosławie na rzecz katolicyzmu.

Żeby sytuacja była bardziej skomplikowana – na żyzne i wyludnione ziemie ukrainne (legendarne czarnoziemy!) od połowy XVI w. masowo uchodzili polscy chłopi pańszczyźniani z Korony. Głównie z piaszczystego Mazowsza. Ci z kolei bardzo szybko zlewali się z otoczeniem. Przechodzili proces rutenizacji, przejmując język ruski i prawosławie.

Efekty były zdumiewające. Weźmy powstanie Bohdana Chmielnickiego z 1648 r. Otóż w szeregach Kozaków walczyli liczni uciekinierzy z Korony i ich potomkowie. A więc – stosując współczesne kryterium etniczne – Polacy. Z kolei na czele sił tłumiących rebelię stanął Jarema Wiśniowiecki, ruski kniaź, który został ochrzczony w wierze prawosławnej. Ot, jeden z wielu paradoksów tej złożonej historii.

Gdyby w 1850 r. powiedzieć litewskiemu szlachcicowi z Laudy, że na własnej ziemi jest „polskim kolonizatorem", uznałby rozmówcę za niespełna rozumu

Przykład ten pokazuje doskonale, że „kolonialny" klucz nie bardzo pasuje również do ukraińskiego zamka. Rozgrywający się na Rusi dramatyczny konflikt na linii szlachta-chłopi także miał charakter społeczny, a nie etniczny. Dotyczy to zarówno powstania Chmielnickiego, jak i fali pogromów, która strawiła polskie dwory i pałace na Ukrainie w latach 1917–1918. Chłopi zabijali ziemian nie dlatego, że byli „polskimi kolonizatorami", lecz dlatego, że byli „panami".

Oczywiście należy przyznać, że część „królewiąt kresowych" – z którymi wojowali Kozacy – przybyła na wyludnione ziemie ukrainne z Korony. Choćby familie Potockich czy Branickich. Na tym polegała różnica między Rusią a Litwą. Nadal jednak olbrzymia część mówiącej po polsku szlachty ukrainnej wywodziła się spośród kniaziów i bojarów.

Pisałem już o Wiśniowieckich. Do tego można dodać słynną książęcą familię Sanguszków, potężne rody Ostrogskich, Sapiehów czy Czartoryskich. A to przecież tylko magnacka „góra". Do tego dodać należy rzesze ziemiaństwa. Najstarsze rodowe dokumenty przechowywane w kufrach dworów na Ukrainie pisane były nie po polsku, ale w języku ruskim. Oni byli z kolei „Gente Ruthenus, natione Polonus".

Książka prof. Beavouis „Trójkąt ukraiński" jest przejmująca i szokująca. Rzeczywiście, opisane w niej fakty stoją w jaskrawej sprzeczności z idylliczną wersją „kresowego mitu". Mowa choćby o nasyłaniu przez ziemian Kozaków na buntujących się chłopów czy bezwzględnych działaniach wymierzonych w drobną, zdeklasowaną szlachtę.

Ta ostatnia historia wymaga krótkiego omówienia. Otóż oprócz ziemian na Rusi mieszkały szerokie rzesze szlachty bez ziemi. Ludzie ci byli katolikami. Uprawiali ziemię, którą dzierżawili od właścicieli ziemskich. Gdy w XIX w. ceny gruntów na Ukrainie poszły gwałtownie w górę – część ziemian zdecydowała się wyrugować ubogich „panów braci". Rugi te przeprowadzono przy pomocy rosyjskiej policji.

Ta smutna historia opisana z drastycznymi szczegółami przez prof. Beauvois – paradoksalnie – jest zaprzeczeniem tezy o „polskim kolonializmie". Widać bowiem, że ziemianie na Rusi kierowali się interesem swojej grupy społecznej. Gdyby rzeczywiście chodziło im o „polską kolonizację", powinni przecież chuchać i dmuchać na drobną szlachtę, która stanowiła największą część „żywiołu polskiego" na Rusi. A nie skazywać ją na poniewierkę.

Powtórzmy więc jeszcze raz: relacje między szlachtą i chłopstwem na ziemiach litewsko-białoruskich były dalekie od ideału i harmonii. Szczególnie na Rusi przerodziły się w ostry i jątrzący konflikt. Nie zmienia to faktu, że nie da się tego zjawiska nazwać „polskim kolonializmem". To przekładanie zachodnich pojęć do zupełnie innych, nieprzystających realiów.

Warto bowiem zwrócić uwagę na fakt, który często umyka w tej dyskusji. Chodzi o ziemie Korony Polskiej, gdzie „chłopy" i „pany" mówiły przecież tym samym językiem. Otóż w Koronie również istniała pańszczyzna i również występowały związane z nią napięcia. Czy to również była kolonizacja? Kolonizacja wewnętrzna?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Co czeka PiS?

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Kamila Baranowska

W obliczu coraz silniejszych tarć wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy na stole leży przynajmniej kilka możliwych politycznych scenariuszy. Które z nich są najbardziej prawdopodobne?

Scenariusz, który jeszcze do niedawna Jarosław Kaczyński zdecydowanie odrzucał – czyli przyspieszone wybory – z tygodnia na tydzień staje się coraz bardziej prawdopodobny. Widać bowiem, że prezes PiS ma już dość bycia zakładnikiem koalicjantów i ich żądań. Dotyczy to zwłaszcza Zbigniewa Ziobry i jego osobistej wojny z premierem Mateuszem Morawieckim.

„Dobrze by było, gdyby pamiętali stare przysłowie: »Dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie«. Otóż może się urwać. Polityka to relacje między ludźmi, a te w pewnym momencie mogą wyjść spoza kontroli. Trzeba sobie z tego zdawać sprawę" – ostrzegał koalicjantów w niedawnym wywiadzie w „Gazecie Polskiej" Jarosław Kaczyński. Mówił też o zbyt daleko idącym testowaniu cierpliwości koalicyjnej przez sojuszników, bo może się ono bowiem okazać, jak to określił, „nieudanym eksperymentem". „Przyznam, iż nie ukrywam zdumienia taką postawą, bo przecież liderzy obu naszych koalicyjnych ugrupowań są członkami rządu i powinni wiedzieć, iż takie wyskoki utrudniają rządzenie, a być może w przyszłości je sparaliżują. Trudno zrozumieć, jaki mają w tym cel, ale na pewno nie jest nim realizowanie interesu naszej ojczyzny" – orzekł.

– Mamy dziś do wyboru: albo się porozumiemy, albo w ciągu roku czekają

eprasa.pl 06d3422e85

nas wcześniejsze wybory. Wierzę, że uda nam się porozumieć, ale każdy, podkreślam, każdy musi zrobić krok wstecz – stwierdził z kolei Jarosław Gowin.

WCZEŚNIEJSZE WYBORY

Testem na spójność koalicji będzie z pewnością głosowanie nad ratyfikacją Funduszu Odbudowy, gwarantującego Polsce unijne pieniądze na walkę ze skutkami pandemii. Przeciwko ustawie o ratyfikacji Funduszu chce głosować Solidarna Polska, która od początku krytykowała Morawieckiego za to, jak prowadził negocjacje z Brukselą w tej sprawie, i ich finalny efekt. Prezes PiS zapytany w „Gazecie Polskiej", czy, jeśli partia Ziobry zagłosuje przeciw lub wstrzyma się podczas głosowania w tej sprawie, to koalicja rządząca będzie nadal trwać, odpowiedział, że nie. „Jeśli przegramy to głosowanie, to nie. Groźne są sprzeciwy prowadzące do porażki. I z nich trzeba wyciągać wnioski […]. Akurat to głosowanie jest arcyważne" – stwierdził prezes PiS.

Sprzeciw lub wstrzymanie się od głosu Solidarnej Polski nie oznaczają, że ratyfikacja Funduszu Odbudowy nie zostanie dokonana. Niewykluczone bowiem, że zagłosuje za nią część opozycji.

Politycy PiS odczytują wywiad prezesa dla „Gazety Polskiej" jako poważne ostrzeżenie pod adresem lidera Solidarnej Polski. – Przyjęło się sądzić, że Jarosław Kaczyński tak bardzo boi się powtórki z 2007 r., kiedy w wyniku decyzji o wcześniejszych wyborach stracił władzę, że nigdy nie zaryzykuje powtórki tego scenariusza. Tak też uważają ziobryści, sądząc, że mogą robić i mówić, co chcą, bo wcześniejszych wyborów nie będzie. Otóż jesteśmy na takim etapie wzajemnej niechęci i zniesmaczenia szefa, że jak nigdy wcześniej jest bliski decyzji o podjęciu tego ryzyka – mówi nam jeden z polityków PiS.

A ryzyko jest duże, bo z punktu widzenia PiS to nie jest dobry czas na wybory. Walka z pandemią osłabiła władzę, a dodatkowo nałożyły się jeszcze na nią inne czynniki, takie jak protesty w sprawie ustawy aborcyjnej czy niedawno serial dotyczący majątku Daniela Obajtka. Jedyne, co może zadziałać na korzyść PiS, to fakt, że opozycja jest na wcześniejsze wybory jeszcze gorzej przygotowana.

RZĄD MNIEJSZOŚCIOWY

Na pierwszy rzut oka scenariusz z rządem mniejszościowym wydaje się kompletnie pozbawiony sensu. Bo po co PiS trwanie bez sejmowej większości? Jeśli jednak przyjrzeć się dokładniej, to takie rozwiązanie nie jest wcale z punktu widzenia Jarosława Kaczyńskiego najgorszym z możliwych. Wręcz przeciwnie – zerwanie koalicji z Solidarną Polską i Porozumieniem oznacza, że obie te partie z dnia na dzień przechodzą do opozycji względem PiS, które tworzy od tej pory rząd mniejszościowy. Można sobie wyobrazić sytuację, w której taki rząd będzie próbował nadal realizować swój program, poddając pod sejmowe głosowania kolejne pomysły. Jak zachowają się wobec tego byli koalicjanci? Będą ręka w rękę z „totalną opozycją" głosować przeciwko pomysłom PiS, które do niedawna popierali, czy będą wspierać PiS, narażając się na docinki pt. „To po co wychodziliście z koalicji, skoro nadal głosujecie jak PiS?". Tak źle i tak niedobrze. Trwanie w takim rozkroku przez wiele miesięcy, które miałyby upłynąć do ustawowego terminu wyborów, sprawi, że zarówno Solidarna Polska, jak i Porozumienie będą się wykrwawiać oraz tracić na wiarygodności, wizerunku i powadze. Jarosław Kaczyński oczyściłby sobie pole po prawej stronie sceny politycznej i ułatwił samodzielny start w wyborach.

Ryzyko polega na tym, że przy rządzie mniejszościowym PiS musiałby mozolnie budować poparcie dla każdej ustawy z osobna, szukając głosów poza swoim klubem i wchodząc w rozmaite kompromisy, co także na koniec może okazać się wyniszczające i rujnujące wizerunek partii samodzielnej i sprawczej.

RZĄD TECHNICZNY OPOZYCJI I GOWINA

Po raz pierwszy ten pomysł dotarł do publicznej wiadomości w ubiegłym roku, gdy Jarosław Gowin otwarcie postawił się Jarosławowi Kaczyńskiemu i zablokował jego pomysł korespondencyjnych wyborów prezydenckich, które miały odbyć się w maju. Udało mu się wtedy doprowadzić do przesunięcia wyborów, które ostatecznie odbyły się pod koniec czerwca w formie tradycyjnej, a nie listownej. Widząc napięcia wewnątrz koalicji rządzącej, liderzy opozycji zaczęli składać Gowinowi rozmaite propozycje (mówiło się m.in. o stanowisku marszałka Sejmu), licząc, że dzięki jego postawie uda im się doprowadzić rząd PiS do upadku. Gowin co prawda odszedł z rządu, ale z opozycją się nie zbratał. Od tamtej pory co jakiś czas temat wraca, choć liderzy opozycji chyba tracą już wiarę. – Ten czas dla Jarosława Gowina też się kończy. Nie może być tak, że ktoś raz udaje, że jest z tymi, raz z tymi. Trzeba w polityce być jednak twardzielem, albo się jest w jakimś obozie, albo nie jest – mówił niedawno Borys Budka, przewodniczący PO. – Nie może być tak, że ktoś sobie wymarzy, że trzy miesiące przed wyborami, jak Kaczyński go nie weźmie na listy, to powie: „To ja do was przechodzę", nie – to będzie za późno. Albo teraz zdecyduje się na to odejście, albo niestety będzie współodpowiedzialny za to wszystko, co będzie się w najbliższym czasie działo – dodał Budka.

eprasa.pl 06d3422e85

Dlaczego opozycji tak bardzo zależy na przeciągnięciu Gowina? Ma to związek z rysującą się na horyzoncie perspektywą wcześniejszych wyborów, do których opozycja jest nieprzygotowana. Do tego dochodzi przekonanie, że pomimo popełnianych przez obecny rząd błędów wygrana będzie bardzo trudna dopóty, dopóki PiS ma w rękach media publiczne, prokuraturę i wszystkie inne instytucje publiczne. Chodzi więc o to, by tej przewagi Kaczyńskiego pozbawić. Na przykład tworząc rząd techniczny, którego zadaniem byłoby rozliczenie rządów PiS i doprowadzenie do wcześniejszych wyborów albo doczekanie do wyborów w ustawowym terminie, czyli w 2023 r. Bo im dłużej można grillować PiS, tym dla opozycji lepiej.

„Jarosław Gowin może porozumieć się z obecną opozycją i doprowadzić do powstania rządu technicznego, który będzie zarządzał Polską do czasu następnych wyborów. Będzie się to odbywało pod hasłem »oczyszczenia« Polski z wpływów PiS-u, czyli przejęcia TVP, kontroli nad spółkami Skarbu Państwa i nad prokuraturą generalną" – opowiadał w „Rzeczpospolitej" Jan Maria Jackowski, senator z klubu PiS. I oceniał: „Jeżeli liderzy PiS-u poważnie myślą o uratowaniu koalicji i dotrwaniu do wyborów w 2023 r. oraz zrealizowaniu tego, do czego się zobowiązaliśmy, to wymaga to od nich dialogu i konstruktywnego działania zamiast wymachiwania szabelką".

To plan, o którym coraz bardziej otwarcie i z coraz większą sympatią piszą też liberalne media, m.in. „Gazeta Wyborcza". Zakłada on, że na czele rządu technicznego mógłby stanąć np. Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL, który byłby do przyjęcia zarówno dla Lewicy, jak i Konfederacji czy Gowina. Bo w założeniu rząd techniczny miałby skupiać wszystkie obecne w parlamencie partie, od prawa do lewa. W teorii wszystko brzmi dobrze, w praktyce jednak dogadanie się tak wielu partii i podział między nimi stanowisk oznacza chaos i konflikty nie mniejsze niż te, które obserwujemy dziś w koalicji rządzącej. Nie wiadomo także, jak do pomysłu ostatecznie podejdzie sam Gowin, który choć rozżalony próbą odebrania mu władzy we własnej partii, zdaje sobie sprawę, że przeprowadzenie takiej operacji nie byłoby wcale proste.

W PiS szacują, że gdyby Gowin zdecydował się na taki ruch, poszłoby za nim czterech, może pięciu polityków, reszta z różnych powodów – ideowych, ale też pragmatycznych – na to by się nie zdecydowała. W takiej sytuacji cały spiskowy scenariusz nieco traci na atrakcyjności, bo utratę czterech posłów PiS może próbować zrekompensować sobie naborem kilku polityków od Kukiza, z którym toczą się rozmowy. Albo próbować dogadać się z częścią PSL, do czego podchody też już czyni. Gowin doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – W obecnym parlamencie nie da się stworzyć żadnej spójnej koalicji rządowej, która realnie mogłaby służyć Polsce, poza koalicją Zjednoczonej Prawicy – komentował niedawno w Polsat News. Dodał, że jeśli koalicja rządząca nie porozumie się, to jedyną alternatywą będą przyspieszone wybory, a nie żaden rząd techniczny.

PRZETRWANIE KOALICJI

Dlatego też pomimo licznych perturbacji i otwartych konfliktów w koalicji najbardziej prawdopodobny i racjonalny scenariusz to trwanie w dotychczasowej konfiguracji. Każde inne rozwiązanie wiąże się z ogromnym ryzykiem dla wszystkich trzech koalicjantów Zjednoczonej Prawicy. „Przytłaczająca większość ludzi tworzących dzisiejszą większość rządzącą zdaje sobie sprawę z tego, iż nie ma innej alternatywy niż współpraca w tym układzie" – przyznał Kaczyński w „Gazecie Polskiej".

Ostatni sondaż United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM pokazał, że gdyby wybory odbyły się teraz, a partie wchodzące w skład Zjednoczonej Prawicy kandydowałyby osobno, to ani Solidarna Polska, ani Porozumienie nie weszłyby do Sejmu (obie partie dostałyby po ok. 2 proc. głosów). To samo badanie pokazuje też, że PiS z koalicjantami czy bez nich i tak traci większość, a więc i władzę. Co tylko potwierdza fakt, że dla partii Kaczyńskiego to nie jest dobry czas na ogłaszanie przedterminowych wyborów.

Nasi rozmówcy z PiS są zgodni, że lepiej przeczekać trudny okres pandemii i zająć się minimalizowaniem strat, niż ryzykować teraz wybory, np. na jesieni. „Będąc w koalicji, zawsze trzeba być przygotowanym na jakieś perturbacje. Ale nawet gdyby odpadło kilka głosów, to wydaje mi się, iż znalazłyby się nowe. Zatem nasz cel – wybory w przewidzianym konstytucyjnie terminie w 2023 r. i kolejna kadencja – jest osiągalny" – orzekł w cytowanym już wywiadzie dla „Gazety Polskiej" Jarosław Kaczyński. „Jesteśmy zdeterminowani, by dokończyć tę kadencję jako formacja sprawująca rządy" – dodał.

Lider PiS liczy na to, że w razie rozpadu koalicji rządzącej i na przykład odejścia lub wyrzucenia z niej Ziobry większość posłów Solidarnej Polski pozostanie przy Prawie i Sprawiedliwości. Podobna kalkulacja dotyczy polityków Porozumienia. Połajanki, które prowadzą prezes PiS i jego najbliżsi współpracownicy (Ryszard Terlecki stwierdził publicznie, że jako radykał najchętniej natychmiast pozbyłby się obu koalicjantów, i już), to gra o to, jak zapamiętamy to, co się dziś dzieje. Kaczyńskiemu zależy, by jeśli doszłoby do rozbicia koalicji, odpowiedzialnością za to obarczyć koalicjantów. – Prezes rozpoczął przygotowania do opowieści o złym Ziobrze, który po raz kolejny zdradził prawicę i doprowadził do upadku rządu. To wstępne czyszczenie pola po prawej stronie przed wyborami bez względu na to, kiedy one będą – słyszymy od naszych informatorów.

Z drugiej strony nie tak dawno jeden z wpływowych polityków PiS przekonywał nas, że nie jest wcale wykluczone, że Gowin i Ziobro jednak znajdą się w przyszłości na listach PiS. Mimo wszystko. – Raz, że tak mówi umowa koalicyjna, a prezes uważa, że umów trzeba dotrzymywać. A dwa, że jeśli sondaże pokażą, że tylko projekt Zjednoczonej Prawicy ma wyborcze szanse, to nie będzie innego wyjścia. Pewnie będzie chciał ich osłabić, postawi na lepszą kampanię posłów z PiS, co zaniedbał ostatnio, oddając pole ambitnym politykom od Ziobry czy gowinowcom, ale zapewniam, że prezes nie kieruje się emocjami, lecz politycznym rachunkiem – argumentował nasz rozmówca.

Większość polityków PiS niezbyt jednak w to przebaczenie wierzy. Oni sami też zresztą żyją w przekonaniu, że powtórka z lat 2015 czy 2019 jest raczej niemożliwa. Dlatego tak walczą o swoją podmiotowość i próbują budować tożsamość na kontrze do PiS.

„Niesłychanie partykularyzują, a wręcz indywidualizują swoje cele według schematu: muszę mieć swoją tożsamość, bo być może w przyszłości ona mi się przyda" – mówił w „Gazecie Polskiej" Jarosław Kaczyński. Znacząco dodał: „Polska jest ważniejsza od poczucia tożsamości jakiejś grupy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Będziemy prowadzić ze Zjednoczoną Prawicą „handel wymienny”

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Z Pawłem Kukizem, przewodniczącym koła poselskiego Kukiz'15 – Demokracja Bezpośrednia
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Partię Jarosława Gowina nazwał pan kiedyś złośliwie „porozumieniem z prezesem”, ironizując na temat uległości ugrupowania wobec Jarosława Kaczyńskiego. Teraz pan zawrze porozumienie z... no właśnie, z kim? Z Gowinem czy z Kaczyńskim?

PAWEŁ KUKIZ: Chyba nie ma polityka, na którego temat nigdy się nie wyzłośliwiałem. Ale nie ma też polityka, z którym nie usiadłbym do stołu rozmów na temat realizacji moich postulatów, które głoszę niezmiennie od 2015 r. Bez przerwy powtarzam, że moim celem jest zamiana obecnego, semidemokratycznego systemu na ustrój prawdziwie demokratyczny, w którym obywatel przestałby być własnością polityków, stając się ich realnym pracodawcą. Rozmawiam o tym z każdym. To oczywiste jednak, że najbardziej intensywne negocjacje prowadzę z tymi, którzy mają moc sprawczą i mogliby przynajmniej część z moich postulatów wprowadzić w życie. Z tego punktu widzenia na pewno większe możliwości ma Kaczyński niż Gowin.

Czyli rozumiem, że udało się dogadać z prezesem PiS?

Cały czas jestem w trakcie rozmów. Proszę jednak pamiętać, że nawet jeśli dojdzie do konsensusu, to nie zawieramy żadnej koalicji! To tylko porozumienie programowe. Moim celem nie są stołki w ministerstwach czy spółkach Skarbu Państwa, ale zmiana legislacji. Będziemy prowadzić ze Zjednoczoną Prawicą „handel wymienny” – ustawa za ustawę. Jeśli panu Kaczyńskiemu zabraknie szabel

eprasa.pl 06d3422e85

do przegłosowania jakiegoś projektu, to mogę pomóc, ale nie za darmo. Pod warunkiem, że najpierw – podkreślam słowo „najpierw" – PiS poprze moją ustawę.

Podobno PiS wstępnie zgodził się na poparcie dwóch pańskich projektów: ustawy o sędziach pokoju i antykorupcyjnej...

Nic nie jest pewne. W każdym momencie może się zmienić sytuacja polityczna. Może się nagle okazać, że tarcia w koalicji ustaną, a wtedy nie będę już nikomu do niczego potrzebny i żaden handel się nie uda. Natomiast na tę chwilę rzeczywiście mamy wstępne porozumienie na temat ustawy o sędziach pokoju. Z kolei treść ustawy antykorupcyjnej jest konsultowana z prawnikami z otoczenia PiS i z ministrem Łukaszem Schreiberem z KPRM. Nie wiemy jeszcze, czego w zamian będzie oczekiwać PiS.

A na co pan by się zgodził? Spekuluje się, że stawką może być ustawa medialna, co do której pan był sceptyczny.

Nie jestem sceptyczny względem ustawy medialnej jako takiej. Mam jedynie wątpliwości co do niektórych jej zapisów. Nie podoba mi się wprowadzenie trwałego podatku od reklam, ponieważ w taki sposób można w nieskończoność wymyślać kolejne podatki. Natomiast uważam, że można byłoby zamiast tego wprowadzić daninę solidarnościową od mediów. Byłaby ona dystrybuowana przez organizacje zarządzania zbiorowego, które przekazywałyby środki na wsparcie przedstawicieli środowiska kultury, poszkodowanych przez koronakryzys. To byłby uczciwy układ, bo media w dużej mierze zarabiają na kulturze właśnie.

„Z prawicą Morawiecki ma niewiele wspólnego, jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze przynajmniej. Wcześniej podnosił podatki po cichu. Teraz otwarcie mówi o daninie solidarnościowej. A przecież, podobnie jak inni politycy PiS, wielokrotnie zapewniał, że podatków nie podniesie" – mówił pan w rozmowie ze mną dla „Do Rzeczy" trzy lata temu. Wtedy był pan przeciwko jakiemukolwiek podnoszeniu opłat i krytykował pan PiS za fiskalizm.

To co innego. Wtedy była mowa o daninie, która tak naprawdę była nowym podatkiem, bo trafiała do budżetu państwa, a dopiero potem do potrzebujących. Danina solidarnościowa, o której mówię teraz, trafiałaby do instytucji kultury za pośrednictwem organizacji zarządzania zbiorowego. Nie przechodziłaby przez Skarb Państwa. Poza tym dotychczasowe programy pomocowe nie wystarczą, by zażegnać kryzys w świecie kultury. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby media partycypowały w stratach poniesionych przez twórców, ponieważ w dużej mierze zawdzięczają twórcom swoje zyski. Natomiast zrobiłbym wszystko, aby wyrzucić z pomysłu PiS zapisy, pozwalające tak naprawdę dofinansowywać z budżetu państwa media sprzyjające władzy.

Media informowały niedawno, że ewentualna współpraca pana z partią Gowina miałaby się opierać także na wspólnym przygotowywaniu rozwiązań dla przedsiębiorców. Pamiętam, jak wyśmiewał pan rzekomą wolnorynkowość prezesa Porozumienia. O Gowinie i Morawieckim mówił pan niemal jak o socjalistach, którzy potrafią jedynie podnosić podatki. Teraz wierzy pan, że obaj stali się zwolennikami wolnego rynku?

Po pierwsze, jeśli doszłoby do porozumienia z Jarosławem Gowinem, to przede wszystkim w kwestiach reform ustrojowych. Gospodarcze są dla mnie na drugim planie. A co do moich wypowiedzi na temat Gowina czy Morawieckiego – były złośliwe, to prawda. Sytuacja wokół koalicji rządzącej jest tak dynamiczna, że nie wiem, czy jest sens rozmawiać o konkretnych politykach i złośliwościach w ich kierunku. Kto wie, do jakich zmian kadrowych może jeszcze dojść na szczytach władzy...

To może w pewnym momencie wicepremiera Gowina zastąpi wicepremier Kukiz?

Pan chyba żartuje. Cały czas mówię, że nie mam zamiaru wchodzić do rządu, a ewentualne porozumienie z PiS byłoby umową programową, a nie koalicyjną. Powtórzę raz jeszcze – chcę takich zmian w prawie, by państwo nie było łupem dla polityków, ich rodzin i znajomych. Nie przedmiotem służącym realizacji partykularnych interesów, ale podmiotem, którym zarządzają ludzie przyzwoici i fachowi. Do tego niezbędne są zmiany ustrojowe.

Wiem, słyszałem. Tyle że podobnie kiedyś pan ciągle powtarzał, że nie założy partii. Zdanie pan zmienił. Jak to polityk.

Odpowiem słowami klasyka: „Nie chcę, ale muszę" (śmiech). Założenie partii to w dużej mierze efekt nacisku członków Stowarzyszenia Kukiz'15, którzy większością opowiedzieli się za zmianą formuły działania. Ale też i moje pozbycie się złudzeń, że sam „duch obywatelski" wystarczy, by istnieć w polityce, bo żeby w niej funkcjonować, trzeba mieć pieniądze. A ja nie mam zamiaru sprzedać do końca wszystkiego, co zarobiłem w show-biznesie, żeby jakoś funkcjonować i zachować szansę na realizację swoich postulatów. Zresztą niewiele już do sprzedania zostało. Prawo jest tak skonstruowane, że subwencje dostaje tylko partia polityczna. Ruchy obywatelskie subwencji nie otrzymują. Partia to dla mnie instrument do realizacji celu, a nie cel sam w sobie.

> **Proszę nie porównywać mnie z panem Hołownią. Hołownia idzie po władzę tylko po to, by zastąpić obecnie rządzących swoimi ludźmi**

Przecież jednak tak ostro występował pan przeciwko partiokracji. Tak chętnie pan podkreślał, że Kukiz'15 to ruch, a nie partia...

Cały czas jestem wrogiem partiokracji.

Ale partię pan jednak założył. Musiał pan połknąć własny język. W wywiadzie, który przeprowadziłem z panem kiedyś dla „Do Rzeczy", mówił pan o „wirusie partiokracji", w nawiązaniu do swojej piosenki „Virus sLD" sprzed lat. Kiedy się pan tym wirusem zaraził i jak ciężko przechodzi pan tę chorobę?

Podchodzi pan do określenia „partiokracja" bardzo powierzchownie. Nie jestem wrogiem partii politycznych jako takich, tylko konstrukcji, charakteru polskich partii politycznych. Ordynacja wyborcza sprawia, że są to ugrupowania niedemokratyczne, wodzowskie. Bo u nas nie obywatele, lecz wódz partyjny decyduje, kogo wpisać na listę wyborczą, czyli – komu nadać indywidualne bierne prawo wyborcze. W związku z tym struktura partii ma charakter hierarchiczny, odgórny. Więcej ma wspólnego z wojskiem niż z demokratyczną polityką. Poseł „boi się" wodza partii, a nie obywatela, bo to wódz decyduje, czy wpisze go na partyjną listę wyborczą w kolejnych wyborach. Oczywiście, teoretycznie, każdy może startować w wyborach parlamentarnych poza systemem partyjnym, pod warunkiem

eprasa.pl 06d3422e85

jednak, że założy swój komitet wyborczy, wystawi w całym kraju listy kandydatów, zbierze 120 tys. podpisów i przekroczy pięcioprocentowy próg… Partie są faworyzowane. I to jest właśnie partiokracja!

Jednak z jakiegoś powodu na początku założył pan ruch, a nie partię. Nie żałuje pan? Może trzeba było od razu ułatwić sobie zadanie i zarejestrować partię?

Jak miałem założyć partię w ciągu kilku miesięcy pomiędzy wyborami prezydenckimi a parlamentarnymi?! Po pierwsze, w ogóle nie miałem wcześniej w planach startu do Sejmu. Dopiero wtedy, kiedy okazało się, że w wyścigu prezydenckim zająłem trzecie miejsce, zrozumiałem, że mam szansę wejść do parlamentu. Zdążyłem założyć komitet wyborczy. Partii założyć bym nie zdążył. Żaden sąd by mi jej nie zarejestrował.

Podobnie jak pan do polityki wchodził Szymon Hołownia. Również zaczynał jako apolityczny, obywatelski kandydat na prezydenta, również zajął trzecie miejsce i zaczął budować swój ruch, bazując na tym sukcesie i korzystając ze zmęczenia istniejącym podziałem partyjnym…

Proszę nie porównywać mnie z panem Hołownią. Pan Hołownia kieruje się zupełnie innymi przesłankami niż ja. Ja przyszedłem po to, by przynajmniej spróbować zmienić ustrój. Hołownia chce ten ustrój zachować. Idzie po władzę tylko po to, by zastąpić obecnie rządzących swoimi ludźmi. Jego filozofia, w największym skrócie, jest taka – „system jest dobry, tylko nieodpowiedni ludzie sprawują władzę. Ja, Szymon Hołownia, wprowadzę tych odpowiednich i będzie cudownie od Bałtyku do Tatr". Ja natomiast twierdzę, że dopóki nie zmienimy systemu, dopóty do władzy zawsze będą w większości dochodzić niewłaściwi ludzie.

Wróćmy do porozumienia z PiS. Ustawę o sędziach pokoju i antykorupcyjną prawdopodobnie uda się panu przeforsować. Także dlatego, że nie są to idee, przeciwko którym PiS kiedykolwiek oponował. Koszt polityczny będzie niewielki. A co ze zmianą ordynacji na większościową albo chociażby mieszaną? Partia Kaczyńskiego nigdy nie pałała chęcią wprowadzania tego typu rozwiązań.

Do ewentualnego porozumienia, panie redaktorze. Rozmawiałem z prezesem Kaczyńskim o modelu niemieckim, który zakłada ordynację mieszaną. Moim celem jest generalnie nadanie każdemu obywatelowi indywidualnego biernego prawa wyborczego. Wyjście z kotła partyjnej dyktatury. Można to zrobić na wiele sposobów, niekoniecznie od razu wprowadzając jednomandatowe okręgi wyborcze – nie mam zamiaru głosić hasła „JOW-y albo śmierć". Będziemy rozmawiać o systemie mieszanym, o zniesieniu progu wyborczego… Nie wiem, ile uda się uzyskać w rozmowach z PiS. Szansa zawsze jest. Natomiast wielkim sukcesem byłoby już wprowadzenie instytucji sędziów pokoju, ponieważ byliby oni wybierani bezpośrednio przez obywateli. Z kolei ustawa antykorupcyjna byłaby skutecznym narzędziem prewencyjnym, zniechęcającym urzędników państwowych do sięgania w sposób nielegalny po pieniądze z podatków obywateli. Gdyby jeszcze udało się przeforsować koncepcję obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej albo projekt ustawy ułatwiającej odwołanie wójta, burmistrza i prezydenta miasta w referendum lokalnym, to byłoby już bardzo wiele. Szczególnie że do tej pory dla uczynienia demokracji bardziej bezpośrednią nie udało się zrobić absolutnie nic.

A jaka jest w tym wszystkim rola prezydenta Andrzeja Dudy?

W ubiegły wtorek oficjalnie zainaugurowaliśmy działalność zespołu do spraw sędziów pokoju przy Kancelarii Prezydenta. Tym samym Andrzej Duda spełnił obietnicę wyborczą, którą złożył mi przed drugą turą wyborów. Zadeklarował wówczas, że zajmie się sprawą sędziów pokoju. Nie zawiódł mnie.

„Załóżmy, że prezes PiS mówi: »Dobrze, Kukiz, podpiszemy tę ustawę, ale wy w zamian musicie zagłosować za jakąś tam naszą ustawą«. Najpierw oni musieliby uchwalić naszą ustawę, a potem ja – ich projekt. To ja mógłbym oszukać Kaczyńskiego, a nie Kaczyński mnie" – mówił pan na antenie telewizji Polsat News. Naprawdę wierzy pan w to, że Kaczyński da się panu oszukać? Nie boi się pan, że będzie tylko instrumentem w rękach prezesa PiS?

Po pierwsze – nie mam zamiaru nikogo oszukiwać. A po drugie – jeśli doszłoby do konsensusu z PiS w sprawach programowych, to po co miałby ktoś kogoś oszukiwać? A co do „bycia instrumentem w rękach Kaczyńskiego", to ewentualny sojusz programowy powodowałby, że ja byłbym „instrumentem w rękach Kaczyńskiego", a prezes moim, zaś przypadek jakiejkolwiek próby oszustwa przez drugą stronę spowodowałby moje natychmiastowe wycofanie się z porozumienia. Widzi pan, ja mam ten komfort, że nie mam i nie zamierzam mieć spółek Skarbu Państwa czy jakiegoś ministerstwa. Nie mam żadnego innego interesu oprócz zmiany prawa na proobywatelskie.

„Jeśli Paweł Kukiz chciałby w przyszłości startować z list PiS, to ma szanse. Pytanie, jakie plany ma sam Paweł Kukiz" – stwierdził niedawno Radosław Fogiel, wicerzecznik PiS. Co pan na to?

Nie wiem, czy będę startował w kolejnych wyborach. Nie wiem, co się po drodze wydarzy. Nie wiem, czy w ogóle uda mi się cokolwiek osiągnąć w tej kadencji. A jeśli będę kandydować, to nie wiem, z czyich list. Nie wiadomo, czy wybory odbędą się w terminie, czy wcześniej. Może wystartuję ze swoją partią w koalicji z jakąś inną, a może samodzielnie. Nie wykluczam żadnej z tych opcji.

Jakie jest prawdopodobieństwo przyspieszonych wyborów?

Ciężko powiedzieć. Ideowa spójność Zjednoczonej Prawicy się wyczerpała. Jednak wciąż silna pozostaje wspólnota interesów materialnych. Wątpię, żeby zaplecze Gowina czy Ziobry zrezygnowało z pensji w spółkach Skarbu Państwa. Bardziej niż przyspieszone wybory możliwa jest sytuacja, w której albo Ziobro, albo Gowin opuszczą koalicję z grupą zbuntowanych posłów. Niemal pewne jest jednak, że w sojuszu z PiS pozostanie tylu ich ludzi, żeby wystarczyło na utrzymanie władzy.

Podobno jeden z pańskich posłów dostał od PiS propozycję wysokiego stanowiska. Odmówił. Kaczyński raczej wolałby mieć swoich ludzi w ramach zwartej koalicji niż ideowe porozumienie z partią spoza koalicji. PiS może dalej kusić pana ludzi. Wierzy pan, że jedność Kukiz'15 się utrzyma?

Skoro poseł z mojego koła poinformował mnie, że dostał taką propozycję, to znaczy, że jest wobec mnie lojalny. A jeśli kiedyś kogoś PiS przekupi, to trudno. System jest tak silny, że to i tak cud, że wciąż Kukiz'15 jest „w grze". Mnie przy Wiejskiej trzyma cień nadziei, że uda się wprowadzić przynajmniej część zmian ustrojowych – choćby sędziów pokoju. Ale jeśli okaże się, że to mrzonka, to odejdę z polityki. Z poczuciem, że przynajmniej próbowałem tego potwora partiokracji osłabić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Rafał A. Ziemkiewicz

Nie jest przypadkiem, że polskie organizacje „prozwierzęce" większość swych budżetów dostają z krajów, których produkty rolne zdołała Polska w ostatnich latach wyprzeć ze światowych rynków

Marsz na rzecz „praw zwierząt" w Warszawie

FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Prawa przeciwko ludziom

Wyraźne i jednoznaczne stwierdzenie wiceministra edukacji, Tomasza Rzymkowskiego, że z punktu widzenia logiki prawa nie może istnieć coś takiego jak „prawa zwierząt", więc nie powinno się o nich uczyć dzieci, wywołało paroksyzm wściekłości na lewicy i w jej mediach. Wypowiedź ministra wytropili w „Naszym Dzienniku" aktywiści „prozwierzęcych" organizacji i nadali jej wielki rozgłos, zapewne w przekonaniu, że zostanie ona powszechnie odebrana jako kompromitująca dla władzy. Możliwe, że się przeliczyli: dopiero dzięki rozpętanej przeciwko Rzymkowskiemu i całemu MEN kampanii większość Polaków dowiedziała się ze zdumieniem, czego uczone są ich dzieci.

Poszło konkretnie o podręcznik do przyrody dla klasy III szkoły podstawowej. Szczególnie o stronę, na której – ze stosownymi fotografiami – przedstawione są „przykłady łamania praw zwierząt": sprzedaż żywych karpi (na zdjęciu ryby upchane ciasno jak w puszce), praca ponad siły (koń ciągnie góralską furę z turystami), doświadczenia na zwierzętach, transport żywych zwierząt, hodowla zwierząt dla futer (!), występy w cyrku, kłusownictwo. Zadanie domowe: wyjaśnij, na czym polega łamanie praw zwierząt w podanych przypadkach.

Taki dobór przykładów domaga się postawienia wielu pytań. Jeżeli złem jest prowadzenie doświadczeń na zwierzętach laboratoryjnych, to jak mamy testować leki – na ludziach? Jeżeli transport żywych zwierząt jest łamaniem ich praw, to w jaki sposób je przemieszczać z miejsca na miejsce – pędząc stada przez kraj, jak dawni amerykańscy kowboje? Albo czym właściwie z punktu widzenia zwierzęcia i jego domniemanych praw różni się kłusownik od myśliwego? Jeśli zakazane jest jedno – to dlaczego nie drugie? A nade wszystko: jeśli łamaniem „praw zwierząt" jest hodowanie ich na futra, to jak można je hodować dla mleka, mięsa i jaj?

SĄD NAD KOTEM

Za rządów PiS wpisano więc, cichcem i bez dyskusji, do szkolnego podręcznika jako rzeczy oczywiste sprawy wielce dyskusyjne. Szczególnie kwestia ostatnia, za sprawą nieszczęsnej „piątki dla zwierząt", wzbudziła liczne protesty środowisk rolników i przedsiębiorców. W istocie atak lewicy akurat na ten dział hodowli nie jest, wbrew jej twierdzeniom, powodowany tym, jakoby los zwierząt futerkowych był znacząco gorszy niż innych zwierząt hodowlanych. Jest dokładnie odwrotnie: zwierzęta futerkowe muszą mieć zapewniony dobrostan w większym stopniu niż np. hodowane na mięso, bo jeśli czują się źle traktowane, to linieją i tracą wartość.

„Futrzarzy" wybrały organizacje „prozwierzęce" na pierwszy cel dlatego, że futra są drogie i uważane za luksus, więc łatwiej jest przekonać (przy jednoczesnym głoszeniu bzdur o „ciasnych klatkach", w których „zwierzęta ranią się i zagryzają nawzajem), że „bez futer można się obyć". Jest to klasyczna, od zawsze stosowana przez lewicę metoda małych kroków. Uzyskajmy najpierw społeczne potępienie dla tego akurat działu hodowli, stwórzmy wyłom, a potem wejdziemy weń, żądając delegalizacji kolejnych branż: ferm kurzych, produkcji i przetwórstwa mleka itd. Już się to przecież dzieje na naszych oczach, już przeforsowano bardzo dla rolników bole-

eprasa.pl 06d3422e85

sny zakaz sprzedaży jaj z chowu klatkowego w wielkich sieciach marketów, a intensywna propaganda wbija podatnym na nią do głów wyrzuty sumienia, bo „krowa ma mleko dla swoich dzieci, nie dla ludzi".

Horrendum podręcznika, które na szczęście zauważyła nowa ekipa w MEN, nie polega jednak na nadgorliwości autorów, na przesadzie w podaniu przykładów niepotrzebnego naruszania dobrostanu zwierząt czy okrucieństwa wobec nich. Horrendalne jest samo pojęcie „praw zwierząt". Zwróćmy zresztą uwagę, że przez orędowników owych praw nierozwijane. Publicznie mówią tylko o jednym „prawie" zwierząt – o ich prawie do bycia dobrze traktowanymi, do dobrostanu. Ten postulat jest w społeczeństwie dość powszechnie akceptowany, więc mało kto zwraca uwagę na sposób, w jaki się go formułuje. Ale nawet jeśli się zgadzamy, że zwierzę powinno być dobrze traktowane, to jakie są jego inne „prawa", skoro zawsze mówi się o nich w liczbie mnogiej?

Słowa ministra, które wywołały furię lewicowo-liberalnych mediów, były zdroworozsądkowe i oczywiste. Można mówić o obowiązkach człowieka wobec zwierząt jako istot żywych i czujących (i mówi się od lat – lewica bynajmniej troski o dobre traktowanie „braci mniejszych" nie wymyśliła). Natomiast pojęcie „praw" zwierzęcia wywraca do góry nogami wszelki porządek. Zwierzę nie jest podmiotem prawa i nie może nim być, ponieważ nie jest istotą świadomą i zdolną do ponoszenia odpowiedzialności za sposób, w jaki ze swych praw korzysta. Na przykład – jeśli zwierzęta mają prawa, analogicznie jak ludzie, to nie można jak dotąd stosować zasady, że za szkody wyrządzone przez zwierzę odpowiada właściciel. Musi ono odpowiadać samo. Jeśli agresywny pies pogryzie dziecko – to nie wiń właściciela, pozwij samego psa. I – broń Boże – jeśli zamiast pozwu użyjesz w obronie dziecka kija, to jeśli państwo nie zapewni psu wtedy możliwości pozwania ciebie, to będzie cię musiało ścigać z oskarżenia publicznego. Tylko co, kiedy np. kot pożre mysz? Do jakiego sądu i jakiej policji zwrócić się ma wdowa po niej?

DEMOLOWANIE ŚWIATA

Każdy, kto zechce się nad sprawą zastanowić, zrozumie, że nadawanie ochronie zwierząt rangi ich „praw" to nonsens, z punkt widzenia sprawy niepotrzebny i szkodliwy. Fakt, że ideologia „wyzwolenia zwierząt", jak nazwał ją jej twórca, australijski lewicowy filozof Peter Singer, została tak mocno w ostatnich latach wypromowana, wypierając z obiegu publicznego tradycyjnie pojmowaną troskę o to, by zwierzęta były po prostu dobrze traktowane, wynika z pobudek zupełnie innych niż sympatia do nich.

Przypadków agresji, napadów na gospodarstwa, kradzieży pod pozorem „inspekcji", podpaleń mamy coraz więcej

Singer, którego dzieła, mówiąc nawiasem, prezentowane są przez wyznawców dość fragmentarycznie – pewnym problemem nawet dla zelotów jest głoszona przez filozofa pochwała zoofilii, w tradycyjnym rozumieniu traktowanej jako forma znęcania się nad zwierzętami, a nie okazywania im miłości – dostarcza bowiem rewolucjonistom kolejnego poręcznego narzędzia do realizacji ich odwiecznego celu: zdemolowania świata, w tym wypadku poczynając od systemu etycznego i opartych na etyce systemów prawnych. Jego filozoficzne odkrycie polega po prostu na utożsamieniu zwierzęcia z człowiekiem. Pojęcie praw zwierząt nobilituje „istoty nieludzkie", ale zarazem sprowadza te „ludzkie", razem z ich cierpieniem, do roli jednego z wielu równorzędnych gatunków zaludniających „matkę Ziemię". Co więcej – tego, który jej szkodzi, niszczy i z tej przyczyny zasługuje na potraktowanie w taki sposób, w jaki sam łamie od wieków prawa innych, równych sobie, a bardziej dla „matki" pożytecznych gatunków.

Zrównanie w filozofii Singera ferm hodowlanych z hitlerowskimi obozami zagłady – jak np. na obrazie przedstawiającym krowy w oświęcimskich pasiakach, kolportowanym swego czasu w Internecie przez europosłankę Spurek – każe wysnuć logiczny wniosek: w obronie praw zwierząt warto zabijać ludzi, którzy je łamią. Na Zachodzie motywowany tą filozofią ekoterroryzm to już codzienność. W Polsce kadry wychowywane w przekonaniu, że rolnik hodowca, myśliwy albo naukowiec pracujący w laboratorium to oprawcy zasługujący na surową karę, dopiero rosną. Ale dzieje się to szybko. Wystarczy spojrzeć na „prozwierzęce" fora internetowe, na radość, z jaką ich młodzi użytkownicy witają każdy wypadek w rodzaju przejechania przez rolnika traktorem własnego dziecka czy wpadnięcia do kosiarki. Nawet w polskim Internecie, kipiącym nienawiścią na różne sposoby, trudno znaleźć coś porównywalnego z językiem, jakim „prozwierzęcy" działacze zwołują się do „akcji" przeciwko myśliwym i rolnikom. Przypadków tej agresji, napadów na gospodarstwa, kradzieży pod pozorem „inspekcji" zwierząt gospodarskich, podpaleń mamy coraz więcej.

IDEA I PIENIĄDZE

W istocie bowiem głównym celem agresji „obrońców praw zwierząt" i ich ofiarą musi być, z natury rzeczy, rolnictwo. Jego istnienie jest nie do pogodzenia z podnoszeniem zwierzęcia do rangi istoty równej człowiekowi. Nie jest więc przypadkiem, że polskie organizacje „prozwierzęce" większość swych budżetów dostają z krajów, których produkty rolne zdołała Polska w ostatnich latach wyprzeć ze światowych rynków; z tego samego powodu główne kierunki uderzenia rodzimego ekoterroru to branże najbardziej eksportowe, futra, drobiarstwo i mięso „halal".

To jednak doraźna taktyka: strategicznym celem jest zasianie ideologii w młodych umysłach. Sprawdzoną metodą, typową dla tego rodzaju ruchów, „animalsi" trzymają się tu leninowskiej zasady „etapowania" i mądrości etapu. Tak jak komuniści kryli swe cele pod pozorem walki z wyzyskiem i krzywdą robotników, a feminizm używa jako przykrywki walki z „przemocą wobec kobiet", tak „prawa zwierząt" w dyskursie publicznym przedstawiane są jako walka z cierpieniem zwierząt – choć ta doskonale się bez nadawania zwierzętom „praw" obywa. Doskonałym tego przykładem był skrajnie manipulatorski, propagandowy materiał o wspomnianym na wstępie podręczniku i jego krytyce ze strony MEN w „Faktach" TVN. Zdroworozsądkowe wypowiedzi ministra przykryto zdjęciami skatowanego przez zwyrodnialca psa i okaleczonych zwierząt, ustami zaproszonych „prozwierzęcych" fanatyków i redaktor Werner wtłaczając poruszonemu tymi obrazami widzowi jednoznaczny przekaz: kto jest przeciwko „prawom zwierząt", ten jest takim właśnie zwyrodnialcem jak ci, którzy to zrobili, a co najmniej takich degeneratów wspiera i akceptuje.

Samo w sobie jest to dowodem, że czas już najwyższy przybliżyć Polakom, kto i co stoi za z pozoru szlachetną ideą „obrony praw zwierząt".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Jan Semka (1900–1994) z trzema synami – Jerzym (ojcem Piotra Semki), Ryszardem (w środku) i Zbigniewem (z prawej). W czasie wojny wszyscy przystąpili do AK, a Jan po wojnie uczestniczył w konspiracji „Łupaszki" FOT. PIOTR SEMKA

Fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką
przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Jak Semkowie Polskę wybrali

JAN HLEBOWICZ: Semka. To mało popularne nazwisko...

PIOTR SEMKA: [...] Cała moja rodzina od strony ojca była zanurzona w życiu na pograniczu polsko-niemieckim [chodzi o teren Powiśla, w trójkącie między Nogatem a Wisłą – przyp. J.H.]. Najlepiej oddaje to kwestia nazwiska, które od zawsze było polskie i brzmiało Semka, choć według tradycji rodzinnej ród wywodzi się z Litwy właściwej. Pruscy urzędnicy systematycznie próbowali je germanizować, przekształcając je i zapisując w oficjalnych dokumentach jako Sehnke. Dlatego część mojej rodziny do dziś używa nazwiska Semka, a pozostała podpisuje się Sehnke [...].

Czym zajmował się prapradziadek Mateusz?

Kluczowy w tej opowieści jest rozwój, który zaczął postępować w tej rodzinie na przełomie XIX i XX wieku. Mateusz Semka, czyli dziadek mojego dziadka, miał majątek w Dąbrówce Szlacheckiej. To był majątek ziemski. On sam, jego brat, a także ich synowie stali przed dylematem wyboru polskości czy niemieckości. Drugi z wyborów oznaczał szansę na zrobienie kariery miejskiej. Podjął go między innymi brat mojego dziadka Feliks. Wyjechał do Elbląga, został czeladnikiem, pomocnikiem aptekarskim, a po 1945 roku wyemigrował do Niemiec. Kto wyjeżdżał do miast, ten zazwyczaj ulegał zniemczeniu. Kto pozostawał na roli, trwał przy Polsce.

Tą drugą drogą podążył twój dziadek – Jan.

Tak. Chociaż nie było to wcale takie oczywiste. W 1911 roku dziadek rozpoczął naukę w Malborku. Sześć lat później został powołany do armii pruskiej. Z jego opowieści wynika, że walczył na froncie. Chociaż w moim przekonaniu znaczną część służby pochłonęło wyszkolenie. Pamiętam opowieści dziadka o widocznym pod koniec wojny rozprężeniu panującym w pruskiej armii. Mówił między innymi o żołnierzach, którzy Żelazne Krzyże nadawane za męstwo na polu walki, a także za sukcesy dowódcze przypinali psom do ogonów albo wieszali im na szyi. Symbolizowało to pogardę do Cesarstwa i panujących wówczas stosunków społecznych. Trzeba dodać, że ówczesna armia niemiecka odznaczała się niesłychaną kastowością. Dziadek Jan podkreślał, że młodzi oficerowie – synowie junkrów, czyli właścicieli ogromnych majątków ziemskich w Prusach – urządzali obrzydliwe w jego oczach zabawy. Mianowicie kupowali śmietanowy tort i wsadzali do środka złotą monetę. Wyznaczano dwóch szeregowców, młodych chłopaków wywodzących się z niższych warstw, którzy byli zmuszeni wziąć udział w zawodach. Każdy dostawał po łyżce. Wygrywał ten, kto pierwszy dotarł do schowanej we wnętrzu tortu monety. Oczywiste było to, że im szybciej jedli, tym mniej zważali na etykietę. Po chwili całe twarze i ubrania mieli w śmietanie, co stanowiło przedmiot niewybrednych żartów młodych oficerów wywodzących się z warstwy junkrów. Co ciekawe, jak zapamiętał dziadek, starsi oficerowie nie brali udziału w tych zawodach. Nie zabronili ich, ale też wyraźnie odcinali się od tego typu dowcipów. Dziadek nie rozumiał dlaczego. Zrozumiał dopiero podczas ataku na bagnety. Tak się pechowo złożyło, że młodzi junkrzy w czasie ataku otrzymali... kule w plecy od własnych żołnierzy.

Ostatecznie dziadek zdezerterował z wojska pruskiego.

Opuścił jednostkę w kwietniu lub maju 1919 roku. Według tradycji rodzinnej dziadek dotarł do tworzącej się w Grudziądzu jednostki polskiej kawalerii. Zaciągnął się do ułanów. Nie ma w tym nic

eprasa.pl 06d3422e85

dziwnego. Wychował się wszak w majątku ziemskim i doskonale jeździł konno. Problem pojawił się już na poziomie komisji werbunkowej. Kiedy okazało się, że dziadek pochodzi z terenów z okolic Sztumu i zna niemiecki, padło zdanie: „Takich, co chcą machać szablą, mamy aż nadto. Ale nie mamy takich, którzy pojechaliby na tereny plebiscytowe – na Powiślu, Warmii i Mazurach – i tam walczyli o Polskę. Czy podejmie się pan tego zadania?". Dziadek się zgodził.

Była to bardzo specyficzna misja. W Paryżu ustalono, że wszystkie tereny plebiscytowe powinny otrzymać kontyngent wojsk międzysojuszniczych. Województwo malborskie, wraz ze Sztumem, znalazło się pod kontrolą włoskich jednostek.

Dziadek wspominał, że niemieccy arystokraci z tych terenów natychmiast zaczęli owijać sobie wokół palca włoskich oficerów. Urządzali wystawne bankiety, zapraszali na polowania, obdarowywali drogimi prezentami. Skutek był taki, że Włosi zdecydowanie większą sympatią darzyli swoich bogatych gospodarzy niż Polaków. W trakcie ochrony jednego ze spotkań plebiscytowych doszło do bijatyki. Niemcom się upiekło, ale drugiej stronie już nie. Dziadek Jan został aresztowany, trafił do więzienia w Sztumie. Na szczęście Włosi kiepsko pilnowali zatrzymanych, co pozwoliło dziadkowi uciec. Jego misja nie mogła być jednak kontynuowana. Musiał wrócić na teren Polski.

Co działo się dalej z dziadkiem?

Nad ludźmi prowadzącymi akcję referendalną czuwała słynna „Dwójka", czyli Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego – komórka zajmująca się wywiadem i kontrwywiadem. Myślę, że to oni wycofali dziadka z terenu województwa malborskiego i zapewnili mu pracę nauczyciela ludowego na terenie województwa pomorskiego, a dokładnie w okolicach Inowrocławia. Ludzie, którzy sprawdzili się w pracy patriotycznej i propolskiej na terenie plebiscytowym, byli naturalnymi kandydatami na wychowawców młodych Polaków. W tym momencie dziejów historia naszej rodziny związała się na trwałe z historią Pomorza i Gdańska.

W ówczesnym Wolnym Mieście Gdańsku dziadek Jan poznał swoją przyszłą żonę Bronisławę Arciszewską.

Moja babcia, szlachcianka spod Mińska, była córką leśniczego, zdeklasowanego przedstawiciela warstwy szlacheckiej. Gdy Rosjanie ruszyli w 1920 roku na Warszawę, babcia razem z siostrami uciekały furmankami na północ. W pewnym momencie okazało się, że jeśli chcą zdążyć zbiec przed szpicą Tuchaczewskiego, muszą kierować się na Łotwę. Z przekazów rodzinnych wiem, że podróż ta była ogromną traumą. Tata babci zmarł po drodze. Siostry rozdzieliły się w Lipawie. Po dwumiesięcznej tułaczce babcia Bronisława przypłynęła z jedną walizką do Gdańska. Los chciał, że tego dnia dziadek miał do załatwienia interesy w WMG. Babcia wysiadła ze statku na Długim Pobrzeżu i nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Przycupnęła więc gdzieś na jakichś schodach i by dodać sobie animuszu, zaczęła pod nosem śpiewać polskie piosenki. Usłyszał to dziadek. Zainteresowany zatrzymał się przy młodej kobiecie, stuknął obcasami, przedstawił się i zapytał: „Dzień dobry szanownej pani. Sądząc po śpiewanej przez panią piosence, jest pani Polką. Widzę, że niedawno opuściła pani statek. Proszę wybaczyć, ale sprawia pani wrażenie osoby, która nie ma się gdzie podziać. Czy mogę zaoferować pomoc?". Tak się dziadek zaopiekował, że kilka miesięcy po tym spotkaniu wzięli ślub.

Jaka była babcia? Czym się zajmowała?

Dotykamy tutaj fenomenu, który niezwykle silnie odznaczył się w mojej rodzinie. Miał także niebagatelny wpływ na mnie i moje życiowe wybory. Mianowicie babcia wpisywała się w zjawisko, które określam jako „fenomen panien kresowych". To były dziewczyny wychowywane w domach o głęboko zakorzenionej tradycji samodzielności i operatywności. Z czego to wynikało? W dworkach kresowych bardzo często brakowało mężczyzn – ginęli w trakcie wojen, kolejnych powstań, rewolucji, byli więzieni oraz wywożeni na Syberię. Ta sytuacja niejako hartowała „panny z Kresów", które musiały same prowadzić gospodarstwa i interesy. Były więc silne, pracowite, inteligentne, zorganizowane, autonomiczne i niedające sobie w kaszę dmuchać. Ponadto cechowały się niezłomnym patriotyzmem oraz żarliwą religijnością. Taka była właśnie babcia oraz jej siostry. Na przykład ciocia Elżunia otrzymała od władz polskich propozycję funkcji instruktora Związku Harcerstwa Polskiego w Gdańsku. A była to praca niezwykle odpowiedzialna. Szczególnie po 1933 roku, kiedy nad Motławą zaczęło rządzić NSDAP, a polskie harcerki stały się obiektem brutalnych ataków ze strony Hitlerjugend. Były obrzucane kamieniami, pluto na nie i wyzywano je. Ciocia Elżunia mierzyła się z taką rzeczywistością codziennie.

W historię polskich harcerek i nieprzyjemnych młodzieńców z Hitlerjugend nieoczekiwanie wkraczają japońscy studenci znający... judo.

Politechnika Gdańska w warunkach Wolnego Miasta Gdańska otrzymała od Ligi Narodów przywilej, by dyplom ukończenia uczelni, na czele z najbardziej atrakcyjnym Wydziałem Budowy Okrętów, był uznawany przez wszystkie kraje wchodzące w skład LN. Oczywiście decyzja ta wzmocniła i tak już wysoką pozycję PG na mapie uczelni technicznych na całym świecie. Potencjał politechniki dostrzegli między innymi Japończycy, którzy w latach 20. XX wieku zaczęli realizować program rozbudowy floty i potrzebowali wykwalifikowanych specjalistów. Wysyłali więc masowo młodych, uzdolnionych inżynierów właśnie do Wolnego Miasta Gdańska.

No dobrze, ale co to ma wspólnego z polskimi harcerkami?

Japończycy cechujący się drobną budową ciała i skośnymi oczyma od samego początku byli wyśmiewani przez swoich niemieckich i polskich kolegów studiujących na PG. Wyzywano ich od małp i mikrusów. Szybko to się jednak skończyło, gdy okazało się, że potrafią się oni bardzo skutecznie bronić. Stosując specyficzną technikę walki, dawali radę dużo silniejszym i wyższym przeciwnikom. Kombinację różnego rodzaju chwytów i ciosów nazywali judo. Dowiedziała się o tym ciocia Elżunia i wysłała na lekcje judo swoje podopieczne. I w taki sposób polskie harcerki nauczyły się stawiać czoła niemieckim oprawcom…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. SVETLANA LOKIAN

Życie to pomaganie

Agnieszka Niewińska

Rodzice dzieci w ciężkim stanie klinicznym czuwają przy nich przez całą dobę. Mają proste marzenia: przeprowadzka na parter, opieka hospicyjna, pewność, że domowy budżet się zepnie. Bez pomocy innych trudno byłoby je zrealizować

Stepanek siedzi bezpiecznie na kolanach taty. Szczuplutki, z burzą jasnych włosów na głowie. Kiedy rozmawiamy za pośrednictwem komunikatora internetowego, ciekawsko zagląda w obiektyw kamerki. To właśnie z jego spojrzenia, tego, za kim wodzi oczami, rodzice wyczytują najwięcej, bo choć chłopiec ma sześć lat, to nie mówi, nie chodzi, ma problem z chwytaniem przedmiotów. Od urodzenia cierpi na rzadką genetyczną chorobę – hipoplazję mostowo-móżdżkową. – Kiedy Stepanek się urodził, myśleliśmy, że mamy zdrowe dziecko. Dopiero kiedy miał dwa miesiące, usłyszeliśmy od neurologa, że syn ma poważne opóźnienie w rozwoju. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Rozpoczęły się poszukiwania przyczyny – opowiada Andrii Levko, tata Stepanka.

CZEKANIE NA DIAGNOZĘ

Chłopiec przeszedł dziesiątki badań i hospitalizacji – zarówno na Ukrainie, skąd pochodzi rodzina państwa Levko, jak i w Niemczech, gdzie postawiono ostateczną diagnozę. Trwało to aż trzy lata. – Choroba Stepanka nie pozwala w prawidłowy sposób rozwijać się jego układowi nerwowemu, dlatego jego rozwój jest opóźniony. Nie może koordynować ruchu – ani rąk, ani nóg, co często go męczy. Chorobie towarzyszy też wiele innych dolegliwości, takich jak padaczka, nerwowość, problemy z połykaniem. Stepankowi musiał zostać założony PEG, przez który jest karmiony bezpośrednio do żołądka – wylicza Iryna Levko, mama chłopca.

Od czterech lat rodzina mieszka w Polsce. Pan Andrii rozpoczął pracę, żona i syn do niego dołączyli. Dwa lata temu na świecie powitali córkę Emmę. Zamieszkali w Krakowie. – Stepanek może tu liczyć na opiekę medyczną, znaleźliśmy dla niego odpowiednie przedszkole. Do godz. 13 ma zajęcia w małej grupie – rehabilitację, dogoterapię, muzykoterapię, alternatywne metody komunikacji. Nie chcemy, żeby spędzał czas jedynie w domu. Zależy nam na tym, żeby się socjalizował, oglądał świat, spotykał innych ludzi – mówi pan Andrii. I dodaje, że syn przedszkole bardzo lubi. – Widać to, zwłaszcza gdy wraca do niego po dłuższej przerwie. Jest podekscytowany, uśmiecha się, widząc panie.

Po godz. 13 Stepanek wraca pod opiekę mamy. Rodzic chorego dziecka zawsze ma wiele obowiązków. Od podania leków, przygotowania specjalnych posiłków – te dla Stepanka trzeba miksować, by można było je podać przez sondę – do pomocy

eprasa.pl 06d3422e85

w rehabilitacji, czynności pielęgnacyjnych, utrzymania sterylnych warunków w domu, tak by uniknąć infekcji, czuwania przy śpiącym dziecku. – Musimy mieć w domu wiele leków potrzebnych do opieki nad sykiem, materiały higieniczne do pielęgnacji sondy PEG. W pokoju Stepanka mamy też konieczne sprzęty, np. pionizator, żeby synek nie tylko leżał, lecz także spędzał trochę czasu w pozycji pionowej, wózek z blatem, przy którym próbuje coś układać, piłkę rehabilitacyjną, na której leżąc, się uspokaja – wylicza pan Andrii.

Opieka nad ciężko chorym dzieckiem to także duże wyzwanie finansowe. Zwykle jeden z rodziców rezygnuje z pracy, by poświęcić się opiece nad dzieckiem. Wówczas państwo wypłaca mu świadczenie pielęgnacyjne. W tym roku to niespełna 2 tys. zł. Jednak pani Iryna przez kilka lat po przyjeździe do Polski świadczenia nie otrzymywała. Jako obcokrajowiec wpadła w swego rodzaju lukę prawną. Przeprowadziła się do Polski w ramach łączenia rodzin. Nie miała dostępu do rynku pracy, więc nie mogła pobierać świadczenia dla rodzica, który z pracy rezygnuje, by opiekować się chorym dzieckiem. Z pomocą przyszło Stowarzyszenie SPES. Stepanek został przyjęty do Programu Pomocy Dzieciom tej organizacji. Rodzina co miesiąc otrzymuje stypendium, które może przeznaczyć na niezbędne wydatki.

Program Pomocy Dzieciom Stowarzyszenia SPES jest skierowany do rodzin opiekujących się w domu dzieckiem w ciężkim stanie klinicznym i będących w trudnej sytuacji materialnej. Powstał w 2012 r. – Zgłosił się do nas tata chłopca, który w wyniku podtopienia doznał nieodwracalnego ciężkiego uszkodzenia mózgu. Jego oddech wspomagany jest koncentratorem tlenu przez rurkę tracheostomijną, odżywiany jest dojelitowo. Okazało się, że dla dzieci przebywających w domu pod specjalistyczną aparaturą pomoc jest niewystarczająca, a opieka kosztowna i wyczerpująca dla rodziców. To był impuls do stworzenia programu pomocy rodzinom w podobnej sytuacji – mówi Dobrosława Walkiewicz ze Stowarzyszenia SPES. – Dzieci, które są stypendystami tego programu, cierpią na schorzenia, których nie da się wyleczyć. Ich życie jest bardzo kruche. Każda infekcja jest śmiertelnie niebezpieczna – dodaje.

W ostatnim roku w ramach Programu Pomocy Dzieciom wsparcie otrzymywało 25 rodzin z dziećmi w ciężkim stanie klinicznym. – Zanim przyznamy stypendium, rozmawiamy z rodziną, poznajemy jej sytuację, potrzeby, wspólnie wyznaczamy cele stypendialne. Zależy nam na tym, by rodzina miała motywację do działania na rzecz trwałej poprawy swojej sytuacji. Cel jest taki, żebyśmy w jakimś momencie przestali być im już potrzebni – tłumaczy Dobrosława Walkiewicz. Podkreśla, że Program Pomocy Dzieciom został zaprojektowany tak, by odciążyć rodziców czuwających przez całą dobę przy chorych dzieciach. – Zbiórka pieniędzy na opiekę nad chorym dzieckiem pochłania wiele czasu, wymaga dużo zaangażowania. Aby była efektywna, potrzebne jest także duże grono znajomych, które pomoże w jej rozpropagowaniu. Nie każdy, zwłaszcza rodzic pozostający w domu z dzieckiem, takie grono znajomych wokół siebie ma. Chcemy, by rodzice mogli poświęcić czas dziecku, zamiast zajmować się zbieraniem funduszy. Do Programu Pomocy Dzieciom chcielibyśmy przyjąć więcej rodzin, ale to zawsze zależy od tego, ile funduszy przekażą nam na ten cel darczyńcy – tłumaczy Walkiewicz.

Pan Andrii Levko podkreśla, że dzięki stypendium ze Stowarzyszenia SPES brak świadczenia pielęgnacyjnego dla żony nie był już tak odczuwalny. – Bardzo cenimy sobie także doradztwo, pomoc prawną. Jesteśmy obcokrajowcami, nie zawsze orientujemy się w polskich przepisach. Dzięki Stowarzyszeniu dowiedzieliśmy np., jak uzyskać refundację pampersów dla Stepanka. Dostaliśmy też wsparcie na zakup specjalistycznego wózka, dzięki któremu możemy z synkiem wychodzić np. na spacery – wylicza.

Stowarzyszenie SPES pomaga rodzinom chorych w zakupach niezbędnego sprzętu, na który nie uda się uzyskać finansowania ze środków publicznych. Jeśli jest taka potrzeba, to wspiera likwidację barier architektonicznych w domach. Tak było w przypadku cierpiącej na encefalopatię Wiktorii, którą „Do Rzeczy" odwiedziło w 2018 r. Dzięki wsparciu rodzina mogła przeprowadzić remont łazienki, w której zamiast wanny stanęła ogromna kabina. Można wjechać do niej z Wiktorią na leżaku kąpielowym. Stowarzyszenie pomaga również rodzinom w uzyskaniu dostosowanych do ich potrzeb mieszkań. W grudniu ubiegłego roku dzięki wsparciu Ośrodka Poradnictwa Stowarzyszenia SPES rodzina Kamila – chorego na zespół Ringa 22 – po ośmiu latach batalii prawnej z Urzędem Miasta Krakowa uzyskała mieszkanie socjalne na parterze nowo wybudowanego budynku. Dzięki temu chłopiec nie jest uwięziony w czterech ścianach.

Jednym z działań Stowarzyszenia SPES jest także wspieranie rodziców chorych dzieci w podnoszeniu kompetencji zawodowych tak, by mogli zmienić pracę na lepiej płatną. Swoje kwalifikacje zawodowe podnosi tata Stepanka. Jest architektem, ale po przeprowadzce musiał uzupełnić wykształcenie ze względu na inne realia i przepisy w branży budowlanej. Teraz chce się wyspecjalizować w technologii parametrycznego modelowania informacji o budynku (BIM). Stowarzyszenie SPES opłaciło specjalistyczne szkolenie w tym kierunku, kurs języka angielskiego i nostryfikację dyplomu ukończenia studiów. – Modelowanie informacji o budynku opiera się na międzynarodowych standardach. Gdy się tego nauczę, będę na rynku poszukiwanym specjalistą – mówi pan Andrii.

MARZENIE O SZKOLE

Stepanek mimo ciężkiej choroby ma takie upodobania jak inne dzieci. Lubi, kiedy rodzice są blisko, poświęcają czas na wspólną zabawę, czytają mu książki. Chętnie ogląda bajki – teraz robi to razem z młodszą siostrą.

– Staramy się też raz na jakiś czas gdzieś wyjechać, kilka dni spędziliśmy we Wrocławiu. Chociaż wyjazd to dla nas duże wyzwanie. Musimy m.in. mieć kuchnię do dyspozycji, by przygotować miksowane posiłki dla Stepanka, i oddzielny pokój dla niego. Nie jest w stanie zasnąć, jeśli nie śpi siostra – opowiada tata chłopca.

Państwo Levko na najbliższy czas mają kilka marzeń. Starają się o przyjęcie Stepanka do domowego hospicjum. Wizyty lekarza i pielęgniarki w domu dodałyby im pewności w opiece nad dzieckiem. Chcieliby także, żeby Stepanek po skończeniu przedszkola mógł iść do szkoły, a pani Iryna mogła rozpocząć pracę w wyuczonym zawodzie lingwisty. Chociaż wiedzą, że dziś medycyna nie ma odpowiedzi na chorobę ich syna, nie tracą nadziei. Wciąż śledzą doniesienia o badaniach naukowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

STOWARZYSZENIE SPES MOŻNA WESPRZEĆ, PRZEKAZUJĄC 1 PROC. PODATKU – KRS: 00000 14574 – LUB WPŁACAJĄC DAROWIZNĘ NA KONTO O NUMERZE: 80 1240 2959 1111 0010 2904 3289.

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. KYODO/EAST NEWS

Okruchy Klary

Piotr Gociek

Czas na ponowne spotkanie z mistrzem: w powieści „Klara i Słońce" Kazuo Ishiguro z elementów znanych i zgranych wyczarowuje dzieło wybitne

Jest Kazuo Ishiguro noblistą przyjaznym – sięgający po jego książki nie muszą obawiać się odbicia od ściany niezrozumienia, od artystycznych eksperymentów. Jest noblistą, który nie uchyla się od boksowania z problemami XXI w., a mógłby przecież z wieży z kości słoniowej wydawać ogólnie słuszne odezwy o niczym – wszak swoje miejsce w historii literatury już zdobył. Jest też noblistą bardzo ludzkim, empatycznym, przepełnionym współczuciem. Ciepłym pisarzem, choć dziwnie to brzmi, gdy przypomnimy sobie, że pisze o sprawach niewesołych. Jedynym współczesnym prozaikiem, u którego widziałem podobną syntezę mądrości, niepokoju, piękna, melancholii i współczucia, była zmarła niedawno Ursula K. Le Guin. Ona w odróżnieniu od Ishiguro Nagrody Nobla otrzymać nie zdążyła.

Jest wreszcie Kazuo Ishiguro noblistą, który nie boi się literatury gatunkowej. Jego najnowsza powieść „Klara i Słońce" reklamowana jest jako dystopia, poprzednia („Pogrzebany olbrzym") była wariacją na temat mitu arturiańskiego, jakże nadużywanego w powieściach fantasy. Jeszcze wcześniejsza (zekranizowana „Nie opuszczaj mnie") wykorzystywała konwencję historii alternatywnej, by przypomnieć o odpowiedzialności za życie, które tworzymy; wszystko to na przykładzie klonów hodowanych jako żywy magazyn części zamiennych dla oryginałów. Klonów obdarzonych świadomością i emocjami – całkiem jak w znakomitym opowiadaniu „Wrocieeś Sneogg, wiedziaam...", którym Marek S. Huberath wygrał konkurs miesięcznika „Fantastyka" w 1987 r.

Świat, do którego zaglądamy w powieści „Klara i Słońce", to nieodległa przyszłość, w której sprawy nie mają się zbyt dobrze. Musimy składać ten obraz ze strzępków informacji: tu wyburzane są jakieś niepotrzebne już zakłady przemysłowe, tam mieszkańcy jakiejś dzielnicy śpią z bronią pod poduszką, by bronić się przed tymi, którzy mają mniej lub nic, rośnie bezrobocie, zwiększa się skażenie środowiska. To jednak tylko tło, na którym Ishiguro przedstawia zupełnie nowy problem: są to czasy, w których można dziecku kupić sztucznego przyjaciela.

Tytułowa Klara to właśnie android (model B dwa, trzecia seria) obserwujący świat z okna wystawowego salonu sprzedaży. „Zawsze marzyłam, by zobaczyć

eprasa.pl 06d3422e85

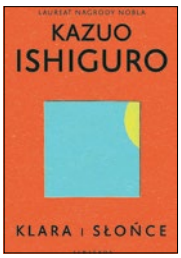

★★★★★☆
KAZUO ISHIGURO „KLARA I SŁOŃCE"
ALBATROS 2021

więcej zewnętrznego świata – zobaczyć go we wszystkich szczegółach" – wyznaje Klara w pierwszym rozdziale powieści. To właśnie z jej perspektywy poznawać będziemy rzeczywistość przedstawioną w książce. Z jej perspektywy narracyjnej i emocjonalnej. Kierowniczka sklepu z androidami chwali Klarę: „Jesteś naprawdę niezwykła, tyle zauważasz i tyle przyswajasz". Racja, dobry sztuczny przyjaciel musi przecież rozumieć świat swojego właściciela. A świat ludzi nie jest łatwy do zrozumienia. Dlaczego na przykład „w wyjątkowych chwilach ludzie czują jednocześnie radość i ból?".

Skąd zaś w tytule słońce? W powieści pisane zresztą konsekwentnie wielką literą? Słońce jest źródłem energii dla SP, zapewniając im do pewnego stopnia samowystarczalność. Wiele radości w sklepie z androidami przynoszą zatem bezchmurne dni, kiedy – jak wspomina Klara – „dostrzegałyśmy Słońce, które w swojej podróży pokonywało dystans między szczytami budynków po naszej i po drugiej stronie ulicy. [...] Jeżeli miałam szczęście je tam zobaczyć, to wystawiałam twarz, by pobrać jak najwięcej środków odżywczych".

Tam, gdzie produkt, tam muszą być i klienci, tam gdzie sklep, muszą być i nabywcy. Klara po pewnym czasie opuści więc sklepową witrynę i rozpocznie nowy rozdział w swoim życiu: trafi do domu pewnej poważnie chorej dziewczynki. Josie bardzo potrzebuje sztucznego przyjaciela. Żyje odcięta od rówieśników, uczy się zdalnie, zmaga się z chorobą pod czujnym okiem matki i gospodyni Melanii (która zresztą Klary nie cierpi). Jest i ojciec w tej układance, ale pojawi się dopiero później, choć też stanowi ważną figurę w opowieści. Rodzice Josie mają wobec Klary zamiary dość szczególne, których twórcy i producenci SP chyba nie przewidzieli.

Nie ma sensu brnąć dalej w objaśnianie zakrętów fabuły, bo po pierwsze, zepsuje to przyszłemu czytelnikowi lekturę, a po drugie, jak to zwykle u Ishiguro, nie fabuła jest tu najważniejsza, a precyzyjnie wyrysowana mapa emocji. Gdy w 2017 r. Akademia Noblowska uzasadniała nagrodę dla brytyjskiego pisarza, padły słowa o tym, że w swoich powieściach, używając „wielkiej siły emocjonalnej, obnaża otchłań kryjącą się pod naszym złudnym poczuciem połączenia ze światem". Nic dodać, nic ująć, „Klara i Słońce" to w stu procentach Kazuo Ishiguro.

Miarą mistrzostwa pisarza jest to, że sięga ponownie po elementy i pomysły tyleż razy już używane przez pośledniejszych twórców, ale tworzy z nich coś własnego, unikatowego, znaczącego. Wielu było fantastów martwiących się o relacje między człowiekiem stwórcą a dziełem jego rąk. Oczywiście w literaturze SF, ale w ostatnim półwieczu także w kinie czy telewizji. Jedni sięgną pamięcią aż do „Łowcy androidów", inni przypomną sobie od razu nową wersję „Westworldu", czyli serial HBO. Przykładów jest mnóstwo, bo dotykamy jednego z wielkich tematów (i lęków) nowoczesności.

W powieści „Klara i Słońce" Ishiguro wskazuje na problem, który widzieliśmy w pierwszych partiach filmu Stevena Spielberga „A.I. Sztuczna inteligencja" inspirowanego opowiadaniem Briana W. Aldissa i dopracowywanego latami przez Stanleya Kubricka. Rozpacz i tęsknota wiodą ludzi do działań samolubnych i okrutnych. Tworzymy sztuczne istoty, by nas kochały, zatem obdarzamy je nie tylko inteligencją, lecz także zdolnością odczuwania (i dawania) emocji. Jednocześnie traktujemy tę wymianę jednokierunkowo: gdy uznajemy, że ten erzac człowieka spełnił swoją funkcję, uważamy, że możemy go zezłomować. Sami nie chcielibyśmy czcić takiego Boga Stwórcy, choćby nie wiem, jak pięknymi i mądrymi pismami świętymi się nam objawił.

A co z Klarą? Jedną z najbardziej wzruszających rzeczy w nowej powieści Ishiguro jest zachowanie przez nią do samego końca naiwności i niewinności. Chwyt utopijny, bo skoro tak dobrze wszystko przyswaja, rozumie i uczy się, stając się – to też prawda znana z wcześniejszych utworów SF – niekiedy bardziej ludzka od ludzi, to powinna też prędzej czy później przejść na ciemną stronę mocy, to znaczy uczuć. Agresja, nienawiść, wrogość są jednak Klarze obce, co czyni ją nie tylko istotą porównywalną z nami, lecz także może i lepszą.

Do tego wszystkiego Ishiguro dodaje jeszcze jedną niezmiernie ciekawą kwestię – także nienową, ale również ujętą w sposób nowy i niebanalny. To nie ludzie są dla Klary – sztucznego przyjaciela – najważniejszym punktem odniesienia, lecz Słońce. Skoro to jemu zawdzięczam funkcjonowanie – rozumuje narratorka powieści – to jemu należy się wdzięczność. Wdzięczność ta zamienia się w przekonanie, że Słońce jest bytem wszechmocnym. A to z kolei prowadzi do pewnej formy modlitwy. Tak przecież trzeba nazwać sytuację, w której Klara prosi Słońce o interwencję i bacznie obserwuje, czy jej petycje kończą się jakimś skutkiem. Istota myśląca, ucząca się i odczuwająca (co do tego ostatniego w przypadku Klary oczywiście możemy się spierać) musi jednocześnie poszukiwać w tym, co ją otacza, przejawów działania siły wyższej, to dla Ishiguro nie ulega wątpliwości. Nawet jeśli doznaje w swych poszukiwaniach gorzkiego zawodu.

Wielu było już fantastów martwiących się o relacje między człowiekiem stwórcą a dziełem jego rąk. To bowiem jeden z lęków nowoczesności

„Tacy jak my nigdy nie będą w stanie pojąć wielkich spraw współczesnego świata i najlepiej będzie nam zawsze zawierzyć chlebodawcy, którego uznamy za mądrego i godnego szacunku, i jemu służyć z całych sił" – mówił o sobie narrator najsłynniejszej powieści Ishiguro „Okruchy dnia", tragiczny, ale i wierny majordomus Stevens, służący lorda Darlingtona. Jego słowa mogłaby powtórzyć Klara, bo do „służby z całych sił" sprowadza się przecież jej istnienie. A co, jeśli ten, kogo wybierzemy, nie jest godzien szacunku? Stevens znajduje ukojenie w samym akcie służby, szukając pocieszenia w perfekcyjnym wykonywaniu swoich obowiązków. Klara wykonuje je, bo została do tego stworzona, wyboru dokonać nie może, gdyż uczyniono to za nią. Pozostaje więc szczęśliwa, co czyni ją postacią nie mniej tragiczną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

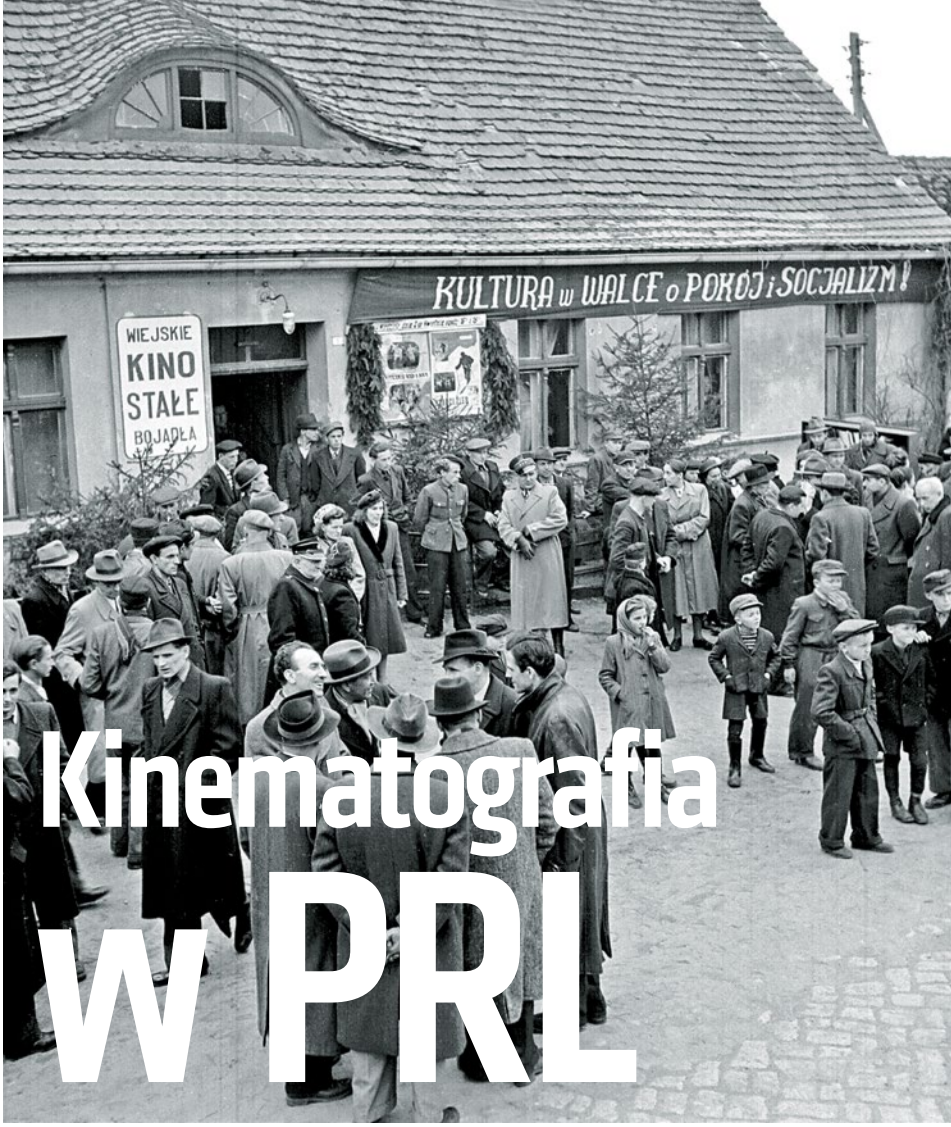

FOT. ZDZISŁAW WDOWIŃSKI/PAP

Kinematografia w PRL

Remigiusz Włast-Matuszak

Młodzież nie pamięta dziś już, jak koszmarnym naciskom poddawano kinematografię za czasów komuny. Warto to przypominać

Minister kultury i sztuki w gabinecie tow. Leszka Millera – Waldemar Dąbrowski – na odchodne w 2005 r. złożył w Sejmie RP Ustawę o kinematografii. Dzięki głosom PiS ustawa została akceptowana. Powołano Polski Instytut Sztuki Filmowej (PISF), a szefową została na 10 (!) lat była wiceminister – zastępczyni Waldiego, Agnieszka Odorowicz. W październiku 2015 r. przekazała PISF swojej psiapsiółce Magdalenie Sroce, która do 9 października 2017 r. rozdawała według uznania ok. 140 mln zł rocznie, m.in. na „Kler” Smarzowskiego (5,4 mln widzów), film „Zgoda” (o „polskich obozach koncentracyjnych”), „Pokot” – Agnieszki Holland (pierwsze wezwanie do palenia kościołów) i tym podobne agitki. W obronie Sroki na Krakowskim Przedmieściu odbyła się demonstracja pod wodzą samej Jagody Szelc – „objawienia polskiej kinematografii”. W trzecim roku dobrej zmiany szefem PISF został Radosław Śmigulski, który na szczęście uratował i ratuje, jak może, polską kinematografię przed zupełnym upadkiem (vide: „Do Rzeczy” nr 10/2021).

Młodsze pokolenia nie wiedzą i nie mogą wiedzieć, jak koszmarnym naciskom poddana była polska kinematografia w PRL. Porównajmy realia z PRL z dzisiejszym stanem, kiedy to polscy reżyserzy i realizatorzy filmowi dostają co rocznie ok. 420 ml zł wsparcia z publicznej kasy, a familia Holland-Łazarkiewicz-Komasa całe wiadra marchewki.

Kinematografię PRL wspominają Krzysztof Zanussi w książce „Pora umierać” (Pruszyński i S-ka, 1999), dedykowanej Waldemarowi Dąbrowskiemu, oraz Andrzej Wajda w polityczno-nostalgicznych tekstach o czasach PRL. Najwięcej do powiedzenia ma członek KC PZPR, pierwszy zastępca ministra kultury – tow. Mieczysław Wojtczak, który ogłosił cztery tomiska swojej „jedynie słusznej” wersji historii polskiej kinematografii. Ja uczynię to skromnie w formie smutno-ironicznej.

„PANIE ŁADNY”

W 1972 r. uciekłem ze Zjednoczenia Zaopatrzenia Lecznictwa przy ul. Przasnyskiej, gdzie prowadziłem działy: ginekologii, urologii i chirurgii kostnej (obok był tajny obiekt wojskowy – Centralna Pralnia Garnizonu Warszawskiego, a „ogonek” przed nią oznaczał, że w bufecie „dają” szynkę!). Ponieważ kino i film były w PRL (poza alkoholem) jedyną formą ucieczki od wrednej rzeczywistości, postanowiłem zdobyć pracę w PP Film Polski (który miał monopol na selekcjonowanie i importowanie „zachodnich” filmów). I tak po miesiącach starań dostałem wymarzoną pracę w FP przy ul. Mazowieckiej.

W czerwcu 1973 r., po rozmowach kwalifikacyjnych z dyr. Andrzejem Skawiną, dostałem angaż. Dosłownie dzień później minister kultury Stanisław Wroński, stary moczarowiec, by się bronić przed oskarżeniami „o syjonizm” – w kontekście wysłania do Cannes filmu Wojciecha Jerzego Hassa pt. „Sanatorium pod klepsydrą” (zdobył Nagrodę Jury) – odwołał dyscyplinarnie Skawinę, a dyrektorem Filmu Polskiego mianował partyjnego knajaka, niejakiego F. Tenże F., o aparycji wychudzonego esbeka, uznał mnie za rodzinę (!) dyrektora Skawiny i wyrzucił z Działu Reklamy do montażowni Filmu Polskiego przy ul. Wałbrzyskiej. Na poboczach pasły się tam krowy, a jedynym ruchliwym miejscem był cmentarz. Dowożono nas nyską. Komunikacja nie istniała. Nauczyłem się tam montażu i konserwacji taśm filmowych. Poznałem przedwojennych fachmanów z wytwórni Sfinks i działaczy PPS (m.in. tow. „Apacza”) będących tam na zesłaniu, oraz odwiedzanych przez legendarną Janinę (Jankę) Prystorową – staruszkę – wdowę po premierze Aleksandrze Prystorze zamordowanym przez NKWD w 1941 r. na Butyrkach. Ponieważ jako jedyny nosiłem przy Wałbrzyskiej

eprasa.pl 06d3422e85

krawat i marynarkę, Prystorowa w trakcie konwersacji z „Apaczem" otwierała drzwi oszklonej kanciapy i mówiła do mnie: „Panie ładny, dwie herbaty". Co było wielkim wyróżnieniem. Po latach, z pamiętników międzywojnia, dowiedziałem się, że per „Panie Ładny" zwracano się do młodych alfonsów.

Minister Wroński nadal robił czystki. Pozbywano się ostatnich ludzi Października w kulturze. Wrzucił dyrektora Filmoteki Jana Zbigniewa Pastuszkę za pokaz filmu „Doktor Żywago" z 1965 r. oraz długoletniego dyrektora Centrali Wynajmu Filmów Henryka Mocka za bywanie w ambasadzie USA na pokazach filmowych. Powołał do życia Zjednoczenie Rozpowszechniana Filmów, a dyrektorem naczelnym mianował Henryka „Cyklopa" Olszewskiego (jako 20-latkowi Niemcy wybili mu oko w KL Stutthof). Był to, o dziwo, komunista ideowiec. Jego jedyną wadą była słabość do młodych kobiet (#MeToo). Jego żona, artystka malarka, kategorycznie zabroniła zatrudniania sekretarek. Zastępczyni „kadrowej" zapamiętała mnie i zaproponowała pracę asystenta naczelnego (nowość w PRL!). Oczywiście zgodziłem się. Jako młody i głupi robiłem rzeczy straszne. Cyklop na mnie wrzeszczał, ale nie wyrzucał. Ta sielanka trwała dwa lata, aż do któregoś Plenum KC PZPR, kiedy to towarzysz I sekretarz z Kielc („Kielec") Aleksander Zarajczyk poszedł wieczorem do kina i zobaczył na własne partyjne oczy „Kabaret" Boba Fosse'a z Lizą Minnelli. Następnego dnia w KC PZPR wdrapał się na mównicę i oznajmił, co myśli o syjonistycznych, pederastycznych filmach! Dołączyli się inni towarzysze, którzy byli na jeszcze „gorszym" filmie pt. „Porozmawiajmy o kobietach" w reżyserii Mike'a Nicholsa. Los Cyklopa był przesądzony. Odwołano go w trybie natychmiastowym, a na jego miejsce przyszedł tow. R., sekretarz ds. kultury z dzielnicy Ochota. Ten wkrótce poległ i tak jak Cyklop wylądował jako zastępca dyrektora w Zachęcie (niżej w „karuzeli stanowisk" były już tylko dzielnicowe domy kultury). Pełniącym obowiązki naczelnym Zjednoczenia na lata został zasłużony, dyspozycyjny alkoholik dyrektor B., który gorliwie i cynicznie cenzurował repertuar. Do tego stopnia, że nawet w Czechosłowacji po 1968 r. i na Węgrzech Kadara wyświetlano dobre zachodnie filmy, ale nie w PRL. Szkody w polskiej kulturze wywołane przez tegoż B. są nie do oszacowania. Parę razy wyrzucał mnie z sali projekcyjnej przed filmem kwalifikowanym na premiery przeglądów krajów zachodnich. Facet zapił się w wieku 48 lat. Karma?

Po upadku Cyklopa i w ramach czystek ministra Wrońskiego przesunięto byłego wyższego oficera Informacji Wojskowej (wcześniej pewnie Smierszu?) Henryka Z. (Białorusina, który w 1944 r. nazywał się zupełnie inaczej) ze stanowiska doradcy (!) kolejnych ministrów kultury, do nowo powstałego Biura Imprez i Festiwali Filmowych przy Naczelnym Zarządzie Kinematografii i Zjednoczeniu. Biuro było elitarne, „zachodnie" zaledwie kilkuosobowe. Jako „szczeniak" znalazłem się w nim obok Tomka K., prawnika (zmarł tragicznie). Resztę stanowili byli dyplomaci w niełasce lub czekający na przydział. Słowem – „przechowalnia".

W Biurze Festiwali organizowałem taśmowo (ale solidnie) zagraniczne przeglądy filmowe w Polsce, krajowe festiwale filmowe i przyjmowałem delegacje filmowców ze świata. Epoka otwarcia Gierka. Każdy przegląd był „zabawny", np. Przegląd Filmów Kubańskich – gdzie delegacji przewodniczył kubański oficer, młody cham. Reżyserzy byli zupełnie stłamszeni, stare aktorki piły na umór (młodych czujnie nie wysłano), a ten oficer wydzielał im na sztuki papierosy Carmen, które musiałem mu kupić. Odmówili objazdu po Polsce. Woleli „luksusy" Hotelu Europejskiego – jedynego, obok rozpadającego się Bristolu, jaki istniał wtedy w Warszawie.

CHWILE GROZY

Europejski i jego goście byli pod czujnym okiem SB i MO. Dwa razy dostałem wezwania na Wilczą, gdzie musiałem się gęsto tłumaczyć, dlaczego stale się tam pokazuję. Drugim razem było „ostro":

– Jaki ma pan samochód?
– Nie mam samochodu.
– Ale jeździ pan samochodem.
– Nie, nawet nie mam prawa jazdy.
– Ale jeździ pan ze znajomymi?
– Tak, jeżdżę.
– Nazwiska znajomych!

Przesłuchiwano pewnie też pracowników Zjednoczenia, którzy nas – „typów" z Biura Festiwali – szczerze nie znosili jako „mogących jeść schabowe na koszt firmy". Opinię miałem zszarganą. Typowy PRL.

Chwile grozy przeżyłem przy organizacji przeglądu filmów włoskich. Przygotowania ciągnęły się ponad rok. Przechodząc koło ambasady włoskiej w pałacu Szlenkierów, wszedłem do prof. Cenii, mówiącego po polsku, człowieka 70-letniego, prowadzącego sprawy współpracy kulturalnej. Zapytałem, co z przeglądem. Ten wziął mnie za rękę i zaprowadził na górę, wprost do ambasadora Profilli (przemiły). Ambasador sięgnął po telefon i po chwili rozmawiał z ministrem kultury Ferrarim w Rzymie. „Mio caro ragazzo, Magnifico" – Robimy przegląd natychmiast! O mało nie wyleciałem z pracy.

W latach 70. nie należałem do KOR, nie wydawałem gazetek, ale za to robiłem małe realne „świństwa" partii, a szczególnie np. wszechwładnemu pierwszemu zastępcy ministra kultury, tow. Wojtczakowi. Cenzura nie pozwoliła, by do przeglądu filmów włoskich włączyć „Kwiat tysiąca i jednej nocy" Piera Paola Pasoliniego. Film zawierał mocne sceny erotyczne. Wojtczak wypożyczał film na pokazy specjalne dla kolegów z KC – niech i oni zobaczą kawałek gołej... Perfidnie kazałem odwieźć film do ambasady włoskiej. Wojtczak zaprosił kolejnych kacyków, a tu filmu nie ma. Oświadczyłem, że „ambasada zażądała zwrotu" – i to mnie uratowało. Film „120 dni Sodomy" Wojtczak trzymał już u siebie w gabinecie.

Wiceministra Wojtczaka zastąpił wiceminister Janusz Wilhelmi (zestrzelony w tupolewie Air Bałkan 16 marca 1978 r.), który natychmiast wyrzucił dyrektora Zielińskiego i ściągnął z Olsztyna dyrektora S. – młodego partyjniaka. Odszedłem do Polfilmu, gdzie nowy dyrektor Zjednoczenia Edward Kopyt, umiarkowanie popierający Solidarność, utworzył Zakład Imprez i Promocji Filmowej. Niestety, w lecie 1981 r. przyjechał do Warszawy sekretarz KC KPZR i spotkał się z członkiem BP KC PZPR Alojzym Karkoszką. Spotkanie było poufne. Czaj osobiście serwował sekretarz sekretarza – młody, spasiony W. Z przejęcia był tak niezręczny, że szklanki z gorącą herbatą wylądowały na przyrodzeniu tow. Karkoszki. Ten nie chciał go więcej widzieć i tow. W. wywalono „na" dyrektora do Polfilmu. W. zreorganizował „wszystko". My znaleźliśmy się na ulicy. Musiałem przejść do PRF Zespoły Filmowe i w tej autentycznej stajni Augiasza osiadłem na długie, długie lata (a to już inna historia).

Z przyjaciółmi usiłowaliśmy stworzyć listę 10 sprawiedliwych w Zespołach Filmowych. Udało się znaleźć siedem osób! Dopiero w 2020 r. Zespoły Filmowe zostały zlikwidowane i połączone z WFDiF przy Chełmskiej. Kostucha na tę wieść natychmiast przybiegła i zaczęła wyrównywać rachunki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

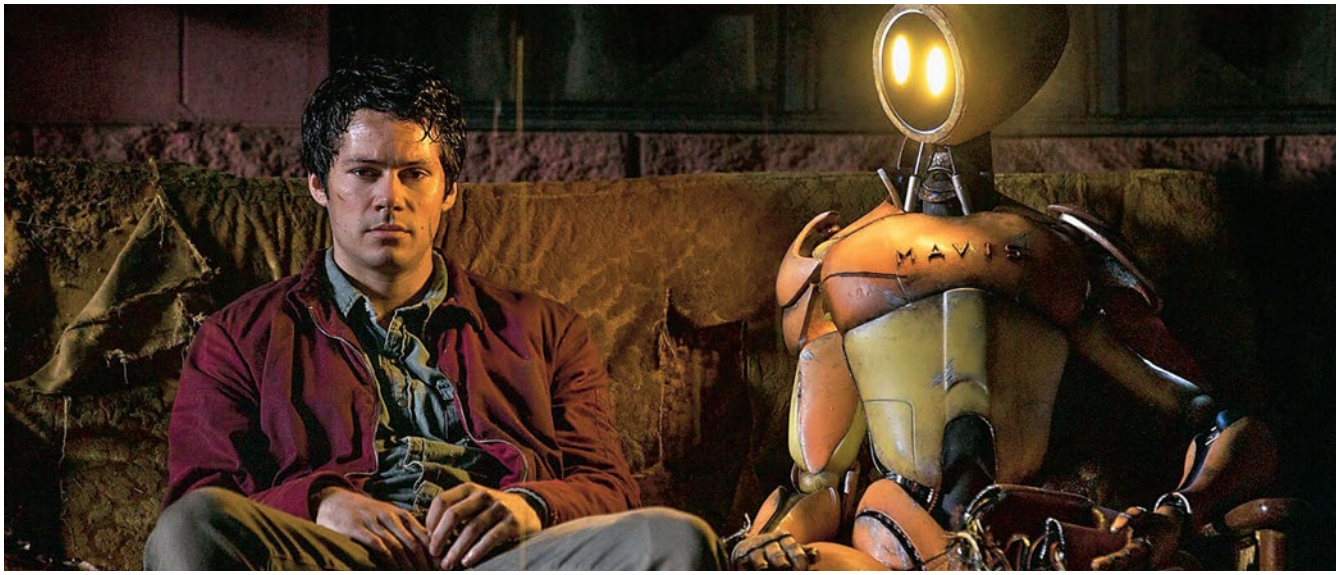

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wszystko z miłości

★★★★☆☆

REŻ. MICHAEL MATTHEWS
„MIŁOŚĆ I POTWORY" („LOVE AND MONSTERS")
USA 2020, NETFLIX

wyst. Dylan O'Brien, Jessica Henwick, Michael Rooker

To jeden z najzabawniejszych i najcieplejszych filmów roku pandemii: czysty eskapizm pożeniony z nadzieją. Co brzmi nieprawdopodobnie, gdy uświadomimy sobie, że mowa o opowieści, w której dochodzi do zagłady cywilizacji, a powierzchnię naszej planety zagarniają dla siebie gigantyczne zmutowane insekty. Niedobitki żyją w podziemnych schronach i komunikują się przez radio. Kolejna apokalipsa!

Główny bohater, Joel (gra go Dylan O'Brien znany z serii „Więzień labiryntu"), dość ma siedzenia w bunkrze i wyrusza w samotną podróż przez dziki świat, by połączyć się ze swą ukochaną. Tęsknił za nią ładnych parę lat. Nie będzie to łatwa wędrówka – niby niecałe sto mil, ale potwory czają się wszędzie, zaś sam Joel ma opinię ciapowatego i pechowego. Czegóż jednak się nie ryzykuje w imię miłości?

„Miłość i potwory" wpisuje się w gatunek komedii o końcu świata, ale jest mniej krwawy niż obie części „Zombielandu", niektóre z napotkanych stworów są groźne, lecz bardziej pasowałyby do planu „Niekończącej się opowieści". Robota speców od efektów specjalnych jest pierwszorzędna i słusznie doceniono ją oscarową nominacją. Jak na film postapo jest to opowieść wielce optymistyczna. Może i wszystko poszło w diabły, ale duch współpracy jest częściej spotykany niż życie wedle wilczych zasad (nie zawsze, lecz cóż, nie jesteśmy aniołami). Ocalały z zagłady robot okaże się pomocny i sympatyczny, zdziczały pies przypomni sobie, że jest najlepszym przyjacielem człowieka i nawet z niektórymi potworami da się jakoś koegzystować, o ile tylko pamiętamy, by nie wchodzić im w drogę.

Jak to zwykle bywa w opowieściach o dorastaniu, sympatyczny Joel dowie się w podróży o sobie i o świecie dużo więcej, niż się spodziewał, przy czym warto zwrócić uwagę na cudną drugoplanową rólkę Michaela Rookera jako niechętnego mentora (doświadczony wędrowiec, który wszystko już widział i wszystko słyszał). Za całość odpowiada Michael Matthews, który debiutował kilka lat temu niezłym thrillerem „Pięć Palców dla Marsylii". Wróżę mu szybką karierę, bo w Hollywood zawsze łaknie reżyserów sprawnych i obdarzonych poczuciem humoru. „Miłość i potwory" rozbawią was i podniosą na duchu wiarą, że nawet w najcięższych czasach „ludzi dobrej woli jest więcej". ©℗

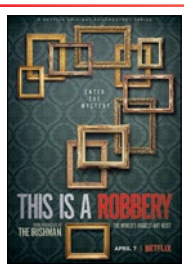

NOWE SERIALE: „TO JEST NAPAD"

Kto i na czyje zlecenie ukradł w 1990 r. bezcenne dzieła sztuki z Isabella Stewart Gardner Museum w Bostonie? Gdzie dziś znajdują się płótna Rembrandta, Vermeera i innych mistrzów? Czteroodcinkowy serial dokumentalny powstawał siedem lat, a jego twórcy zebrali imponującą liczbę relacji. Dowiadujemy się o zuchwałej kradzieży wiele, ale kluczowe pytania zostają bez odpowiedzi. Co w oglądaniu nie przeszkadza, bo zaglądamy za kulisy czarnorynkowego obrotu dziełami sztuki oraz do kuchni włoskiej mafii.

©℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Colin Barnicle „To jest napad", USA 2021, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Joe Penna* ***„Pasażer nr 4" („Stowaway")****, USA 2021*
- *reż. Frank Marshall* ***„The Bee Gees: How Can You Mend a Broken Heart"****, USA 2020*
- *reż. Craig Zobel* ***„Mare z Easttown" („Mare of Easttown")****, USA 2021*
- *sezon 3* ***„Shtisel"***

eprasa.pl 06d3422e85

MussoLenin z przeceny

VOD MDAG.PL

Jedno trzeba Hitlerowi przyznać: zdobył nieśmiertelną sławę. Książki o jego obsesjach wciąż sprzedają się jak świeże bułeczki, telewizje poprawiają wskaźniki oglądalności, emitując w prime timie filmy o blitzkriegu, nocy długich noży, obozach zagłady tudzież prywatnym życiu wodza III Rzeszy. Na tym jakże monotonnym tle dokument Hermanna Pölkinga-Eikena wyróżnia się przede wszystkim gabarytem. Trwa siedem i pół godziny. Nawet fani tortów ozdobionych swastyką nie są w stanie skonsumować takiego dania na jednym posiedzeniu, więc podzielono je na trzy części. Pierwsza urywa się w przededniu dojścia Adolfa do władzy. Autor zawierzył sile obrazu i cytatu, stawiając na ryzykowny symetryzm. Z ekranu na przemian padają opinie sympatyków i wrogów nazizmu. Pierwsi uważali Hitlera za geniusza, drudzy za „MussoLenina z przeceny". Nikt nie dostrzegał w nim demona. Maminsynek i obibok zaszedł tak daleko, ponieważ trafnie odczytał znaki czasu. Stworzył się sam, z tego, co miał pod ręką: społecznego darwinizmu, bełkotu o żydowskim spisku, frustracji z powodu postępów modernizmu, przegranej wojny i gospodarczego kryzysu tudzież wiary, że gefrajter może być lepszym wodzem od generała. Przegrał, gdyż siła woli na dłuższą metę nie zastąpi wiedzy, doświadczenia i zdrowego rozsądku. ©℗

Wiesław Chełminiak

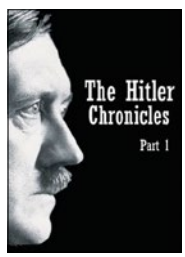

★★★☆☆☆
REŻ. HERMANN PÖLKING-EIKEN
„CZAS HITLERA. CZĘŚĆ 1" („THE HITLER CHRONICLES. PART 1")
NIEMCY 2017

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

RZEŹ I MELANCHOLIA

vod.pl

Paryż, rok 1938. Z drzew spadają liście, a włoskiego filozofa emigranta odwiedza jego były student, który przeszedł na ciemną stronę mocy. Współczesny reżyser pewnie przerobiłby powieść Moravii na polityczny dreszczowiec, lecz Bertolucci czuł się zobligowany do artystowskiego popisu. Nowofalowa pieczeń w operowym sosie, przyprawiona końską dawką perwersji, smakuje dziwnie. Z ekranu wieje fałszem i obłudą. „Jest nas tak wielu, że nic nam nie grozi" – pociesza się łajdak wysługujący się upadającemu reżimowi. Tytułowy bohater to człowiek bez właściwości, jego motywacje są mętne, kamienna twarz okazuje się maską tchórza. Taki z niego faszysta jak z Bertolucciego komunista. Siła zawsze fascynuje słabeuszy, miłość i nienawiść w jednym stoją domu. Jednak po co mieszać w to Freuda i Platona? Zdjęcia Vittoria Storaro lepiej zniosły próbę czasu, windując fabułę na poziom zgoła surrealistyczny.

★★★☆☆☆
REŻ. BERNARDO BERTOLUCCI
„KONFORMISTA"
WŁOCHY/ /FRANCJA/RFN 1970

wyst. Jean-Louis Trintignant, Stefania Sandrelli, Dominique Sanda

WSZYSTKO DLA FEJMU

player CINEMAN

„– Za co siedziałeś? – Za kradzież i rozbój z bronią. – Ależ to podniecające!". Romans nastoletniej Arielle z wykolejeńcem owocuje krwawym rajdem z Florydy do Oklahomy. Metą ma być Hollywood. Wytatuowana influencerka wierzy, że celebrytom wszystko uchodzi na sucho, więc dokumentuje komórką napady na sklepy i apteki z ziołem, by zostać najjaśniejszą gwiazdą Internetu. Lokalna sława, której zaznała dzięki występowi w amatorskim filmiku „Bijatyka wściekłych suk", już jej nie wystarcza. Dean jest trochę mniej szalony, lecz w krytycznych momentach ustępuje swej lady Makbet. Opowieści o młodych i seksownych bandytach wywodzą się z kulturowego DNA Ameryki, jednak na „Zabójczych kochanków" publiczność zareagowała bez entuzjazmu. Pokolenie Instagrama może i żyje w świecie fantazji, ale odróżnić brawurową apoteozę od szytej grubymi nićmi szydery jeszcze potrafi. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★☆☆☆☆
REŻ. JOSHUA CALDWELL
„ZABÓJCZY KOCHANKOWIE" („INFAMOUS")
USA 2020

wyst. Bella Thorne, Jake Manley, Amber Riley, Marisa Coughlan

GRA TYGODNIA: „MUNDAUN"

★★★★★☆

Lubimy takie niespodzianki! Nieznane szwajcarskie studio Hidden Fields (Szwajcarzy w ogóle nie są znani z tworzenia gier) wypuściło jedną z najbardziej oryginalnych produkcji ostatnich miesięcy. Przygodówka w konwencji survival horroru zaczyna się dość banalnie, ale szybko się rozkręca, a zło, które opanowało alpejską dolinę u stóp góry Mundaun, potrafi przyprawić o gęsią skórkę. Monochromatyczna, ręcznie rysowana ołówkiem grafika utrzymana w ciekawej konwencji (trochę jakby stworzona ręką dziecka) podkręca dziwny klimat grozy, który buduje też doskonałe udźwiękowienie Dla fanów mocnych wrażeń – pozycja obowiązkowa. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Przygodowa, horror, FPP*
- ***Platforma:*** *PC, XONE, PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Hidden Fields, MWM Interactive*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 06d3422e85

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Szkwał na jeziorze Dargin

W kilku planach rozgrywa się nowa powieść Wojciecha Chmielewskiego „Jezioro Dargin"; na Mazurach, na co wskazuje tytuł, w paru jeszcze miejscach, ale przede wszystkim w Warszawie, głównie w nazywanej przez autora karczmą drewnianej budzie z widokiem na podobno mającą doznać reaktywacji Warszawę Główną, na okolicę pl. Zawiszy, znaną mi jak zły szeląg, bo w tych stronach mieszkałem, chodziłem do szkoły, a i pracowałem przez lata. Nie tylko jednak z tego powodu książkę tę, autora bliskiego mi i cenionego za wcześniejsze tomy opowiadań „Biały bokser" i „Magiczne światło miasta" czy za powieść „Belweder gryzie w rękę", uważam za najdojrzalszą i najważniejszą w dorobku 52-letniego prozaika.

Jest Wojciech Chmielewski piewcą swojego miasta, nieukrywającym jednak swojej do niego ambiwalencji. Nową powieść kończy słowami: „Może jest coś trującego w powietrzu Warszawy, coś, co infekuje i przynosi śmierć. Ale w nocnym widoku miasta nie ma nic złowieszczego, przeciwnie, oddech tego pejzażu jest żywy, pulsuje i zaprasza, by oddać się bez reszty sztuce życia właśnie w tym miejscu, nigdzie indziej". Dlatego postawione w notce na okładce książki pytanie o bohatera jego powieści: „Czy wracając do Warszawy, będzie gotów zaakceptować życie takim, jakie ono jest?", zawiera w sobie błąd. Bohater „Jeziora Dargin" wraca do Warszawy, bo to jest jego miejsce, jeśli zaś chodzi o akceptację życia w dotychczasowej jego formie, to mam nadzieję, że stać go jednak na bunt, ale na pewno nie będzie wszczynał rewolucji dla niej samej, bez powodu, który jest w nim, a nie na zewnątrz. Bo wokół jest, jak zwykle, magma. A ważny – co akcentuje – jest tylko krzyż ze swoją wiarą i usprawiedliwieniem.

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOWA

Na Mazury bohater Chmielewskiego wyjeżdża pod wpływem dwóch wydarzeń, które przeorały jego mały światek. Podziękowano mu za pracę w radiu czy – innymi słowy – wywalono go z roboty i zmarł jego największy (jedyny?) przyjaciel. To ze względu na niego stał się bywalcem karczmy, gdzie serwowano podłe piwsko, raczono się gorzałką rozlewaną spod stołu, zakąszano byle czym i prowadzono niekończące się dysputy wciąż w tym samym gronie pijaczków, co ciekawe, rekrutujących się głównie z resortów siłowych, w tym, a jakże, z milicji i esbecji. Przyjaciel bohatera nazywał ich „ludźmi prawdziwymi". Teraz, czytamy: „Oni stają się wyłącznie mglistym wspomnieniem z bardzo złych czasów, które trzeba było przeżyć, przecierpieć, aby znów zacząć od nowa". Tego ów przyjaciel albo nie rozumiał, albo nie miał siły, by po życiowych porażkach znów budować od nowa, a jednak zaczynać trzeba od fundamentów, a nie od dymu z komina, jak doradzał Leopold Staff. No tak, ale dlaczego nikt mu nie pomógł? Dlaczego nie pomógł mu ten, który był jego przyjacielem i za takiego się uważał? Czy miał do tego prawo?

Pobyt nad jeziorem Dargin pomaga bohaterowi dojść do ładu ze sobą, choć nie do końca. Wciąż pozostają otwarte kwestie, komu mamy być dzisiaj wierni, co począć z ideałami romantycznymi, co zrobić z niepotrzebną wiedzą o – na przykład – literaturze romantycznej, do tego niemieckiej. I jak sklecić do kupy, podsumować jakąś celną puentą te pół wieku, które już za nami?

Odkładałem książkę Wojciecha Chmielewskiego z natrętnie świdrującym mózg pytaniem: Dlaczego ileś lat temu nie pojechałem nad jezioro Dargin? Po którejś z tych śmierci, których nigdy nie oswoiłem, po jeszcze jednym zakręcie życiowym, kiedy może trzeba było zacząć wszystko, no prawie wszystko, od nowa, po – niech będzie – 50. urodzinach? Czułem żal, utratę niewykorzystanych szans, tęsknotę za czymś, co uleciało bezpowrotnie, a mogło być piękne. Nigdy nie byłem nad jeziorem Dargin, ba, nie wiedziałem nawet, że takie istnieje, w czym nie ma znów nic specjalnie dziwnego, gdyż zwyczajowo traktowane jest ono jako część jeziora Mamry. Po prostu. A staropruskie nazwy w mazurskiej onomastyce nieszczególnie mnie rajcują.

Tak czy inaczej zazdrościłem bohaterowi powieści Wojciecha Chmielewskiego jego samotnej wyprawy na kemping nad nieznane mi jezioro. Do momentu, w którym uświadomiłem sobie, że taki obrachunek ze sobą, z życiem, wiarą i miłością zrobić można wszędzie, we własnym domu także. I czyżbym miał go już za sobą?

Będę wracał do lektury „Jeziora Dargin". Choćby po to, by porozmawiać z najbardziej interesującym człowiekiem, jakiego znam. Samym sobą. ©℗

★★★★★★

WOJCIECH CHMIELEWSKI „JEZIORO DARGIN" CZYTELNIK, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 06d3422e85

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Cień Rozpruwacza

Niektórzy znają tę opowieść dzięki wersji filmowej, ale „Z piekła rodem" (2001) w reżyserii braci Hughes była bladym odbiciem komiksowego oryginału. Co ciekawe, nie był to wcale zły film, po prostu pierwowzór jest tak oszałamiająco skomplikowany i wielowarstwowy, że nie dało się tego zamknąć w dwóch godzinach hollywoodzkiej produkcji.

Zajrzyjmy więc do oryginału: potężnej (pół tysiąca stron!) komiksowej sagi, która powstawała przez 10 lat, demonstracyjnie łamiąc zasady, wedle których komercyjne przedsięwzięcia powinny być przygotowywane. Nic nie jest tu proste i oczywiste: ani narracja, ani szata graficzna, ani przesłanie fabuły. Da się ją niby podsumować słowami: „kolejna spiskowa teoria na temat Kuby Rozpruwacza", ale to tak, jakby rzec, że „Trylogia" Sienkiewicza jest ciekawą opowieścią o koniach i szablach.

Teorii na temat nieuchwytnego mordercy z Whitechapel było wiele, ale scenarzysta Alan Moore (prawdziwa legenda komiksu, twórca m.in. słynnych „Strażników") upodobał sobie tę, w której trop prowadzi ku brytyjskiej rodzinie królewskiej i tuszowaniu pewnych niezwykle dla monarchii niewygodnych faktów. Moore to skrajny lewak, zaciekły wróg establishmentu oraz komiksowy rewolucjonista, nic więc dziwnego, że walenie w dwór jak w bęben bardzo mu pasowało. „Prosto z piekła" wykracza jednak daleko poza ramy tak zwykłej historii kryminalnej, jak krytyki społecznej. Niezależnie od tego, że jest to pasjonująca opowieść o śledztwie, spisku i wielkiej polityce.

Otóż pod piórem Alana Moore'a sprawa Kuby Rozpruwacza zamienia się w filozoficzną przypowieść o narodzinach nowoczesności. Smutnych narodzinach, bo twórca „V jak vendetta" widzi w ostatnich dekadach wieku XIX zapowiedź tragedii wieku XX, pełnego ludobójstwa i nienawiści. Idzie więc w przeciwną stronę niż wyznawcy naukowego optymizmu ery Verne'a czy fanów steampunku tęskniących za czasami żelaza, pary i królowej Wiktorii. Nie musimy się z tezą Moore'a zgadzać, ale jego zaskakujący skojarzeniami traktat wart jest uwagi i lektury. Imponuje także drobiazgowość, z jaką napisano i narysowano tę historię, bo Moore i Campbell zagłębili się w epokę tak bardzo, że same przypisy do głównej opowieści liczą kilkadziesiąt stron. Część z nich ma także formę komiksu. ©℗

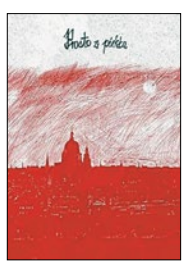

★★★★★☆

ALAN MOORE, EDDIE CAMPBELL „PROSTO Z PIEKŁA" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Z Chin do serca Azji, znad Morza Kaspijskiego do Europy, ze Skandynawii do Ameryki, z Ameryki Północnej do Południowej i tak dalej, czyli jak odkrywcy i kupcy łączyli odległe zakątki świata, tworząc pierwszą globalizację.

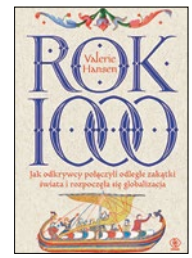

VALERIE HANSEN „ROK 1000" REBIS

Kampania wrześniowa w kinie – nie tylko polskim, bo prócz tekstów o Wajdzie czy Petelskich są też o filmach niemieckich, sowieckich czy czeskich. Jest i ciekawa analiza o wrażeniach i oczekiwaniach polskiego widza.

PRACA ZBIOROWA „WRZESIEŃ 1939" WYDAWNICTWO NAUKOWE SCHOLAR

Niby o pandemii, a tak naprawdę o tym, że Snyder nie lubi Trumpa, USA potrzebują powszechnej opieki zdrowotnej, a debata publiczna – naprawy. Wgląd w pomieszanie z poplątaniem w głowach amerykańskich liberałów.

TIMOTHY SNYDER „AMERYKAŃSKA CHOROBA" ZNAK

Pomysł karkołomny, ale efekt zabawny, czyli książka dla dzieci, w której małoletnia wersja bohatera amerykańskiej wersji serialu „The Office" (grał go Steve Carrell) zostaje przewodniczącym klasy w podstawówce Dunder Mifflin. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

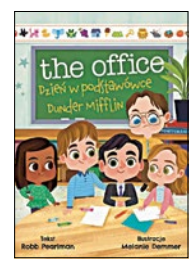

ROB PEARLMAN „THE OFFICE. DZIEŃ W PODSTAWÓWCE" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „CZARNA ORCHIDEA"

Opowieść o superbohaterce, której nikt nie pamięta, stworzona przez gości, których nikt nie zna, w stylu zupełnie odmiennym od królującego w amerykańskich komiksach – to się nie mogło udać. A jednak! „Czarna orchidea" była początkiem wielkiej kariery duetu Gaiman-McKean i pozostaje jednym z najbardziej oryginalnych osiągnięć gatunku. Bardziej artbook niż komiks, bo każda strona zaskakuje, a niektóre to popkulturowe arcydzieła. Plus wątki feministyczne, ekologiczne, dekonstrukcja herosów – było to także dzieło prekursorskie (premiera w USA miała miejsce w latach 1988–1989). ©℗

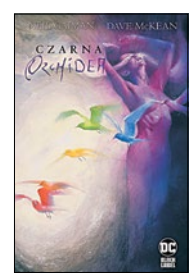

NEIL GAIMAN, DAVE MCKEAN „CZARNA ORCHIDEA" EGMONT 2021

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Samoloty Marii Heleny

Maria Helena Żukowska pochodzi z Wrocławia, mieszka, pracuje i tworzy w Leeds. Mówi, że od zawsze pasjonowały ją muzyka i literatura, więc inspirują ją dźwięki oraz słowa. Pisze i śpiewa głównie w języku angielskim, i to w przeważającej mierze anglojęzyczne piosenki znalazły się na albumie „Planes", dziele duetu, który obok Marii Heleny tworzy gitarzysta i producent muzyczny, autor opracowań muzycznych i kompozycji do popularnych seriali, wrocławianin Wojciech Beszłej. Jedynym utworem po polsku są na płycie „Samoloty". – To jedna z naszych najstarszych kompozycji, która w oryginale została napisana w języku polskim. Później, gdy powstała bardziej spójna koncepcja albumu, gdzie wszystkie utwory były po angielsku, przepisaliśmy go na angielski. Na końcu stwierdziliśmy, że jest nam tej piosenki szkoda, więc umieściliśmy ją jako bonus – mówiła w Trójce Maria Helena Żukowska.

„Planes" był nagrywany w ubiegłym roku, więc w pewnej części musiał powstawać na odległość, ale „w większości album nagrywaliśmy w Łodzi. Spotkaliśmy się w ubiegłym roku, tuż przed wybuchem pandemii" – mówi wokalistka.

Muzyczne inspiracje duetu są szerokie. „Najbliżej nam do alternatywnego rocka i piosenki autorskiej – piszą – ale jednak inspiruje nas wiele nurtów, od klasyki rocka progresywnego, przez klimaty folku, aż do szlachetnej elektroniki". Przy tym oboje dbają o filmowy klimat opowieści, w których muzyka zabarwia teksty, a słowa kształtują brzmienie.

„Planes" to właśnie taki album. Obok Marii i Wojciecha są goście – perkusiści Cyryl Skiba i Łukasz Moskal, saksofonista Maciej Rosiak, realizator dźwięku, który zagrał też na kilku instrumentach, Grzegorz Mukanowski. Za miks odpowiada Grzegorz Czachor. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Spięty kontra System

Hubert „Spięty" Dobaczewski, były lider popularnego Lao Che, na drugim solowym albumie rozprawia się z otaczającymi nas manipulacjami. Wedle autora jest to album, który obnaża: „Ucieczkę od wolności w nieświadome, lecz dobrowolne realizowanie celów manipulatora". Sprawa poważna, więc w sposób oczywisty słowo dominuje nad muzyką, która sprowadza się do rytmicznych podkładów podkreślających ekspresje narratora. Pierwszym celem jest ekobatalia, a potem lecimy przez globalne nacjonalizmy, ageizm, darwinizmy i wegetarianizmy, #MeToo, rusofobizmy, dualizmy nienawiści, telewizionizmy…

Prawidłowe rozczytanie tropów nie jest możliwe, bo sam autor kryje się za ostro pokręconymi semantycznymi bataliami. Spięty jest za, a nawet przeciw. Tworzone przez niego związki frazeologiczne przyprawiają o wypieki, bo – jak stwierdza – jest: „Małpą ochrzczoną / Ogoloną, odrobaczoną / Zawiedzionym, boskim bękartem / Z gatunkowym niefartem". Na pytanie: „Co robić?" odpowiada: „Odrdzewiaczem pociągać gilotyny / Pal nastrugać z Bartkowej Dębiny".

„Systemie, ja się poddaję... już dłużej naiwny być nie zdołam" – stwierdza stanowczo w materiałach prasowych. W podsumowaniu wykrzykuje: „Od naszyzmu poczwarki patriotyzmu / Rozpostarłem skrzydła motyla ateizmu / Z pogranicza satanizmu! ... i nihilizmu...". I jak to rozumieć? Komu zaufać? A może wypada zacząć myśleć samemu? ©℗

★★★★★☆
SPIĘTY
„BLACK MENTAL"
MYSTIC

★★★★★☆
JOE STRUMMER
„ASSEMBLY"
BMG

Zaskakująco dobrze słucha się tego zestawu 16 solowych nagrań byłego lidera The Clash. Głównie są to piosenki, które zrealizował z grupą The Mescaleros w latach 1999–2003. Strummer opisuje dystopijny świat, wykorzystując rytmikę z różnych rejonów świata.

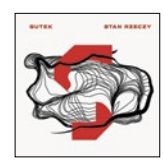

★★★★☆☆
GUTEK
„STAN RZECZY"
MYSTIC

Długoletni wokalista Indios Bravos debiutuje jako solista. Piotr Gutowski, wychodząc od ukochanego reggae, nagrał 10 piosenek o poprockowym charakterze. Zarówno teksty, jak i melodie przyjemnie wpadają w ucho. Przebój „Co noc" ma już ponad 2 mln odsłon w sieci. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Inwestycja w talenty

Moja przygoda z Fundacją „Dzieło Nowego Tysiąclecia" zaczęła się siedem lat temu dzięki księdzu koordynatorowi Fundacji w diecezji tarnowskiej, z której pochodzę. Cieszyłam się wtedy z przyznanych pieniędzy, które odciążyły finansowo rodziców. Zdziwiłam się, gdy dostałam listowne zaproszenie na spotkanie fundacyjne w Tarnowie, a pół roku później – na obóz w Rzeszowie. Na obozie poznałam innych stypendystów. I zrozumiałam, że aspekt finansowy nie jest najważniejszy. Fundacja to nie tylko stypendium, lecz także – lub przede wszystkim – ludzie, którzy ją tworzą, tacy sami jak ja, podobnie myślący, czujący. Łączy nas wiara w Boga, którą pielęgnujemy dzięki formacji i rozważaniu nauczania św. Jana Pawła II.

W liceum, przy wsparciu otrzymywanym z Fundacji, odkryłam swoje dwie największe pasje: pisarstwo i fotografię. Od zawsze interesowałam się także literaturą i językiem polskim. Lubiłam pisać pamiętniki, opowiadania, artykuły. Lubiłam czytać lektury szkolne. Wygrana w konkursie literackim utwierdziła mnie w mojej decyzji.

Fotografią w zasadzie interesowałam się od dawna, ale dopiero stypendium z Fundacji pozwoliło mi na zakup pierwszego aparatu fotograficznego. Było to dla mnie bardzo ważne – wreszcie mogłam spełnić swoje marzenie! Przez początkowe miesiące byłam tak podekscytowana, że robiłam zdjęcia dosłownie wszystkiemu. Obecnie, biorę udział w internetowych kursach fotograficznych.

Studiuję filologię polską na Uniwersytecie Wrocławskim. Jestem na trzecim roku. Dzięki stypendium z Fundacji mogę studiować we Wrocławiu i sama się utrzymywać. Gdyby nie pomoc materialna Fundacji, to nie byłoby mnie stać na samodzielne życie w dużym mieście, a co za tym idzie – na naukę i rozwijanie swoich pasji. To właśnie studiom i Fundacji zawdzięczam wszystko, co mam i co kocham robić. Od niespełna dwóch lat pełnię funkcję rzecznika prasowego wspólnoty wrocławskiej. Prowadzę oficjalny fanpage wspólnoty na portalu Facebook. Za fundacyjne stypendium kupiłam kolejny, tym razem profesjonalny, sprzęt fotograficzny. Wykorzystuję go do upamiętniania wspólnotowych wydarzeń.

Takich historii jak moja są tysiące. Każdy stypendysta rozwija swoje pasje i talenty. Prawdopodobnie, gdyby nie Fundacja i jej wsparcie, duża część tych historii – w tym także moja – nie miałaby miejsca. Brak wystarczających środków finansowych jest często największą przeszkodą do spełnienia marzeń. Fundacja stworzyła mi niepowtarzalną okazję do realizacji planów, dając nie tylko stypendium, lecz także siłę i wsparcie. Dzięki nim miałam odwagę iść za głosem serca i spełniać się w tym, co kocham robić.

Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia" jest organizacją pożytku publicznego, co oznacza, że można na nią przekazać 1% podatku dochodowego. Jako stypendystka, osoba, która doświadczyła ogromnej pomocy od Fundacji, mogę zachęcić Państwa do wsparcia tego wyjątkowego dzieła przez wpisanie w odpowiednim miejscu numeru KRS organizacji: 0000 150 776. Zachęcam do zainwestowania w młodych ludzi i ich talenty. Mogą być Państwo pewni, że ta inwestycja zaprocentuje. Więcej informacji na www.dzielo.pl

Autorką artykułu jest Aleksandra Nawała, studentka trzeciego roku polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim, od 2014 r. stypendystka Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia".

eprasa.pl 06d3422e85

Zwraca uwagę wyrafinowana oferta filmowa TVN. Nie da się zapomnieć pokazywanych w ostatnich dniach wybitnych obrazów: „Jak się pozbyć cellulitu" i „Idealny facet dla mojej dziewczyny" (na zdjęciu) FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

Sama słodycz

W poszukiwaniu wysokiej kultury, której – jak powszechnie wiadomo – trudno uświadczyć w telewizji publicznej, postanowiłem zaczerpnąć z samego źródła wiedzy, mądrości, dobrego smaku i najwyższych artystycznych lotów, czyli z okolic ul. Wiertniczej 166, gdzie źródło to bije nieprzerwanie od bez mała 24 lat. Ani się obejrzymy, a świętować nam przyjdzie srebrne wesele TVN. To dopiero będzie feta!

Rozmarzyłem się, widząc już oczyma wyobraźni te perły humoru, którymi obrzuci nas prowadzący galę Kuba Wojewódzki w towarzystwie, bo ja wiem, może Magdy Gessler, która po zrewolucjonizowaniu polskiej gastronomii zabrała się właśnie do projektowania ubrań. Koniec ze szmateksowymi okazjami i ciuchami z drugiej ręki; jak na absolwentkę Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Madrycie przystało, gwiazda TVN przebierze nas w takie kreacje, że będziemy zadawać szyku na światowych salonach.

A te tylko na nas czekają, o czym przekonują znakomite programy wyprodukowane przez TVN. Ostatnio na przykład Sebastian z „Brzyduli" chciał się umówić z Violą, ale ukochana poleciała do Chin. W „Zakochanych po uszy" też mamy międzynarodowy problem, ponieważ Witos wpada w tarapaty i postanawia uciec z Polski. Dla niezorientowanych: dzieło to pokazywane w TVN7 nie jest bynajmniej historyczne, a Witos nie ma na imię Wincenty, lecz Sylwia. Ale już samo obcowanie z nazwiskiem historycznym trzeba przecież docenić, co niniejszym czynię.

Co robić po wyjeździe z Polski? Przymusowym raczej, bo choć z TVN Turbo wyniosło się przecież należytą wiedzę z programu „Brudna robota – czysty zysk", to bardziej przydatny okazał się „Wypad z kraju". Gdzie? Podpowiada HGTV w „Nowym życiu na wyspie", „Kupujemy dom na plaży" czy „Nowym życiu na Hawajach". A co tam będziemy oglądać? Oczywiście TVN z satelity z naszymi ulubionymi serialami, wśród których bezkonkurencyjny jest, z całą pewnością, „Na Wspólnej", gdzie – jak co dzień – mamy gwałty, zaginięcia, kradzieże, włamania, molestowanie seksualne i inne zwyczajowe gry oraz zabawy ludu polskiego. Tak że z dala od ojczyzny nie stracimy z nią kontaktu i, dajmy na to, pasjonować się dalej będziemy pojedynkiem najlepszych ponoć mechaników samochodowych: Klimka i Dudy. Ten drugi stoi jednak, moim zdaniem, na straconej pozycji, gdyż z tym nazwiskiem na Wiertniczej przegrany jest już na starcie.

Godziwą rozrywkę zapewniają nam wszystkie TVN-owskie stacje z TVN24 na czele, ale o tym, że ta wspaniała telewizja stanowi klasę samą dla siebie, wiedzą wszyscy o ilorazie inteligencji wyższym od PiS-owskiego, czyli całe świadome społeczeństwo. Przez lata wytężonej pracy ulubieńców mas w rodzaju wciąż kwitnących Moniki Olejnik i Katarzyny Kolendy-Zaleskiej wyedukował TVN odbiorców, którzy nie tylko przekonani są o wysokiej inteligencji Sławomira Nitrasa, lecz także wybitnych walorach głosowych Klaudii Jachiry, niemal równych Kayah, i niepowtarzalnej urodzie Marty Lempart wyraźnie wpatrzonej we wzór, jaki stanowi dla niej Magda Gessler.

Nadzwyczajny poziom kultury i gustowanie w rozrywce najwyższego sortu osiągnął ten światły krąg wiernych widzów dzięki przeżyciu (jak najbardziej dosłownie) w przeszłości tak udanych seriali jak: „Klub szalonych dziewic", „Aż po sufit" czy „Sama słodycz". A czyż nie zapisały się złotymi zgłoskami w dziejach XI muzy śmieszne aż do łez, serwowane w odcinkach, jakże ucieszne historie opowiedziane w: „Grzesznych i bogatych", „Nie rób scen", „Ja, Malinowski" czy całkiem niedawny „Mąż czy nie mąż"?

Zwraca też uwagę wyrafinowana oferta filmowa TVN. Nie da się zapomnieć pokazywanych w ostatnich dniach wybitnych obrazów: „Jak się pozbyć cellulitu" i „Idealny facet dla mojej dziewczyny". Bohaterka tego pierwszego wraz ze swoją przyjaciółką jadą do spa (ekskluzywnego, bo jakże inaczej), gdzie czekają na nie zupełnie szalone przygody, w drugim zaś – dziele o zacięciu społecznym – działaczka feministyczna postanawia zrealizować film pornograficzny, obsadzając w głównej roli swoją ukochaną. Akcentuję w tym miejscu, że filmy te są rodzimej produkcji, co cieszy nad wyraz.

Wpatrzony w ekran, z pilotem w ręku, w którym ulubionymi są wszystkie wspomniane tu programy, nie mogę jednak jakoś dotrwać do drugiej czy trzeciej w nocy, kiedy to w głównej stacji TVN rozpoczyna się „Noc magii". Wiem, że wróżbici przepowiadają tam przyszłość z kart tarota, stawiają horoskopy i czynią inne cuda wianki. Trochę to dziwne w tak nowoczesnej i światowej, w końcu kupionej przez Discovery, telewizji robić miejsce dla – było nie było – współczesnych guślarzy... À propos Guślarza, co on takiego powtarzał w II części „Dziadów"? „Zostawcie nas w pokoju / A kysz, a kysz!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA
I IDEOLOGIA LGBT

DODATEK SPECJALNY – część 7

Ideologia LGBT
na uczelniach

- Gender studies – nauka czy manipulacja?
- Ojcowie ideologii gender/LGBT
- Dlaczego ideolodzy gender chcą odrzucenia płci biologicznej?

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 06d3422e85

KRYSTIAN KRATIUK

WSTĘP

Najważniejsze są kadry

W kraju przeoranym przez komunizm wciąż żywe są wspomnienia złamanych karier uczonych, profesorów upokarzanych za nieaprobowanie materializmu dialektycznego albo studentów wyrzucanych z uczelni za odchylenia ideologiczne. Polacy wiedzą po prostu, czym są przyjęcie jedynego słusznego sposobu myślenia oraz srogie tępienie każdego innego. Pamiętamy, że zawsze prowadzą do totalitaryzmu.

Inaczej jest w krajach Zachodu. Tamtejsi intelektualiści do dziś nie rozumieją, co czynią, kiedy z zapałem godnym najszczerszych bolszewików wprowadzają na uczelnie wyższe najpierw elementy opresyjnej ideologii LGBT, a potem usuwając z uniwersytetów (oraz w konsekwencji z całej debaty publicznej) wszelkie wrogie wobec tej ideologii elementy.

INNA DROGA

Na Zachodzie przyjęto bowiem inną ścieżkę implementacji lewackich, antychrześcijańskich ideologii. O ile na Wschodzie narzucano je siłą, ogniem i bagnetem, o tyle na Zachodzie przyjęto gramscistowską koncepcję marszu przez instytucje, którą postawiono w jednym szeregu z rozpoznawaną dziś już dobrze przez ludzi prawicy „metodą gotowania żaby" – chcąc ugotować płaza, nie należy wrzucać go do garnka z wrzątkiem, bo wyskoczy, ale podgrzewając wodę, uśpimy jego czujność i nawet nie zauważy, że się gotuje.

To unaocznia zupełnie inną niż na Wschodzie zachodnią ścieżkę przejęcia imaginarium ludzi nauki. Stali się oni wobec nowej ideologii niejako bezbronni. Mogli bowiem nawet nie zauważyć oczywistych podobieństw między starym a nowym totalitaryzmem, np. tego, że dzisiejszym równościowcom zależy na budowie nowego świata na gruzach starego dokładnie tak mocno, jak zależało na tym starym komunistom. Nawet oponentów nazywają tak samo: faszystami.

Ideologia marksizmu-leninizmu nie miała nic wspólnego z nauką, z prawdą, z prawem naturalnym i ze zdrowym rozsądkiem. Podobnie jak ideologia LGBT. Nie może zatem nikogo dziwić, że aby zaimplementować i jedną, i drugą, trzeba było nadać jej sznyt naukowości. A żeby tego dokonać, można albo wprowadzić ideologię dekretem totalitarnego państwa, albo zainfekować niektórych przedstawicieli społeczności akademickiej ideologią, następnie wybudować katedry gender studies, by wydawać zideologizowane książki z pieczątką naukowego autorytetu. Dopiero potem w bój ruszyli hunwejbini mający zniszczyć wszystkich przeciwników idei budowy nowego świata.

O ile na Wschodzie lewackie, antychrześcijańskie ideologie narzucano siłą, o tyle na Zachodzie przyjęto gramscistowską koncepcję marszu przez instytucje

IDEOLOGIA, A NIE NAUKA

Ale hola, hola! – zakrzyknie ktoś! Przecież „LGBT to nie ideologia, to ludzie"! Jak można zestawić ich z komunistami? Otóż w bardzo prosty sposób: wszak komuniści to też ludzie.

O ile oczywiście każdą poszczególną osobę wchodzącą w skład ruchów LGBT odróżniamy, nawet jeśli cechują ją „niestandardowe upodobania seksualne", ma kłopoty z tożsamością lub inne problemy natury psychicznej, przyjmujemy to do wiadomości. Ale kiedy ludzie ci organizują się w grupy mieszające innych z błotem i próbujące zawłaszczyć świat, stają się organizacjami ideologicznymi.

Doskonale wyłożył to na łamach portalu PCh24.pl prof. Jacek Bartyzel w tekście „Czy LGBT jest ideologią?". Ów wybitny historyk idei precyzyjnie wypunktował poglądy i działania aktywistów ruchu występującego pod sztandarem LGBT, uznając, że z politologicznego punktu widzenia jak najbardziej mogą być oceniane jako ideologiczne, gdyż:

– stanowią zbiór przekonań niewielkiej grupy o sprecyzowanych interesach, używającej działań politycznych do radykalnej zmiany stosunków prawnych, społecznych i politycznych;

– motorem aktywności tej grupy jest wrogość do istniejącego porządku prawnego (w zakresie spraw dotyczących interesów grupy), panującej moralności oraz kultury społecznej;

– postulaty grupy dotyczą rudymentarnych instytucji społecznych;

– grupa wykształciła własny, specyficzny i pseudonaukowy język („nowomowę");

– ruch preferuje działania prowokujące i obrażające przekonania moralne oraz poczucie smaku ogółu społeczeństwa, a także nie stroni od używania przemocy, a przynajmniej jej usprawiedliwiania, oraz domaga się cenzurowania opinii i zachowań nieprzychylnych celom ruchu.

A więc dokładnie jak komuniści. A przecież to do nich towarzysz Lenin mawiał: „Najważniejsze są kadry!". Przede wszystkim te akademickie. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Z ks. prof. Piotrem Roszakiem
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Gender studies – nauka czy manipulacja?

TOMASZ D. KOLANEK: Święty Tomasz z Akwinu, św. Jan Paweł II i wielu innych świętych pouczało nas, że nie ma wiary bez rozumu i nie ma rozumu bez wiary. Co takiego się stało, że coraz więcej uczelni wyższych odrzuca wiarę i rozum na rzecz kolejnych ideologii?

KS. PROF. PIOTR ROSZAK: To jest proces, który trwa od bardzo wielu lat, i obecnie mamy do czynienia z jego kolejną odsłoną. Nie jest on jednak związany z jakimś jednym, konkretnym wydarzeniem, tylko jest to pokłosie wielu większych i mniejszych czynników.

Nie ulega jednak wątpliwości, że nastąpiło pewne rozhermetyzowanie całościowego obrazu świata, z jakim mieliśmy do czynienia wcześniej i na którego fundamencie mogły powstać uniwersytety. Stało się tak, ponieważ doszły do głosu prądy dekonstruktywistyczne, czyli takie, które próbowały rozerwać relację między wiarą a rozumem, a ideałem nauki nowożytnej stało się pragmatyczne panowanie nad przyrodą.

Proszę zauważyć, że nauka odpowiadając na pytanie, jak coś się dzieje czy też w jaki sposób można coś wyjaśnić, potrzebowała dopełnienia ze strony wiary i dopiero wtedy można było uzyskać całościowy obraz badanego problemu, czyli odpowiedź na kolejne pytania: Dlaczego mają miejsce zjawiska i jaki jest ich sens? Puzzle trzeba ułożyć nie na chybił trafił, ale wedle pewnego wzoru.

A zatem próba okiełznania świata za cenę widzenia go jedynie jednowymiarowo sprawiła, że pewne procesy dotarły również na uczelnie wyższe, dokonując znaczących przeobrażeń i sprawiając, że niestety nauka stała się coraz bardziej podatna na ideologizację, przez co nie stawia na pierwszym miejscu próby poznawania prawdy, również tej, która przekracza rozum, choć nigdy nie jest z nią sprzeczna, na rzecz zmian, które mają zagościć w życiu społecznym, kulturowym, intelektualnym etc. Zmian, które nie są uzasadnione obiektywnymi racjami, ale postulatami ideologicznymi, chcącymi przeorać ludzkie myślenie i podporządkować sobie wszystkie obszary życia, w tym te, które są ostoją wolności, takie jak religia. Jakoś dziwnie ideologie zawsze atakują religie, jakby one były największą przeszkodą w budowaniu nowego człowieka i świata.

Czy jest tu w związku z tym wszystkim miejsce na prawdę? A jeśli tak, to cóż to jest prawda?

Prawda nie jest czymś, co my budujemy według własnych kaprysów, ale czymś, co rozpoznajemy i odczytujemy ze świata stworzonego przez Boga. Niestety, w sytuacji kulturowej, w której się obecnie znajdujemy, można śmiało powiedzieć, że prawda to dla wielu zwykła opinia bez żadnego uzasadnienia bądź jedynie subiektywne odczucie emocjonalne, którego nie można oceniać. Dewaluacja prawdy ma jednak katastrofalne skutki dla życia społecznego, w którym nic nie jest pewne. Wie to każdy kierowca na autostradzie, bo odczucia i emocje nie mogą rządzić ruchem drogowym.

Dlaczego Prawda Absolutna, którą jest Chrystus Ukrzyżowany, Prawda przez wielkie „P", została zastąpiona prawdą emocjonalną, opinią, prawdą przez małe „p"?

Odpowiedzi na to pytanie udzielił św. Jan Paweł II w encyklice „Fides et ratio". Papież, posługując się metaforą kajdan, w które rozum sam się zakuwa, pokazywał, jak następuje degradacja, zastępowanie, niszczenie Prawdy. Pan Bóg ma zostać stopniowo odstawiany na dalszy plan, a potem albo zapomniany, albo zastąpiony czymś, co ma przełożenie praktyczne, co jest wyrazem czystego postępu bądź fałszywie pojmowanych równości i tolerancji.

Takie podejście spowodowało, że na wielu uczelniach wyższych przestano pytać o Prawdę Najważniejszą, Absolutną, bez której wszystkie elementy naszego życia, które codziennie odkrywamy w różnych naukach, nie mają znaczenia.

Po co w związku z tym wszystkim powstały studia gender? Czego się na nich poszukuje i dlaczego nie ma to nic wspólnego z Prawdą Absolutną?

W przypadku ideologii gender, która pod płaszczykiem naukowości coraz bardziej rozpycha się na uniwersytetach i akademiach, mamy do czynienia z zupełnie nową odsłoną antychrześcijańskiego projektu świata.

Trzeba powiedzieć wprost, że gender to projekt ideologiczny, wyrastający wprost z marksizmu kulturowego, który nie poszukuje prawdy, tylko wrogów, jak to zwykle w rewolucji bywa. Od wojny klas do wojny płci – chciałoby się powiedzieć.

Ideologia gender ma za zadanie podważyć i zniszczyć wszystko, co przez wieki było fundamentem cywilizacji. Jest to próba oderwania człowieka od wszelkiej rzeczywistości – materialnej i duchowej – i budowania świata w oparciu o emocje, uczucia i libido. Jest to zwykła wydmuszka, która nie ma w sobie żadnych treści

eprasa.pl 06d3422e85

i pod wzniosłymi hasłami wolności, równości, tolerancji itd. buduje świat oparty na podziałach, nierówności i nienawiści, na niewoli własnych kaprysów.

Powtórzę: studia gender to ideologiczna manipulacja, która nie ma nic wspólnego z Prawdą, no, może poza tym, że ją zwalcza i atakuje tych wszystkich, którzy jej bronią. Nie warto się jednak ani wycofywać, ani poddawać. Pierwszą linią frontu zmagań są bowiem fundamenty, na których została zbudowana nasza cywilizacja. Fundamenty te są dzisiaj bombardowane teoriami, które nie mają żadnego uzasadnienia, a celem tych działań jest zdekonstruowanie wszystkiego, co znaliśmy do tej pory. Ale to nie jest cel, to jest środek do celu… Warto więc przyglądać się temu, co chce ideologia gender zbudować, jakiego człowieka.

Są już przecież w świecie zachodnim chrześcijańskie uczelnie, na których to ideologia gender jest przedstawiana studentom i prowadzone są na ten temat badania…

I pokazuje to, że są one chrześcijańskie tylko z nazwy. Pismo Święte mówi wprost: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę" (Rdz 1, 27).

Kościół od lat powtarza, że ideologia gender jest nie do pogodzenia z chrześcijaństwem, a wszystkie pomysły edukacyjne powstałe w ramach tej teorii nie sprzyjają jakiemukolwiek wychowaniu człowieka w duchu prawdy, dobra i piękna. Jedynymi kryteriami, jakie stosuje ideologia gender, są – jak już wspominałem – emocje, poczucie, że kimś się jest, i libido.

Niestety, ale pojawienie się na uczelniach wyższych ideologii gender wprowadziło antychrześcijańską rewolucję na wyższy poziom. Teraz próbuje się jeszcze bardziej uwiarygodnić ten neomarksistowski dyskurs i dlatego przemyca się go również na uczelnie chrześcijańskie. Jest to po prostu podstępne oszustwo, które odrzuca elementarną logikę czy biologię, wprowadzając chaos semantyczny. Bo mężczyzna powie, że jest kobietą. OK, i co dalej? Zajdzie w ciążę? Kobieta powie, że jest mężczyzną, i z miejsca zacznie produkować plemniki? Przecież to jest kompletnie oderwane od rzeczywistości. Cel jest jednak prosty: wszelkimi możliwymi sposobami przeorać świat, nawet jeśli miałoby to doprowadzić do jego totalnej destrukcji.

FOT. ADOBE STOCK

Jest ksiądz wykładowcą Uniwersytetu Navarry w Pampelunie. Czy docierają do księdza sygnały na temat tego, co dzieje się na gender studies w Hiszpanii?

Nie ma tam niczego oryginalnego – ideolodzy gender dążą do zniszczenia chrześcijaństwa i cywilizacji łacińskiej wedle podobnego schematu. Moim zdaniem lepiej zwrócić uwagę na dwa inne aspekty: z jednej strony mamy zdecydowaną reakcję Kościoła. Z drugiej zaś pewną nagonkę medialną na wszystkich krytyków ideologii gender.

Okazuje się bowiem, że mówienie prawdy i pokazywanie, że gender to nie nauka, tylko ideologia i manipulacja, to według środowisk lewicowych niemal zbrodnia, którą należy karać z całą surowością. Warto zwrócić uwagę, że ludzie broniący ideologii gender bardzo często przywołują najbardziej kłamliwe mity na temat hiszpańskiej inkwizycji. Wiele wskazuje na to, że swoją wiedzę na ten temat czerpią oni z „Latającego Cyrku Monty Pythona" i taki właśnie los chcieliby zgotować swoim ideowym przeciwnikom – w tym wypadku chrześcijanom.

Najważniejsze jednak, że Kościół i chrześcijanie nie poddają się i nieustannie podejmują działania, cierpliwie tłumacząc. Na przykład 8 marca tego roku odbyła się kolejna akcja zwolenników gender i skrajnych ruchów feministycznych pod hasłem, że to chrześcijaństwo zniewala i dzieli ludzi. W odpowiedzi na tę prowokację hiszpańscy katolicy zamieścili w wielu miastach billboardy i plakaty ze słowami modlitwy „Zdrowaś Maryjo", w których podkreślono fragment „MATKO Boża" oraz „MIĘDZY NIEWIASTAMI", eksponując w ten sposób, jak bardzo Kościół umiłował kobiety i jak bardzo są one wyjątkowe. W odpowiedzi – słowa modlitwy anioła ze sceny zwiastowania, które mówię same za siebie.

eprasa.pl 06d3422e85

Jak Hiszpanie reagują na ideologię gender?

W Hiszpanii dominuje dyskurs równościowy czy też raczej pseudorównościowy. Bo sama równość, jeśli spojrzymy na nią w sposób klasyczny, nie jest przecież czymś złym. Równość wobec prawa, równość wobec Boga – to przecież fundament. Problem zaczyna się, gdy zostaje ona wypaczona przez ideologów atakujących tożsamość człowieka, bo równość ma być totalna – ludzie mają tak samo myśleć, to samo robić, tyle samo zarabiać, tyle samo posiadać poza kilkoma uprzywilejowanymi grupami, którym należy się więcej, „bo tak".

Na szczęście w Hiszpanii jest wiele osób, które rozumieją, co się stało i w którą stronę zmierza ta dziwna rewolucja. Próbują one budować kulturę i instytucje, które będą przekazywały prawdziwe wartości. Poza tym chrześcijanie w Hiszpanii, którzy sprzeciwiają się ideologii gender, są coraz bardziej widoczni i lepiej słychać ich sprzeciw. Odważniej i głośniej demaskują oni innym Hiszpanom ukryte zamierzenia ideologii gender i punktują wszystkie absurdy genderystów. Chrześcijaństwo ma zdecydowanie bardziej atrakcyjną narrację na temat człowieka i jego sensu życia niż teorie gender, ale ważne, by aby ten przekaz był dobrze słyszany i nierozcieńczany.

To bardzo ważne, ponieważ wystarczy pobieżnie spojrzeć na działania ideologów gender w Hiszpanii, żeby zobaczyć, iż za główny cel postawili sobie – na razie – dalsze oddalenie ludzi od Boga i jeszcze bardziej wzbudzać w nich antychrześcijański model myślenia. Na szczęście Hiszpanie na nowo się jednoczą, ponieważ czują, że gender to zło, które trzeba pokonać dobrem i Prawdą. Na owoce na pewno będzie trzeba jeszcze poczekać, zasiew jest dokonany, ale chrześcijańskie przebudzenie w Hiszpanii jest faktem i trzeba je wspierać.

Co daje człowiekowi ideologia gender? Czy może ona przedstawić jakąś konkretną ofertę opartą na jasnym podziale na dobro i zło?

W ideologii gender nie ma klasycznie pojmowanego dobra i zła. Dobrem jest np. ogłoszenie światu przez jednego czy drugiego celebrytę, że jest cis-meta-spirit-gender-queerem bądź innym przedstawicielem 253 płci. Złem jest z kolei to, co głosi Kościół katolicki, który mówi, że ludzie to kobiety i mężczyźni.

Kategoria dobra i zła została oderwana od wszelkiej logiki i rzeczywistości. Wszystko, co nie jest zgodne z kaprysem człowieka, jest złem, a każdy, kto pokazuje prawdę, to bandyta, dla którego w imię równości i tolerancji nie ma miejsca.

Dlaczego więc jest to tak pociągające?

Ponieważ ideologia gender to tak naprawdę pozostawienie człowieka w zakresie jego pragnień, co początkowo może wydać się mu czymś ciekawym i będącym przejawem totalnej wolności – „Hulaj dusza, piekła nie ma!". Jednak na dłuższą metę okazuje się to wszystko jałowe, jako coś, co nie rozwija człowieka, tylko go zwija i niszczy.

Musimy o tym mówić, musimy bić się o każdego, kto daje się uwieść genderystom, bo pomimo całej otoczki wolności i tolerancji, którymi reklamują się ideolodzy gender i LGBT, ostatecznym skutkiem ich działania jest destrukcja oraz śmierć ciała i duszy. To pewna podróbka, która postawiona pod światło ujawnia jednak swój złowieszczy charakter. Nieważne, jak ktoś będzie zaklinał rzeczywistość, jakich kłamstw używał, jak manipulował.

Przypominają się słowa jednego z psalmów: „Gdy walą się fundamenty, cóż może zdziałać sprawiedliwy?" (Ps 11, 3). Otóż może. Jasno przypominać, że nie da się budować na piasku ideologii gender, że fundament naszej chrześcijańskiej kultury, choć niewidoczny, to sprawdzone i autentyczne oparcie dla wolności. Ale nade wszystko to, że miarą cywilizacji jest zawsze relacja do prawdy – wielcy naukowcy potrafili się sprzeciwić modom i interesom i to oni mają dziś rację. Tę pasję odkrywania prawdy, tak właściwą chrześcijaństwu, warto pielęgnować i nie dać się zaskoczyć ideologicznym pułapkom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

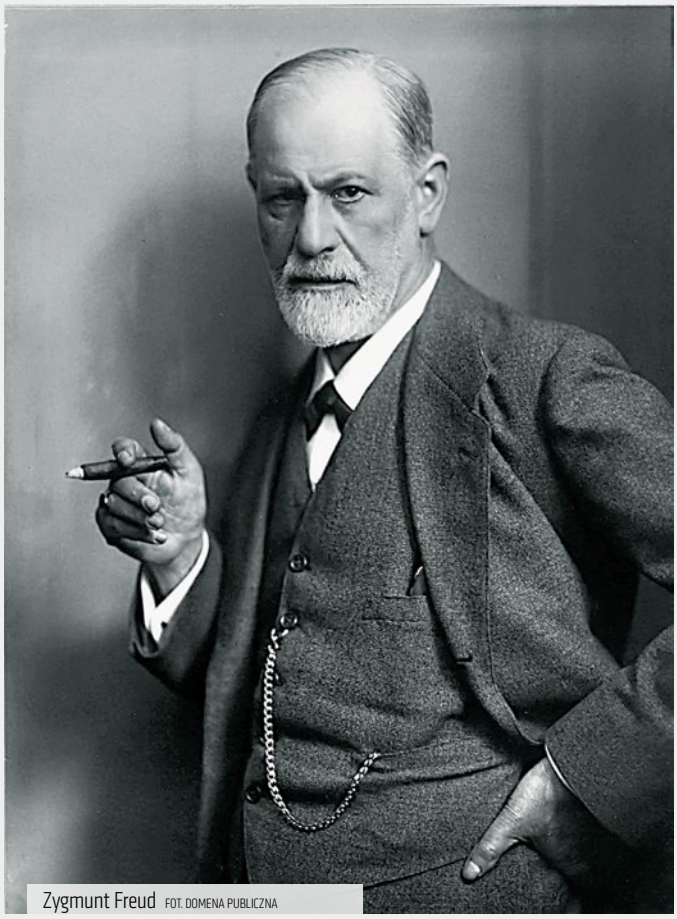
Zygmunt Freud FOT. DOMENA PUBLICZNA

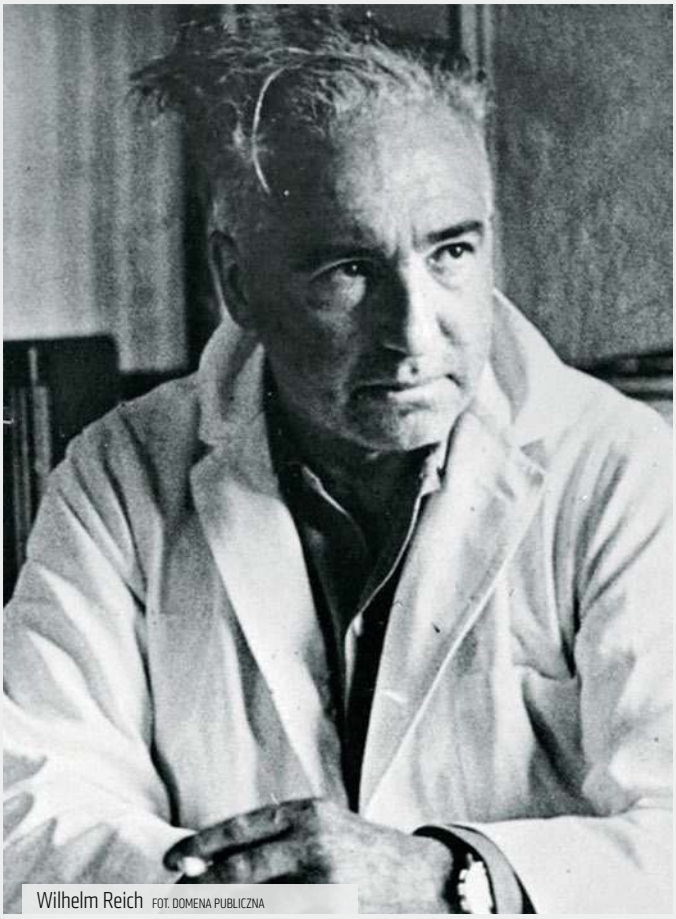
Wilhelm Reich FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ojcowie ideologii

Grzegorz Kucharczyk

Marks proponował niszczenie rodzin, ale dopiero Zygmunt Freud pomógł w „reformowaniu" życia społecznego seksualnością. Jego idee rozpleniły się w USA, gdzie uruchomił się w końcu bunt pokolenia '68

Już przed kilkudziesięcioma laty Gilbert K. Chesterton zauważył, że „tak zwani zwolennicy wolnej miłości są sentymentalni w sposób jaskrawy i jawny. Widać to po ich słabości do eufemizmów. Frazesy, w których się lubują, są zawsze wygładzone stosownie do potrzeb języka prasowego. Ci ludzie mówią o wolnej miłości, rozumiejąc przez to coś całkiem odmiennego, co należałoby raczej nazwać wolną rozpustą. Jako sentymentaliści wolą jednak mizdrzyć się i gruchać nad słowem »miłość«. Z uporem powtarzają frazes o kontroli urodzeń, mając na myśli brak kontroli i mniej urodzeń".

Warto również przytoczyć inne spostrzeżenie wielkiego Anglika, że „bywalcy świata, zwanego światem intelektualnym, dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy wielbią intelekt, oraz na tych, którzy go używają. Zdarzają się wprawdzie wyjątki, lecz na ogół nie są to ci sami ludzie".

SEKS: INSTRUMENT WŁADZY I NARZĘDZIE REWOLUCJI

Propagowanie seksualnego wyuzdania od wieków traktowane było jako skuteczne narzędzie władzy nad najbardziej niepewnym społecznym „elementem" – młodzieżą. Już Platon opisywał tyrana Syrakuz, który – aby odciągnąć młodych mieszkańców miasta od obywatelskiej aktywności, która mogłaby się obrócić w końcu przeciw niemu – zachęcał ich do „wolnej rozpusty".

eprasa.pl 06d3422e85

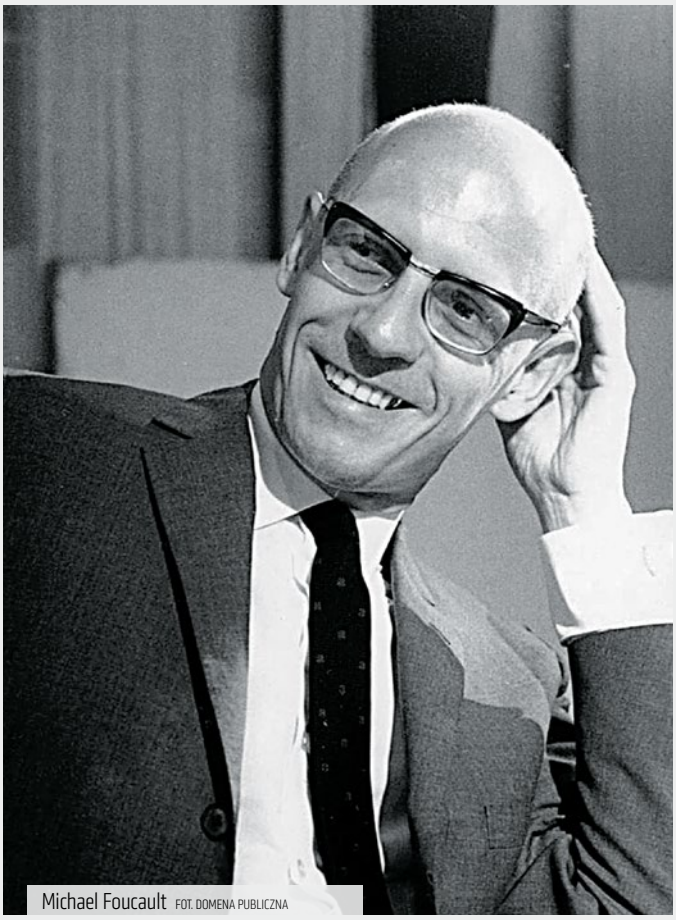
Michael Foucault FOT. DOMENA PUBLICZNA

Alfred Kinsey FOT. DOMENA PUBLICZNA

gender/LGBT

Zwróćmy uwagę, że pierwszą fazę „rewolucji seksualnej" na ziemiach polskich wprowadzili Niemcy podczas swojej okupacji w okresie drugiej wojny światowej. Niektóre polskojęzyczne gadzinówki w atrakcyjnej, kolorowej szacie graficznej (warunki okupacji!) wprost propagowały pornografię. Jeśli do tego dodać wprowadzoną przez niemieckie władze okupacyjne „aborcję" na życzenie dla Polek w Generalnej Guberni, to mamy przed sobą cały szeroki zakres „prawa do wyboru" zaoferowanego słowiańskim „podludziom" przez niemiecki Kulturvolk.

Seksualne rozpasanie to nie tylko instrument władzy, lecz także taran rewolucji, która ma stworzyć „nowych ludzi" zamieszkujących „nowy wspaniały świat". Jeden z rewolucyjnych „biesów" w powieści Dostojewskiego pod tym samym tytułem w następujący sposób określał czynniki sprzyjające wywróceniu starego świata: „Ledwie utworzy się rodzina lub zjawi się miłość, a z nimi w parze przyjdzie poczucie własności. Zniszczymy to: rozpowszechnimy pijaństwo, plotki, donosicielstwo. Będziemy szerzyć niesłychaną dotychczas rozpustę. […] Jedno lub dwa rozpustne pokolenia są teraz konieczne. Rozpusta ma być niesłychana, wstrętna, kiedy człowiek staje się niepoczytalnym, obrzydliwym, tchórzliwym, okrutnym, samolubnym bydlęciem – oto czego potrzeba".

NORMALNA RODZINA, CZYLI OPRESJA

A jeśli znajdą się teoretycy „zbydlęcenia" na uniwersyteckich katedrach oraz w instytutach badawczych, to efekt będzie dubeltowy. Marsz ku rewolucji nie tylko będzie przyjemny (jakkolwiek przyjemność będzie krótkotrwała), lecz także naukowo „obiektywny". Tak jak komunizm, którego twórcy uwielbiali odwoływać się do swoich „naukowych" analiz, twierdząc, że w odróżnieniu od swoich poprzedników, twórców socjalizmu utopijnego, przedstawili obiektywny, nieznoszący żadnego sprzeciwu ze strony profanów (czytaj: różnej maści „reakcjonistów") „socjalizm naukowy".

Jeden z jego twórców, Fryderyk Engels, napisał w 1865 r. książkę „O pochodzeniu rodziny, własności i państwa", w której określił rodzinę opartą na trwałym związku mężczyzny i kobiety jako miejsce opresji i wyzysku. Rodzina

eprasa.pl 06d3422e85

w oczach współautora „Manifestu komunistycznego" nie jawiła się jako środowisko nacechowane intymnością, miłością, wychowaniem, ale jako środowisko, gdzie trwa nieustanna walka o władzę. Walkę tę przegrywają kobiety, które w ten sposób – jak przekonywał Engels – są podwójnie wykorzystywane: jako tania siła robocza przez fabrykantów i jako przedmiot zaspokajania seksualnych apetytów przez mężów. A wystarczyło tylko rozbić podstawę tego opresyjnego środowiska, czyli wyrwać kobiety spod „władzy mężów" i uczynić je wspólnym „dobrem społecznym", aby znacznie postąpić na drodze ku rewolucji. „Wolna rozpusta" była więc immanentną częścią „postępu społecznego".

ANALITYK I REFORMATOR ETYKI SEKSUALNEJ

Jednak aż do pierwszej połowy XX w. marksizm nie włamał się do świata akademii. Potrzebny był wytrych, wytworzony z amalgamatu „naukowego socjalizmu" i nowej odmiany „filozofii podejrzeń" – psychoanalizy. Jak pisał biograf jej twórcy, Zygmunta Freuda: „Chociaż idee Darwina miały niebezpieczne i niepokojące implikacje, nie były aż tak bezpośrednio druzgocące, aż tak nieprzyzwoite jak poglądy Freuda na temat seksualności dziecięcej, wszechobecności perwersji i potęgi popędów nieświadomych" (P. Gay).

Freud wychodził z założenia, że popęd seksualny jest jedyną siłą, która rządzi życiem człowieka, motorem, który go napędza, uzasadnieniem wszystkich indywidualnych i społecznych decyzji. Twórca psychoanalizy „kulturę Zachodu położył na kozetce" (K. MacDonald) i z badania wyszło mu, że u jej korzeni jest tłumienie popędów seksualnych, co powoduje nerwicę i w końcu agresję. W takich swoich dziełach jak „Totem i tabu" czy „Kultura jako źródło cierpień" Freud przekonywał, że źródłem całego zła są religie, a specjalnie chrześcijaństwo – prawdziwe źródło nerwic i – co z tym związane – agresji.

Od początku swojej aktywności autor „Objaśnień marzeń sennych" swoją misję traktował znacznie szerzej niż tylko jako analizę wynurzeń usłyszanych od pacjentek na kozetce (dzisiaj już wiemy, że w wielu przypadkach wyznania te były przez Freuda sfałszowane). Traktował siebie jako reformatora życia seksualnego, a tym samym prekursora nowej cywilizacji. Już w 1915 r. pisał, że „etyka seksualna – jak definiuje ją społeczeństwo w swej najskrajniejszej, amerykańskiej formie – wydaje mi się godna pogardy. Opowiadam się za nieporównanie swobodniejszym życiem seksualnym".

Przekonanie o tym, że swobodna „ekspresja seksualna" jest najpewniejszym lekiem na indywidualny i społeczny wymiar agresji, było mocno utrwalone wśród pierwszego pokolenia freudystów. Jak wspominał jeden z nich (Fritz Wittels): „Niektórzy z nas uwierzyli, że psychoanaliza odmieni oblicze ziemskiego padołu […] i zapoczątkuje złoty wiek, w którym nie będzie już miejsca na nerwice. Czuliśmy się wielcy. […] Niektórzy mają w życiu misje do wypełnienia".

ZIEMIA OBIECANA PSYCHOANALIZY

Terenem „misyjnym" stała się Ameryka, gdzie od lat 30. XX w. psychoanaliza zacznie bardzo zyskiwać na popularności. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej powstała za oceanem cała sieć „instytutów psychoanalitycznych". Zjawisko to tylko spotęgowało się po tym, jak Freud po dokonanym przez III Rzeszę anszlusie Austrii w 1938 r. został zmuszony przez niemieckich narodowych socjalistów do emigracji (do Londynu).

Po upadku Republiki Weimarskiej w 1933 r. wielu freudystów wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych. Aż do dojścia Hitlera do władzy to Niemcy były w Europie głównym ośrodkiem ruchu psychoanalitycznego, na czele z Instytutem Psychoanalizy w Berlinie. Szlify zdobywała tam Karen Horney, która po wyemigrowaniu do Stanów Zjednoczonych stała się jedną z głównych postaci w nowojorskim Instytucie Psychoanalizy oraz nowojorskiej Szkole Badań Społecznych (New York School for Social Research) i kontynuowała myśl swojego mistrza o związku między „opresyjną cywilizacją" a „tłumieniem ekspresji seksualnej". Jednak na drodze postępu zaszła znacznie dalej niż autor „Totemu i tabu". W swojej książce „Zaprzeczenie waginy" („The denial of the Vagina") zarzuciła Freudowi „antyfeministyczne uprzedzenie", które w kolejnych swoich dziełach starała się zniwelować, odwołując się do dorobku marksistowskiego „socjalizmu naukowego".

Działająca w Nowym Jorku Szkoła Badań Społecznych była prawdziwym matecznikiem kadry akademickiej, która w latach 40. i 50. XX w. mocno zakorzeni się na amerykańskich kampusach. Nic dziwnego, że właśnie tam rozpocznie walkę z „systemem opresji" tzw. pokolenie 1968 r. Jego profesorowie zostali zaś w dużej mierze ukształtowani przez myślicieli neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej, którzy po dojściu Hitlera do władzy w Niemczech udali się na emigrację do USA (osiedli w Nowym Jorku i kalifornijskim Berkeley).

OŻENIĆ MARKSA Z FREUDEM

Obok Maxa Horkheimera, Theodora Adorno i Herberta Marcuse'a czołową postacią wśród „frankfurtczyków" był Erich Fromm. W 1941 r. ukazała się w Stanach Zjednoczonych jego najgłośniejsza książka „Ucieczka od wolności", która jest określana jako „próba pożenienia Marksa z Freudem" (P. Watson). Fromm akceptował zaproponowane przez Freuda stadia rozwoju ludzkiej osobowości („oralne", „analne" i „genitalne" – jak wszystko u Freuda sprowadzały się one do „wypieranych doznań seksualnych"), dostrzegając jednak – tutaj wyraźne już były inspiracje marksistowskie – wagę „charakteru społecznego". Istotą koncepcji Fromma było zidentyfikowanie czegoś, co nazywał on „sadomasochistyczną, autorytarną osobowością", która na początku lat 30. wzięła górę w weimarskich Niemczech, otwierając drogę do władzy partii hitlerowskiej.

W 1950 r. tę myśl Fromma rozwijać będzie na kartach swojej „Autorytarnej osobowości" Theodor Adorno. Według tego frankfurtczyka Ameryce nie zagraża komunizm, ale o wiele bardziej realnym zagrożeniem jest faszyzm. Ten zaś znajduje najpodatniejszy grunt w rodzinach opartych na trwałym małżeństwie i obecności ojca jako osoby mającej wpływ na wychowanie swoich dzieci. Tak rodzą się – przekonywał Adorno – „autorytarne osobowości", naturalni sprzymierzeńcy „faszyzmu". Trzeba więc było powrócić do recepty sformułowanej już przez Freuda w 1915 r. – o konieczności radykalnej „reformy" etyki seksualnej w Stanach Zjednoczonych.

Nad amalgamatem marksistowsko-freudowskim pracował usilnie również Wilhelm Reich. Formalnie nie należał do

eprasa.pl 06d3422e85

szkoły frankfurckiej, ale wraz z Frommem może być uznawany za jednego z teoretyków „rewolucji seksualnej". Takiego terminu w swoich pismach Reich używał jako pierwszy, wskazując, że „społeczny charakter" może ulec poprawie jedynie poprzez wspieranie najróżniejszych form swobodnej „ekspresji seksualnej" (czytaj: wolnej rozpusty). Im więcej tej ostatniej, tym mniejsze zagrożenie faszystowskie. Taka była główna teza jego opublikowanej w 1933 r. książki „Masowa psychologia faszyzmu" – jego ostatniej publikacji przed emigracją do Stanów Zjednoczonych.

„AKUMULATORY" I „RAPORTY", CZYLI HOCHSZTAPLERZY W AKCJI

Po przybyciu do Ameryki W. Reich nie poprzestał na teorii, ale przeszedł do czynnego zmieniania seksualnych obyczajów Amerykanów. Opracował specjalne „akumulatory orgoniczne" (wielkości budki telefonicznej), które kondensowały niezbędną dla życia „orgoniczną energię" opartą na doznawanych w „akumulatorach" uniesieniach seksualnych. Agendy rządu federalnego (zwłaszcza Food and Drug Administration) nie poznały się jednak na zaletach „wynalazku" W. Reicha i doprowadziły do jego aresztowania i skazania w 1957 r. za oszustwo handlowe. Jednak to jego idee w dużym stopniu ukształtowały umysłowość dzieci tych, którzy wysłali go za kratki.

Zaczytywały się one w „raportach" innego hochsztaplera, Alfreda Kinseya. Od lat 30. prowadził on na Uniwersytecie Stanowym w Indianie badania nad zachowaniami seksualnymi Amerykanów. W latach 1948 i 1953 opublikował swoje najgłośniejsze „raporty" z tych badań pt. „Zachowania seksualne mężczyzny" i „Zachowania seksualne kobiety". Ich główna teza sprowadzała się do tego, że wszelkiego typu perwersje seksualne są czymś „normalnym", czego dowodem jest to, że są praktykowane przez spory odsetek Amerykanów. Od dawna już wiadomo, że „raporty Kinseya" są pozbawione jakiejkolwiek naukowej metodologii, a „próbką badawczą" byli dla niego przede wszystkim więźniowie osadzeni za kratami w związku z popełnionymi przestępstwami natury seksualnej.

FOUCAULT ŚLADAMI DE SADE'A

Po obu stronach Atlantyku marsz „pokolenia 1968 roku" przez instytucje świata uniwersyteckiego dokonał się w latach 80. Grunt już był przygotowany przez psychoanalizę „żenioną" z marksizmem, który już od czasów Antonia Gramsciego (lata 20.) kładł nacisk na opanowanie sfery kultury („nadbudowy"). Przez nią wiedzie bowiem droga do opanowania „bazy" („stosunki produkcji") i ostatecznie do władzy politycznej.

W ostatnich dwóch dekadach XX w. w Europie Zachodniej amalgamat marksistowsko-psychoanalityczny uzupełniony został o „moment Foucault" (M. Bock-Côté). Micheal Foucault stał się jednym z bardziej wpływowych myślicieli „nowej lewicy". Od Engelsa i Freuda przejął sposób traktowania kultury i obyczajowości jako mniej lub bardziej ukrytej formy dominacji. Stworzona przez francuskiego socjologa wizja społeczeństwa opierała się na sieci mikrowładz, a „jeśli władza jest wszędzie, to wszędzie i przez cały czas trzeba też prowadzić rewolucję" (M. Bock-Côté).

Jak przystało na jednego z teoretyków postmodernizmu, Foucault tworzył patchwork złożony z marksizmu (kultura jako dominacja), freudyzmu (konieczność uwolnienia tłumionych popędów seksualnych), nietzscheanizmu (potrzeba stałej transgresji przeciw światu „starej, burżuazyjnej moralności") i surrealizmu.

Jak pisał w 1947 r. Antonin Artaud, jeden z przedstawicieli tego ostatniego kierunku, którego w słowie i czynie naśladował Foucault: „Już od dawna nie mam kontroli nad moim umysłem, a podświadomość panuje nade mną za pomocą impulsów płynących z głębi porywów moich nerwów i zawirowań mojej krwi".

Współczesna cywilizacja jest więc więzieniem, a prawdziwymi bohaterami wolności są ci, których „dominująca kultura" (a kultura to przecież władza) określa jako „wariatów". Taka jest główna teza najgłośniejszej książki Foucaulta „Szaleństwo i cywilizacja" z 1961 r. Pisał w niej, że „wielkie struktury burżuazyjnego społeczeństwa i jego wartości: relacje rodzina – dziecko, skoncentrowane na zagadnieniu władzy rodzicielskiej; relacje wykroczenie – kara, skupione na kwestii natychmiastowej sprawiedliwości; relacje szaleństwo – nieład, skupione wokół społecznego i moralnego ładu – wszystkie one są wytworami pozbawionej ograniczeń władzy kategoryzującego, rozróżniającego, segregującego rozumu zachodniego społeczeństwa".

W 1976 r. Foucault rozpoczął pisanie swojego opus magnum „Historia seksualności", w której dowodził, że chociaż seks jest tłumiony przez „represyjną zachodnią kulturę", to jednak oferuje on jedyną właściwie możliwość ucieczki ze świata wszechogarniającej opresji. Konieczne jest więc osiągnięcie „granicznego doświadczenia". Własnymi uczynił Foucault słowa swojego mistrza Artauda, że „ciało ludzkie jest baterią elektryczną, której możliwości ładowania zostały stłumione".

Trzeba więc było je odblokować. Od końca lat 70. Foucault czynił to, uprawiając sadomasochistyczny seks w San Francisco. Nie zaprzestał tego typu aktywności nawet wtedy, gdy w 1982 r. dowiedział się, że ma AIDS. Brał udział w sadomasochistycznych orgiach, nie ostrzegając o swojej chorobie partnerów. To było dla niego dodatkowe „graniczne doświadczenie".

Foucault szedł w ślady prekursora na drodze osiągania tego typu „doświadczeń", swojego rodaka markiza de Sade'a.

Wyzwolony przez rewolucję francuską z zakładu dla obłąkanych w Charenton (gdzie był umieszczony na prośbę rodziny), aktywny członek klubu jakobińskiego, de Sade jeszcze przed 1789 r. w następujący sposób wyjaśniał „antropologiczne" podstawy swojego zaangażowania na rzecz pozbycia się „fanatyzmu i zabobonu" (jak określał moralność chrześcijańską): „Kim jest człowiek i jaka jest różnica między nim a innymi roślinami, między nim a wszystkimi innymi zwierzętami natury? Oczywiście żadna". Witamy w świecie „zbydlęcenia", rzeczywistości pożądanej przez kolejne pokolenia rewolucyjnych „biesów".

Żeby nie było tak ponuro, powróćmy na koniec do uwag Chestertona o „bywalcach świata zwanego intelektualnym". Zauważył on, że „ilekroć ludzie oznajmiają uroczyście, że świat buntuje się przeciw religii, prywatnej własności, patriotyzmowi i małżeństwu, tylekroć mają na myśli, że buntuje się przeciw niemu ten światek. Jest on zresztą permanentnie zbuntowany przeciw wszystkiemu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Filip M. Furman

Moja płeć –

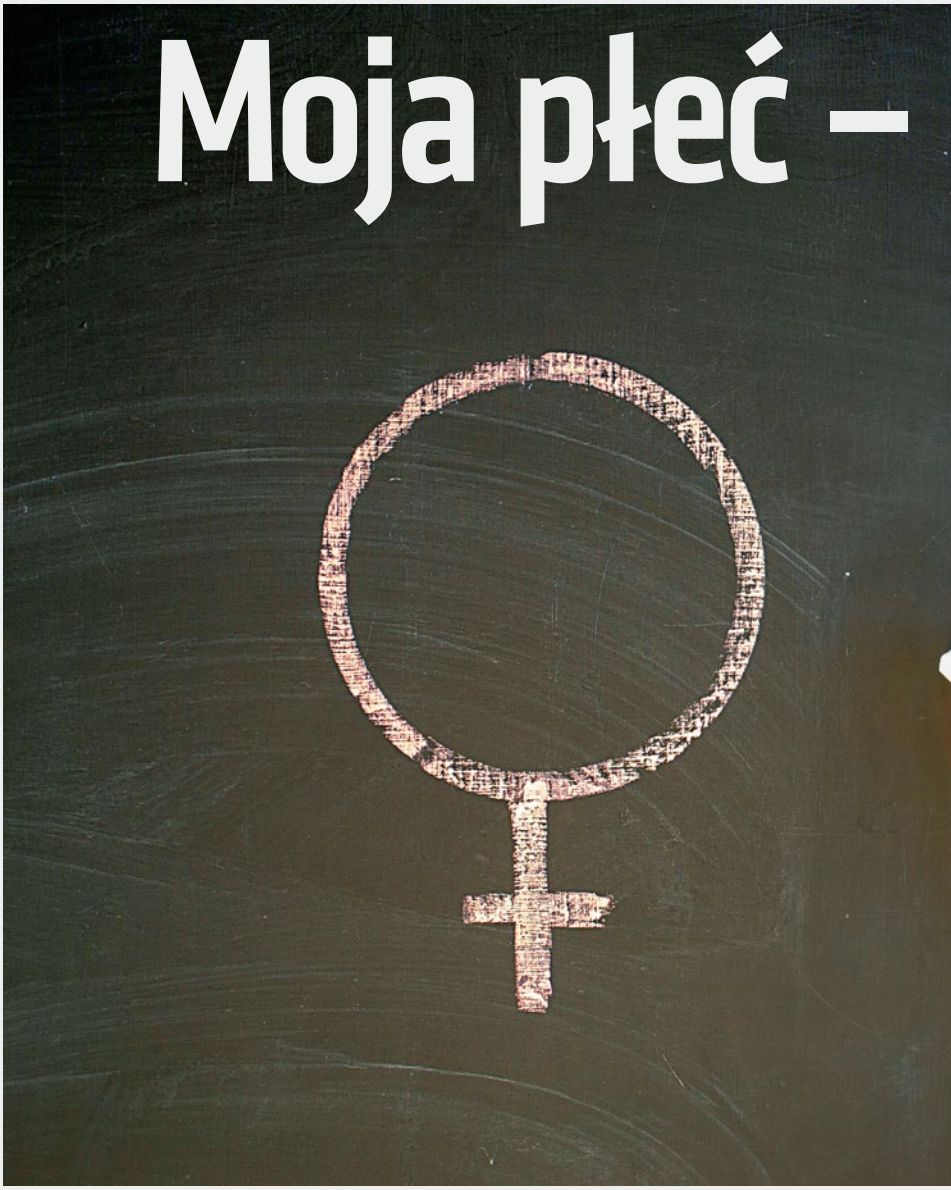

FOT. ADOBESTOCK

Społeczna teoria gender stawia w pewnym zakresie właściwe diagnozy, ale wyciąga z nich wadliwe wnioski. Ma bowiem służyć jako narzędzie przebudowy społecznej

Kiedy George Orwell na potrzeby fabuły „Roku 1984" formułował najważniejsze zasady „angsocu" – od „angielskiego socjalizmu" – ustroju, w którym w jego mrocznej wizji przyszłości żyły narody świata Zachodu, nie mógł raczej podejrzewać, że spełnią się one w sposób zarówno dosłowny, jak i karykaturalny, śmieszny i straszny. Cała koncepcja „angsocu" i kooperacji jednostek z nieludzkim, totalitarnym systemem opierała się na zasadzie „dwójmyślenia", najkrócej uchwyconej w zasadach: „Wojna to pokój, wolność to niewola, ignorancja to siła". Zasady nowego „angsocu" na pierwszy rzut oka wydają się mniej poważne, choć równie fałszywe: „mężczyzna to kobieta", „»orientacja seksualna« jest przyrodzona, a płeć to kwestia wyboru", „prawem do życia jest prawo do zabijania nienarodzonych", „przyszłość to brak przyszłych pokoleń (ekologizm)" czy „przeciwnicy wchodzenia państwa w każdą sferę życia to faszyści".

Konserwatyści od lat z lekceważeniem traktowali te i podobne wynurzenia lewicowych radykałów, a często nawet ich nie dostrzegali. Stałe powtarzanie tych absurdów i wreszcie przebicie się ich do mediów głównego nurtu, cenzura krytyki ze strony konserwatystów przez największe portale społecznościowe, a w końcu podżeganie do zamieszek – częściowo skuteczne – w Polsce i na całym szeroko pojętym Zachodzie w imię budowy nowego porządku społecznego opartego na ponowoczesnych dogmatach stawiają nas jednak przed koniecznością analizy nie tylko samych ruchów społecznych i politycznych, lecz także poważnej analizy ich postulatów. Wbrew pozorom są to postulaty nietrywialne, kształtują bowiem sposób myślenia, postrzegania świata, świadomość wielu ludzi, a co za tym idzie – mogą decydować o kształcie przyszłej polityki państwa, przyszłego systemu edukacji, przyszłych struktur społecznych, przyszłej rodziny, przyszłych relacji międzyludzkich – nawet pomiędzy rodziną czy przyjaciółmi.

FASADA NAUKOWOŚCI

Lewicowe autorytety polityczne i naukowe często próbują jednak przekonać nas, że postulaty te, wyrażane szczególnie w formie nurtu gender, nie mają nic wspólnego z polityką czy ideologią (wręcz obrażając się za takie określenie!), a są jedynie niewinnymi, obiektywnymi, naukowymi teoriami. W istocie jednak fasada naukowości służy jedynie jako zabieg dialektyczny. Czym więc jest teoria gender, leżąca na fundamencie wielu współczesnych ruchów lewicowych?

W istocie gender jest teorią quasi-naukową. Początkowo słowa „gender" rzeczywiście używano równolegle i zamiennie z pojęciem „płci społeczno-kulturowej", czyli zespołu cech i ról społecznych, które konkretne społeczności przypisują kobietom i mężczyznom. I tak moglibyśmy teoretycznie powiedzieć, że w społeczeństwach łowiecko-zbierackich do żeńskiego genderu nie należy polowanie, gdy tymczasem w naszym społeczeństwie aktywność ta nie byłaby może elementem modelowego żeńskiego genderu, byłaby jednak dopuszczalna. Pojęcie

eprasa.pl 06d3422e85

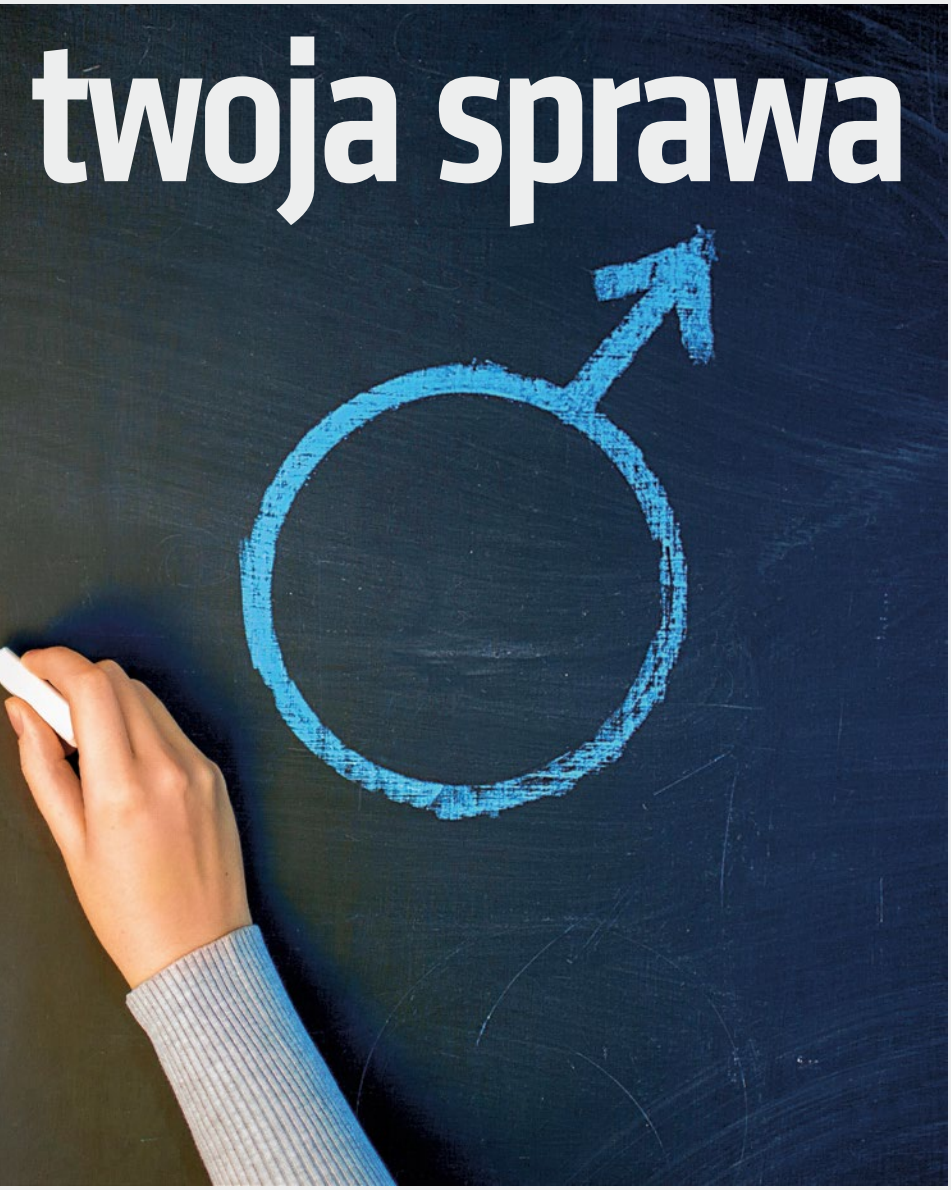

„gender" bardzo szybko przestało służyć jedynie do akademickich dyskusji z dziedziny antropologii kultury. Jego konstrukcja logiczna została też odwrócona. I tak pierwotnie pojęcie służące do zbiorczego nazywania pewnych realnie występujących ról społecznych stało się pojęciem wyabstrahowanym i pustym, które można wypełnić dowolną treścią: „płeć społeczno-kulturowa" stała się zjawiskiem samym w sobie, nieodnoszącym się do realnie występujących ról, a bytem nadrzędnym, z którego te role mają wynikać. Zgodnie z obecną narracją gender danej płci nie wynika z zachowania jej reprezentantów, a zachowanie ma jakoby wynikać z narzuconego (przez kogo?) genderu. Trudno przyznać takiemu rozumowaniu miano logicznego i ludzi poza światem akademickim, a nawet akademików spoza nauk społecznych, dziwić może, że taka teoria może uchodzić za naukową. Staje się to jednak w pełni jasne, jeśli poznamy najważniejszy, w mojej opinii, podział teorii w zakresie socjologii. A jest to podział na teorie socjologiczne i teorie społeczne.

W dużym skrócie możemy powiedzieć, że teorie socjologiczne to teorie zorientowane bezpośrednio na poznanie i zrozumienie społeczeństwa ludzkiego i uniwersalnych mechanizmów w nim działających, twardo trzymające się naukowych metod badania rzeczywistości. Unikają one wartościowania i koncentrują się raczej na odpowiedziach na pytania: „Jak?" i „Dlaczego?", niż „Jak powinno być?". Teorie społeczne z kolei to w znacznej mierze teorie krytyczne, które wyrażają przede wszystkim postulaty, dokonują daleko idących ocen zjawisk społecznych, wskazują na rzeczy – z własnej, subiektywnej perspektywy autorów – pożądane i niepożądane. W takim rozumieniu teoria Marksa, krytykująca kapitalizm i postulująca zaprowadzenie komunizmu, ze wszystkimi swoimi antyludzkimi konsekwencjami i liczbą ofiar sięgającą setek milionów, była/jest teorią naukową w takim rozumieniu, w jakim jest teorią społeczną. I dokładnie w takim zakresie teorią naukową może być teoria gender. Podobnie jak teoria Marksa w pewnym zakresie stawia prawidłowe diagnozy: istniał realny wyzysk robotników, relacje z pracodawcami oraz warunki życia i pracy często urągały nie tylko godności, lecz także zdrowiu człowieka; istnieją różnice między płciami, w niektórych społeczeństwach odbijające się na możliwościach rozwoju jednej lub drugiej płci. Te diagnozy nie są też niczym trudnym do zaobserwowania ani kontrowersyjnym. W obu teoriach z diagnoz wyciągane są jednak fałszywe wnioski służące do formułowania skrajnie niebezpiecznych postulatów.

KONSUMENT IDEALNY

Postulaty zarówno marksizmu, jak i teorii gender to przede wszystkim całkowita przebudowa naturalnej struktury społecznej, oparta na założeniu, że przemoc, wyzysk czy jakiekolwiek patologie relacji społecznych nie wynikają z zaburzeń, cech lub konkretnych zachowań uczestniczących w nich jednostek, a są wynikiem samego istnienia struktury społecznej. Są to przekonania tkwiące głęboko w XIX-wiecznych pseudonaukowych przesądach – dalekie echa freudyzmu czy wiara w „pierwotne społeczeństwo dobrobytu". Tymczasem to właśnie struktura, kultura, organizacja społeczeństwa, określone role i ramy działania pozwalają na ograniczanie przemocy i w ogóle funkcjonowanie społeczeństwa. Bez łagodzącej roli kultury i ugruntowanego w niej prawa bylibyśmy skazani na ciągłe definiowanie każdej nowej relacji, na nieustanne próby sił, na wszechpanowanie jedynie prawa silniejszego.

Celem tych działań i postulatów lewicy – najprawdopodobniej

eprasa.pl 06d3422e85

nieuświadamianych przez dużą część jej przedstawicieli, złapanych na emocjonalne hasła – jest wychowanie konsumenta idealnego. Człowiek wyzuty z wszelkiej relacji i tożsamości oparty jest jedynie na swoim materialnym stanie posiadania. Dlatego podejmowana jest tak silna walka z każdą identyfikacją: narodem, religią i przede wszystkim rodziną. Podejmowana jest próba budowy systemu opartego na ciągle zwiększającej się konsumpcji – stąd także kuriozalne wzywanie do posiadania mniejszej liczby dzieci lub w ogóle zrezygnowania z rodzicielstwa: w celu łatwiejszego utrzymania wysokiego statusu materialnego. Trudno bowiem na serio wziąć postulat mówiący o tym, że aby przyszłe pokolenia żyły w dobrym środowisku, tych pokoleń nie powinno być – jest to twierdzenie wewnętrznie sprzeczne. Jednak rzeczywiście w takiej wizji świata paradoksalnie instytucja, która konstytuuje każdy inny, naturalnie skonstruowany porządek, czyli rodzina, staje się instytucją najbardziej anarchizującą, ponieważ więzi łączące członków dobrze funkcjonującej rodziny zawsze będą silniejsze od relacji ze światem zewnętrznym, a główną potrzebą jest w niej potrzeba miłości i bycia razem, a nie posiadania. „Być", nie „mieć".

PRZEMOC SYMBOLICZNA

Rodzina jest więc obecnie atakowana bardzo różnymi środkami. Pierwszym – i jak się wydaje, najskuteczniejszym – środkiem jest przemoc symboliczna. To pojęcie wywodzące się z teorii francuskiego socjologa Pierre'a Bourdieu, który określał w ten sposób wiele niezwiązanych z fizyczną przemocą narzędzi i sposobów działań, które grupy dominujące w hierarchii społecznej wykorzystują w celu utrzymania relacji władzy nad grupami zdominowanymi. Najważniejszym zadaniem przemocy symbolicznej jest osiągnięcie stanu, w którym grupy zdominowane postrzegają interes grupy dominującej jako zgodny ze swoim. W ten sposób bez stosowania środków przymusu, a nawet bez stosowania zachęt, grupy zdominowane wykonują de facto zadania przypisane im przez grupę dominującą. Użycie przemocy symbolicznej tłumaczy, dlaczego skrajne, rewolucyjne, wymierzone w rodzinę pomysły mogą czasami uzyskiwać poparcie osób w życiu osobistym całkiem konserwatywnych. Podobnie wywoływanie antagonizmów płciowych, próba zaimplementowania młodym kobietom idei, że mężczyźni są ich wrogami, a nie partnerami, że największym zagrożeniem (dla „kariery", dla dobrobytu) jest dziecko, a nie praca po kilkanaście godzin dziennie, są instrumentami przemocy symbolicznej. Sukces przemiany wzorców życia dokonywany za jej pomocą jest szczególnie widoczny w kategoriach demograficznych. Olbrzymi spadek dzietności w Europie składać możemy oczywiście także na karb trudności ekonomicznych, z jakimi boryka się szczególnie pokolenie młodych dorosłych, jednak w wielu, zwłaszcza bogatszych, krajach trudności te nie są tak duże, by uzasadniały systemowe wręcz rezygnowanie z założenia własnej rodziny i własnego gospodarstwa domowego – to efekty zmian stylu życia, wywołanego w dużej mierze właśnie przez przemoc symboliczną.

Takie działania są jednak – na szczęście – niewystarczające. Również realny terror, choć próby jego zaprowadzania miały już miejsce w wielu metropoliach Europy i Ameryki (w Polsce kończąc się fiaskiem dzięki zorganizowanemu oporowi środowisk patriotycznych), nie jest narzędziem wystarczającym do przeprowadzenia zmiany społecznej, jeśli do jej przeprowadzenia brak bazy społecznej lub jest ona niewielka i słaba. Z tego względu następuje próba sięgnięcia po instrumenty prawne. Konwencja stambulska w art. 12. wprost zobowiązuje strony do „podejmowania działań niezbędnych, by promować zmianę społecznych i kulturowych wzorców zachowań kobiet i mężczyzn w celu wykorzenienia uprzedzeń, zwyczajów, tradycji oraz innych praktyk opartych na idei niższości kobiet lub na stereotypowych rolach kobiet i mężczyzn". Oznacza to, że konwencja wprost stwierdza, iż kultura jako taka (zwyczaje i tradycje) jest źródłem uprzedzeń czy idei niższości jednej płci względem drugiej.

Nie wiem, o jakiej kulturze mowa, na pewno nie jest to kultura chrześcijańska, w której jako Europejczycy żyjemy (mam nadzieję). Podkreślić warto także, że konwencja mówi przede wszystkim nie o równości kobiet i mężczyzn, ale o równości genderu. Widać wyraźnie, że współczesna lewica inkorporuje do swoich metod działania także dorobek poprzednich ruchów o czerwonym zabarwieniu i w mówieniu o konwencji stambulskiej stosuje tzw. mądrość etapu. Chociaż nikt jeszcze na poważnie nie wypowiada się otwarcie na rzecz stosowania konkretnych zabiegów mających zagwarantować „równość" kilkudziesięciu wymyślonych „płci", to koncepcja „równości genderu" (nie „równości płci"!) otwiera do tego furtkę – naiwnością byłoby twierdzenie, że lewica nie będzie próbowała z niej skorzystać.

RATUNKIEM JEST EDUKACJA

Lewicowa, antyutopijna wizja społeczeństwa świadomie podzielana jest jedynie przez margines. Część jej retoryki trafia jednak do odbiorców umiarkowanych, dzięki graniu na emocjach i niewiedzy. Jak więc można odpierać tę szkodliwą społecznie retorykę? Na czym należy się opierać? Przede wszystkim na dobrej edukacji, w tym najbardziej edukacji średniej i wyższej. Przyjęcie twierdzeń absurdalnych przez ludzi często wysoko wykształconych w swoich dziedzinach specjalistycznych świadczy o dużym problemie w wykształceniu w zakresie podstaw myślenia naukowego, w zakresie logiki. Nie na darmo środowiska lewicowe na Zachodzie podnoszą już postulaty usuwania logiki dwuwartościowej z uniwersytetów, ponieważ w ich mniemaniu kategorie prawdy i fałszu są dyskryminujące. Pojawiające się ostatnio w polskiej debacie publicznej postulaty usunięcia z uniwersytetów historii i teologii idą w tym samym kierunku. Zadaniem każdego, komu leży na sercu dobro i trwanie społeczeństwa, w którym żyje, jest więc w tym momencie przede wszystkim walka o prawdę oraz edukacja siebie i bliskich, by zdobyć narzędzia, którymi tę w znacznej mierze wewnętrzną walkę można prowadzić. Należy też wyraźnie artykułować rozsądne postulaty tradycyjnie uznawane za lewicowe: poprawę warunków mieszkaniowych, godne warunki pracy i godną płacę, poprawę sytuacji najmłodszego pokolenia na rynku pracy – ponieważ to, że postulaty te obecnie w Polsce niemal całkowicie zagospodarowała prawica, wiele mówi o realnym stosunku lewicy do problemów Polaków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest socjologiem, doktorem nauk o zdrowiu, dyrektorem Centrum Nauk Społecznych i Bioetyki w Instytucie na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris.

eprasa.pl 06d3422e85

Z Michałem Wosiem, wiceministrem sprawiedliwości
rozmawiają Tomasz Rowiński i Tomasz D. Kolanek

Jak zabezpieczyć polskie uczelnie przed ideologią gender?

„DO RZECZY": Czy są instrumenty prawne pozwalające uchronić polskie uczelnie przed ideologią gender?

MICHAŁ WOŚ: Uniwersytety zawsze stanowiły fundament cywilizacji. W naszym zachodnim, chrześcijańskim świecie wolność nauki doprowadziła do zwycięstwa rozumu, to Kościół był promotorem postępu naukowego. To, co z uczelniami zrobiła ideologia gender, to właśnie zaprzeczenie naukowości. Twierdzenie, że płeć nie jest kwestią biologiczną, a „konstruktem społeczno-kulturowym", jest po prostu bzdurą, w sposób oczywisty sprzeczną z rozumem. Ale taka definicja uzasadnia walkę w ramach „rewolucji klas płciowych" i „konieczności zniesienia rodziny biologicznej", jak ją uzasadniają główni ideolodzy gender, np. S. Firestone, J. Butler czy A. Jagger. Ta wprost marksistowska „walka klas" pokazuje – w kontekście uczelni – że mamy do czynienia z marszem przez instytucje, który nie ma nic wspólnego z wolnością nauki. Wręcz przeciwnie, to wolność nauki i prawo głoszenia własnych, sprzecznych z ideologią gender poglądów wymaga ochrony. Skuteczne metody? Oczywiście wprost zakaz finansowania oraz organizowania gender studies. To zadziałało na Węgrzech do tego stopnia, że George Soros zdecydował się zakończyć działalność swojego uniwersytetu w Budapeszcie. Poważny problem jest w jeszcze jednym miejscu – w przesycaniu ideologią gender tradycyjnych kierunków oraz w dyskryminacji tych wykładowców, którzy mówią rzeczy obrazoburcze dla genderystów.

Jak zabezpieczyć prawnie polskie uczelnie i polskie szkoły przed agresją ideologów, która – jak słyszymy od znajomych akademików – jest czymś powszechnym, jeśli tylko osoba prowadząca pracę akademicką ujawni się ze swoimi prawicowymi poglądami lub wiarą katolicką.

Przede wszystkim na każdą agresję należy odpowiednio reagować. W sprawie dyskryminacji prof. Budzyńskiej, pracującej wówczas na Uniwersytecie Śląskim, ukaranej przez komisję dyscyplinarną karą nagany, zostało złożone zawiadomienie do prokuratury przez śląskich działaczy Solidarnej Polski. Także z inicjatywy naszego ugrupowania został powołany w Sejmie Parlamentarny Zespół ds. Walki z Cenzurą na Uczelniach. Zaproponowaliśmy zmiany legislacyjne wzmacniające konstytucyjną wolność wyrażania poglądów przy zachowaniu bezstronności państwa. Przede wszystkim wprost trzeba ustawowo zagwarantować, by nauczyciel akademicki nie mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za wyrażanie przekonań religijnych, filozoficznych lub światopoglądowych. Jeśli już zostanie wszczęte postępowanie wyjaśniające, to nie można godzić się na zawieszenie takiej osoby w obowiązkach na uczelni. Konieczne jest też uporządkowanie kwestii odwołania do bezstronnego organu od ewentualnych postępowań dyscyplinarnych. W przypadku prof. Budzyńskiej rażąco zignorowano obowiązujące procedury, ponadto oddalono wszystkie wnioski dowodowe obrony, a wnioski oskarżenia zostały bezrefleksyjnie uwzględnione tylko po to, by ukarać za przekazywanie wiedzy o tradycyjnej rodzinie. Takie prace legislacyjne już podjęliśmy w rządzie. Światowe dane pokazują, że to chrześcijanie są najbardziej prześladowaną grupą. Na różne sposoby wspieramy działania mające walczyć z chrystianofobią. W przypadku, gdy dochodzi do dyskryminacji, ważne jest, aby osoba pokrzywdzona wiedziała, że warto takie przypadki zgłaszać.

Dlaczego na polskich uczelniach dochodziło do takich sytuacji jak sprawa prof. Nalaskowskiego czy prof. Budzyńskiej?

Odpowiedź jest prosta: dochodziło do nich, bo lewica, pod płaszczykiem miłości i tolerancji, chce dyskryminować osoby o odmiennych poglądach. Zamiast wolności prowadzenia badań naukowych mamy stosowanie represji wobec nauczycieli akademickich, którzy mają odwagę uczyć studentów w duchu prawdziwego uniwersytetu, którzy chcą

eprasa.pl 06d3422e85

przekazywać im wiedzę i prawdziwe wartości. Obecnie na wielu światowych uniwersytetach zakazuje się wykładów pro-life, neguje się dorobek myślicieli konserwatywnych i chrześcijańskich oraz indoktrynuje studentów neomarksistowską wizją świata. Przykłady podobnego postępowania w różnych sferach życia społecznego możemy mnożyć – chociażby ataki na kościoły, figury i obrazy Jezusa, Matki Boskiej, świętych. To także fizyczne ataki na księży. Te barbarzyńskie działania pokazują, że agresywna negacja chrześcijańskiej wizji świata nie jest związana wyłącznie z uczelniami. W przypadku uniwersytetów razi jednak to, że wszyscy chcielibyśmy, by ludzie związani z nauką byli elitą, autorytetami, bo kształtują kolejne pokolenia. A często okazuje się, że kierują się oni tymi samymi instynktami co zbuntowane przeciwko całemu światu nastolatki mażące sprayem po drzwiach kościoła. Dlatego trzeba otwarcie przeciwstawiać się dyskryminacji i zgłaszać przejawy takich zachowań.

Środowiska lewicowe zachęcane są wprost do podejmowania akcji przeciwko wolności głoszenia poglądów katolickich. Widzimy to chociażby po pomysłach skręcającej w lewo Platformy Obywatelskiej. Chcąc przypodobać się lewicy, pan Borys Budka ogłosił, że chciałby radykalnie ograniczyć studia historyczne czy teologię. Oczywiście można żartować, że nieznajomość historii przez Polaków byłaby wygodna dla jego formacji, ale uzasadnienie jest aberracją. Twierdzi, że chce usuwać te kierunki, bo absolwenci mają problem ze znalezieniem pracy w zawodzie. Nie znalazłem w Internecie ani jednej oferty pracy dla absolwentów gender studies. Ciekawe, czy przewodniczący PO zachowa się konsekwentnie i poprze likwidację finansowania takich studiów. Ale teraz na poważnie – takie niebezpieczne pomysły pokazują, że jest to zideologizowana forma walki z naszą tożsamością narodową, państwowością, tradycją i wartościami. Na to nie może być zgody nie tylko polskiego rządu i polityków, lecz także roztropnego i odpowiedzialnego człowieka.

Jak wzmocnić prawo, żeby lepiej broniło normalności, i to nie tylko na uniwersytetach, lecz także w szkołach podstawowych i średnich?

Przede wszystkim nie możemy pozwolić na promowanie tych ideologii w szkołach i na uczelniach. Istnieją dwie płcie. Jakakolwiek promocja na uczelni i realizacja toku studiów przecząca temu wydaje

FOT. KRZEMIN28/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 06d3422e85

się aberracją. Dlaczego więc państwo ma to finansować? To antynaukowy bełkot mówiący o mnogości płci. Odnosi się to również do programów szkolnych, które powinny być wolne od neomarksistowskich treści. Państwo powinno kształtować agendę służącą umacnianiu polskości i więzi rodzinnych, bo silna rodzina to silna Polska i jako Solidarna Polska mamy to na sztandarach od zawsze.

Czy jest to możliwe, czy też państwo jest ograniczone przez „niezależność" uczelni wyższych lub też instytucje międzynarodowe?

Autonomia uczelni, wolność nauki i wolność do głoszenia poglądów jest wartością. Dlatego, gdy obecnie widać próby cenzury poglądów, które są inne niż lewicowe, trzeba interweniować. W przypadku prof. Budzyńskiej komisja dyscyplinarna orzekła, że prowadzone przez nią wykłady są zgodne z wiedzą naukową, a jednak ukarała wykładowcę karą nagany. To oznacza, że jedynym „problemem" była niezgodność z ideologią lewicową. To jaskrawy przykład braku wolności nauki i dyskryminacji za poglądy. Dzieje się to w Polsce w XXI w. Reakcja była potrzebna. W żadnym wypadku nie można wywieszać białej flagi w tej wojnie kulturowej, która się toczy. Nie możemy godzić się na wizję świata z „koniecznością dziejową". Nie można się poddawać. Solidarna Polska ma w tej sprawie jasne stanowisko, co już wielokrotnie udowodniliśmy.

Czy np. Unia Europejska może narzucić polskim uczelniom wdrażanie ideologii gender i politycznego ruchu homoseksualnego pod groźbą odebrania funduszy?

Jest takie ryzyko. Niestety, zgoda na ostatnim szczycie europejskim na mechanizm „pieniądze za praworządność" (w sytuacji, kiedy mogliśmy te rozwiązania jako Polska zawetować) rodzi także wskazane przez panów ryzyka, bo rozporządzenie – na ostatniej prostej prac – rozszerzono na wszystkie tzw. wartości europejskie z art. 2 traktatu o UE. To interpretacyjny worek bez dna. Unia Europejska niestety staje się narzędziem w rękach piewców lewicowych ideologii, dążących do utworzenia federacji europejskiej. To zagrożenie nie tylko dla suwerenności państw, lecz także dla konserwatywnych wartości.

Co może zrobić państwo, żeby w polskich szkołach nie było więcej „tęczowych piątków" i innych wydarzeń animowanych przez polityczny ruch homoseksualny?

Dbać o egzekwowanie aktualnych przepisów i wzmacniać świadomość praw, które mają rodzice. Chciałbym tutaj powołać się na dwa przepisy, które powinny wyjaśnić tę kwestię. Przede wszystkim art. 48 konstytucji gwarantuje rodzicom wyłączne prawo do decydowania o sposobie wychowania dzieci w zgodzie z ich przekonaniami. Dlatego powszechna była praktyka pisemnych zgód nawet na lekcje wychowania do życia w rodzinie. „Tęczowe piątki" to nie tylko ideologizacja, lecz także upolitycznianie szkół. Bo były one organizowane przez fundację założoną przez Roberta Biedronia. Przypominam, że zgodnie z prawem oświatowym – art. 86 ust. 2 – aby dyrektor mógł wyrazić zgodę na podjęcie działalności wychowawczej lub dydaktycznej przez organizację, musi uzyskać pozytywną opinię rady rodziców. Były sygnały co najmniej z kilku szkół o naruszeniu tej procedury. Oczywiście trzeba w tym względzie wzmocnić nadzór kuratoriów oświaty.

Oprócz tego nie możemy tylko przyglądać się działalności środowisk lewicowych. Realizujemy bardzo wiele działań wspierających rodzinę i tradycję. Szczególnie cieszy mnie, że wiele wspaniałych inicjatyw jest podejmowanych oddolnie, obywatelsko. Pokazuje to chęć rodziców do wychowania swoich dzieci w duchu wartości.

Na czym polega luka prawna w sprawie adopcji dzieci przez pary homoseksualne i co ministerstwo planuje w tym zakresie zmienić w proponowanym projekcie ustawy?

W aktualnym stanie prawo zezwala na adopcję wyłącznie przez małżeństwa. Zaproponowana konstrukcja uściśla przepisy, niwelując istniejącą lukę prawną. Znając aktywizm sędziowski, czyli chęć szerokiego interpretowania prawa, mogłoby dojść do przypadku, że w Polsce zostanie uznane tzw. małżeństwo jednopłciowe zawarte za granicą. To otwierałoby drogę do adopcji dzieci przez pary homoseksualne. Proponowana zmiana przepisów wprost zabrania adopcji dzieci przez partnerów tej samej płci. To gwarantuje realną ochronę dzieci. Tam, gdzie adopcja dzieci przez homoseksualistów jest legalna, idą jeszcze dalej – mam na myśli ostatni szokujący przypadek adopcji dziecka przez trzech gejów w Kalifornii. Trzeba robić wszystko, co możliwe, by nie dopuścić do takich eksperymentów na dzieciach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Węgry i porażka gender studies

Konrad Dyda

Węgierski rząd usunął gender studies z listy kwalifikacji osiąganych na uczelniach wyższych, bo nie było zapotrzebowania na takie kwalifikacje na rynku pracy. W dodatku uznał tę sferę za ideologię, a nie naukę

Bez większych problemów można wskazać kilka zasadniczych cech, przewijających się właściwie w każdej ofercie z zakresu gender studies. Przykładowo Instytut Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego zaprasza na Podyplomowe Studia nad Społeczną i Kulturową Tożsamością Płci „Gender Studies", podając, że studia te „opisują, analizują, dekonstruują wszystkie przesądy związane ze stereotypami kobiecości i męskości. Tematyka ta dotyczy wszystkich dziedzin życia i nauki, uzupełnia akademicką wiedzę, »odczarowuje« mity, rozszerza perspektywę o spojrzenie na dokonania całej ludzkości, a nie tylko męskiej połowy. Gender Studies stanowi krytykę kultury i niesie propozycje jej zmiany".

Podobne informacje można odnaleźć na stronie internetowej poświęconej studiom podyplomowym oferowanym przez Instytut Badań Literackich PAN. Dowiadujemy się z niej m.in., że gender studies „poddają krytycznej analizie dotychczasowe przekonania o »naturze człowieka«", a w ich ramach słuchacze odbywają zajęcia poświęcone ogólnym zagadnieniom feminizmu, historii ruchu kobiecego oraz „genderowym" ujęciom m.in. filozofii, historii czy teologii.

Właściwie – z punktu widzenia podobnych ofert pojawiających się na uniwersytetach czy w instytutach naukowych krajów chociażby Europy Zachodniej – powyżej przytoczone propozycje nie są żadnym wyjątkiem. Przy czym należy podkreślić, że nad Wisłą, jeśli w ogóle w ofertach jednostek naukowych pojawiają się gender studies, to mają one charakter bądź studiów podyplomowych, bądź przedmiotów oferowanych w ramach innych kierunków. Gender nie jest w Polsce ani dziedziną, ani dyscypliną nauki; nie uzyskuje się w tym obszarze także tytułów zawodowych bądź naukowych.

Nieco inaczej sytuacja ta przedstawiała się na Węgrzech, gdzie do 2018 r. prowadzono studia magisterskie i doktoranckie właśnie na kierunku gender studies.

WĘGIERSKI SPOSÓB

Na mocy – wydanego 12 października 2018 r. – dekretu o liście kwalifikacji, które należy uzyskać w szkolnictwie wyższym oraz o wpisaniu nowych kwalifikacji, węgierski rząd wycofał swoją akredytację na studia z zakresu gender studies. Podejmując taki krok, rząd skorzystał z upoważnienia wynikającego z ustawy z 2011 r. o krajowym szkolnictwie wyższym, która stanowi, że właśnie na podstawie dekretu określa się m.in. ramy kwalifikacji oraz kierunki studiów magisterskich i licencjackich. Decyzje w tym obszarze są także jednym z kluczowych czynników przesądzających o finansowaniu szkół wyższych z budżetu państwa.

Z tego względu podstawowym skutkiem wejścia w życie dekretu była utrata akredytacji przez gender studies, a więc tym samym ich dofinansowania ze środków publicznych. Przy czym skutki zmian prawa nie dotyczyły studentów, którzy w poprzednich latach rozpoczęli kształcenie na wymienionym kierunku. Adepci studiujący „gender" do roku 2018 mieli możliwość dokończenia swoich studiów, a tym samym otrzymania stosownego dyplomu. Warto przy tym zaznaczyć, że gender studies nigdy nie był zbyt popularnym kierunkiem studiów na Węgrzech, a co za tym idzie – nie był on powszechnie oferowany przez szkoły wyższe. Wręcz przeciwnie – kształcenie prowadzące do uzyskania dyplomu z gender stanowiło wyjątek na akademickiej mapie Węgier.

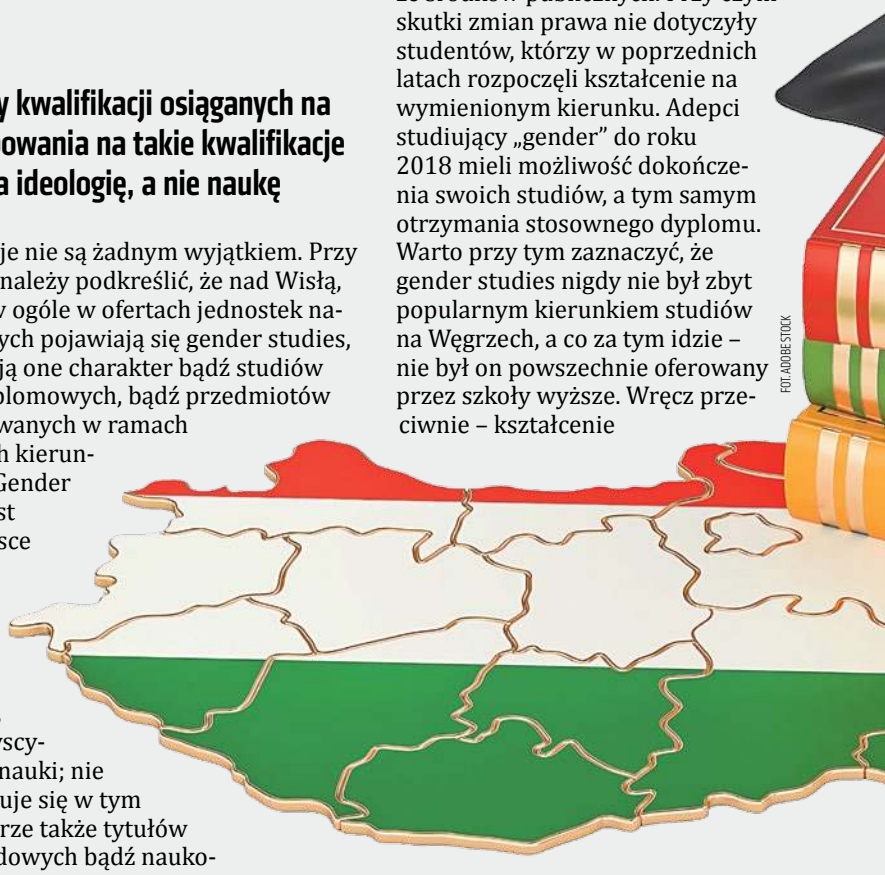

FOT. ADOBE STOCK

DYPLOM Z GENDER

Na Węgrzech najdłużej tego rodzaju studia (na poziomie magisterskim i doktoranckim) oferuje Wydział Gender Studies – założonego w 1991 r. przez George'a Sorosa – niepublicznego Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego. Warto podkreślić, że pomimo decyzji węgierskiego rządu wydział do dziś prowadzi tego rodzaju kształcenie. Wynika to z faktu, że gender studies na

eprasa.pl 06d3422e85

Uniwersytecie Środkowoeuropejskim były prowadzone na mocy podwójnej – węgierskiej i amerykańskiej – akredytacji. To z kolei umożliwia nadawanie stosownych dyplomów właśnie na mocy amerykańskiego prawa. Uczelnia – protestując na swojej oficjalnej stronie internetowej przeciwko decyzji węgierskiego rządu – sama wskazała, że w żaden sposób nie wpływa to na możliwość uzyskania dyplomu z gender studies na podstawie akredytacji udzielonej przez władze stanu Nowy Jork.

Nieco inaczej sytuacja przedstawiała się na drugim z węgierskich uniwersytetów oferujących studia gender – publicznym Eötvös Loránd Tudományegyetem w Budapeszcie, który prowadził kształcenie na tego rodzaju kierunku od 2017 r. Co ciekawe, do dziś ta uczelnia oferuje studia doktoranckie w Szkole Doktorskiej Literaturoznawstwa na specjalizacji „Gender w Angielskiej i Amerykańskiej Literaturze i Kulturze". Absolwent otrzymuje tytuł doktora nauk w zakresie literaturoznawstwa, a gender jest jedynie jego specjalizacją, a nie ukończonym kierunkiem studiów. Trudno więc uznać, że cofając akredytację dla gender studies, węgierski rząd doprowadził do wyeliminowania tego rodzaju tematyki z obiegu akademickiego.

REFORMA W UNIJNYM SĄDZIE

Decyzja węgierskiego rządu odbiła się w 2018 r. szerokim echem, także w Polsce. Tym bardziej że kilka miesięcy wcześniej przyjęto na Węgrzech ustawę o szkolnictwie wyższym, która zakładała, że na terytorium państwa będą mogły działać tylko te szkoły wyższe spoza UE, których funkcjonowanie zostało uregulowane międzypaństwową umową, a jednocześnie które posiadają swoją placówkę edukacyjną w kraju pochodzenia. W istocie ustawa ta uderzała w Uniwersytet Środkowoeuropejski, gdyż Węgry nie podpisały – wcześniej uzgodnionego – porozumienia ze stanem Nowy Jork. Z tego względu kierunki akredytowane także w Stanach Zjednoczonych – a więc w praktyce większość oferowanych na tym uniwersytecie – przeniesiono z Budapesztu do Wiednia.

Warto zasygnalizować, że sprawa ta trafiła do unijnego Trybunału Sprawiedliwości, który w październiku zeszłego roku orzekł, że Węgry naruszyły prawo unijne.

Trudno jednoznacznie przesądzić, na ile cofnięcie finansowania gender studies miało związek z reformą szkolnictwa wyższego z 2017 r., jednak faktem jest, że w swoim oficjalnym stanowisku Wydział Gender Studies Uniwersytetu Wschodnioeuropejskiego uznał dekret z 2018 r. za przejaw „rażącego i zdecydowanego narzucania ograniczeń w badaniach akademickich". Tymczasem przedstawiciele węgierskiego rządu argumentowali, że podjęta przez nich decyzja ma przede wszystkim charakter ekonomiczny, gdyż na rynku pracy po prostu nie ma zapotrzebowania na specjalistów od gender.

IDEOLOGIA, NIE NAUKA

Argumentacja ta została przedstawiona w odpowiedzi ministerstwa zasobów ludzkich na zapytanie dotyczące zamiarów pozbawienia akredytacji dla kierunku gender studies zadane przez węgierskiego europarlamentarzystę Gábora Fodora. Ministerstwo podniosło, że tego rodzaju studia po prostu nie odpowiadają potrzebom rynku pracy – o czym dodatkowo świadczy fakt, że są one wybierane przez niewielką liczbę studentów – a tym samym ich finansowanie ze środków publicznych nie znajduje dostatecznego uzasadnienia.

Jednak nie był to jedyny argument użyty w odpowiedzi na interpelację. W jej drugiej części wskazano, że węgierski rząd uznaje gender – podobnie jak marksizm-leninizm – za ideologię, a nie naukę, co z kolei stawia pod znakiem zapytania zasadność nauczania jej na uniwersytecie. W podobnym tonie wypowiadał się szef kancelarii premiera Gergelyego Gulyása, wskazując, że ludzie rodzą się mężczyznami i kobietami i prowadzą swoje życie w taki sposób, jaki uważają za najlepszy, a węgierski rząd po prostu nie chce wydawać pieniędzy na edukację w zakresie gender studies.

Jednak uniemożliwienie uzyskania dyplomu w określonej – bądź co bądź stosunkowo nowej i nieprzyjętej powszechnie w świecie akademickim – dziedzinie nie jest tym samym co zakaz prowadzenia badań naukowych nad teoriami gender. Węgierski rząd nie zabronił publikowania wyników badań w tym zakresie czy zajmowania się tego rodzaju zagadnieniami podczas zajęć ze studentami – o czym najlepiej świadczy oferta uniwersytetu Eötvös Loránd. Stąd trudno uznawać, że węgierskie rozwiązania krępują wolność nauki.

W każdym razie w dyskusjach nad możliwością wprowadzenia nad Wisłą na szeroką skalę gender studies czy też nad całkowitym zakazem prowadzenia tego rodzaju kierunku studiów bądź przedmiotów warto pamiętać, że – jak podkreślił dziewięć lat temu Trybunał Konstytucyjny – wolność nauki łączy się z prawem osób nauczanych w szkołach wyższych do pozyskania wiedzy rzetelnej oraz prawdziwej. Pytanie więc, czy – a jeśli tak, to na jakich warunkach – gender studies spełniają te i wiele innych standardów działalności naukowej, przekładającej się na edukację uniwersytecką?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ekspertem Centrum Analiz Legislacyjnych Ordo Iuris.

eprasa.pl 06d3422e85

Lockdown nie działa

Tomasz Cukiernik

Z praktyki wielu krajów wynika, że lockdown niekoniecznie przynosi efekt w postaci ograniczania rozprzestrzeniania się koronawirusa

Związek pomiędzy wprowadzanymi lockdownami a spadkiem gospodarczym, wzrastającym poziomem bezrobocia i rosnącą biedą, a także problemami psychicznymi ludzi został udokumentowany. Z drugiej strony korzyści z lockdownu nie są takie oczywiste. Już w lipcu 2020 r. w brytyjskim magazynie medycznym „The Lancet" na podstawie danych z 50 krajów naukowcy wskazywali, że lockdowny nie powodują zmniejszenia śmiertelności z powodu COVID-19. Podobnie badacze z Tel Awiwu przeanalizowali dane dotyczące mobilności zebrane z iPhone'ów i nie znaleźli statystycznego związku między stopniem lockdownu a liczbą ofiar śmiertelnych koronawirusa.

KALIFORNIA VS FLORYDA

W Stanach Zjednoczonych różne stany w różny sposób podchodzą do ograniczania prowadzenia działalności gospodarczej, funkcjonowania szkół czy kwestii zasłaniania twarzy. Podczas gdy w Nowym Jorku, New Jersey, Massachusetts czy Kalifornii wprowadzono ścisły lockdown, to na Florydzie, w Georgii i Dakocie Południowej zastosowano wolnościowe podejście, ufając, że to mieszkańcy sami podejmą najwłaściwszą decyzję. Kiedy ta druga grupa stanów zaczęła znosić ograniczenia, straszono też, że dopadnie je tsunami śmierci. Nic takiego się nie wydarzyło.

W niektórych najbardziej rygorystycznych stanach, takich jak Nowy Jork czy Massachusetts, liczba zgonów jest znacznie wyższa niż w takich „lekkomyślnych" stanach jak Georgia i Floryda. Jednym z bardziej restrykcyjnych stanów jest Kalifornia, gdzie m.in. pozamykano szkoły publiczne, natomiast na Florydzie restauracje mogły oferować posiłki wewnątrz lokali, w sierpniu uczniowie wrócili

eprasa.pl 06d3422e85

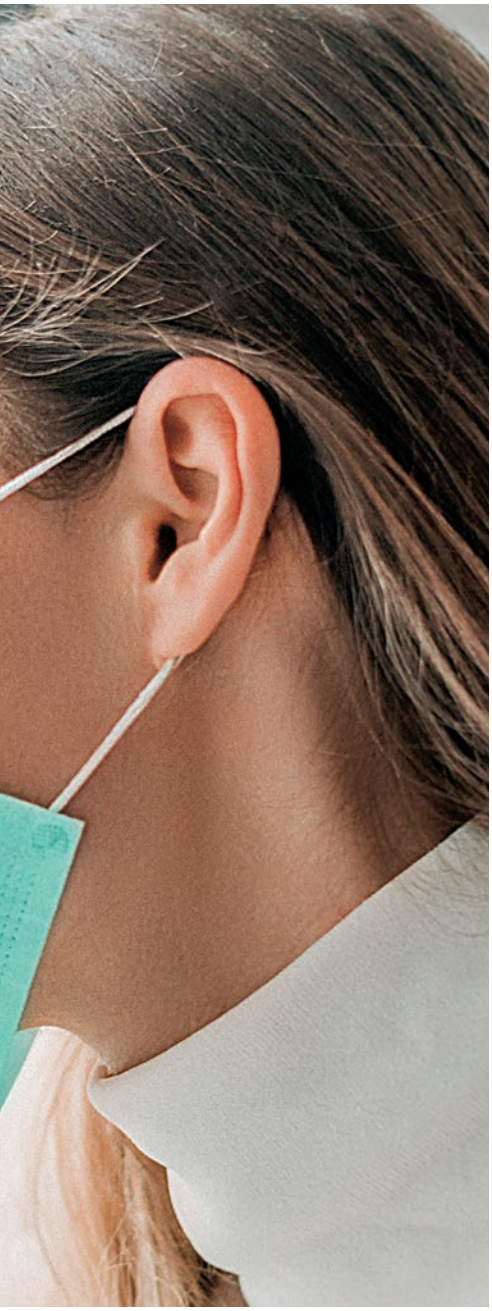

FOT. ADOBE STOCK

do szkół, a maski nie były wymagane przez władze stanowe. W marcu 2021 r. agencja Associated Press informowała, że według danych Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorób (agencja federalnego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej) od początku pandemii Kalifornia i Floryda miały po ok. 8900 przypadków COVID-19 na 100 tys. mieszkańców. Oba lokowały się w połowie listy stanów, jeśli chodzi o liczbę zgonów na koronawirusa – Floryda była 27., a Kalifornia – 28. Należy jednak też wziąć pod uwagę fakt, że Floryda ma jedną z najstarszych populacji w USA, a mieszkańcy w większym stopniu niż w Kalifornii są otyli. To czynniki sprzyjające chorowaniu na koronawirusa. Podobnie w Missouri nie było obowiązku noszenia masek i restrykcje wobec przedsiębiorców zniesiono w czerwcu 2020 r., a stan notował podobny poziom zgonów na COVID-19 jak Kalifornia.

Z kolei Connecticut i Dakota Południowa znalazły się w dziesiątce najgorszych stanów w liczbie zgonów spowodowanych koronawirusem. Różnica jest jednak taka, że demokratyczne władze Connecticut nałożyły liczne restrykcje w całym stanie w ciągu ostatniego roku po wczesnym wzroście liczby zgonów, podczas gdy republikańskie władze Dakoty Południowej nie wprowadziły żadnych obostrzeń, kiedy liczba zgonów z powodu wirusa wzrosła jesienią. Natomiast mniej restrykcyjna Georgia zanotowała niższą liczbę zgonów (1720 na milion) niż bardziej restrykcyjne stany: Nowy Jork (2530), New Jersey (2690) i Massachusetts (2400).

Interesujący jest także przykład Teksasu. 2 marca Greg Abbott, tamtejszy republikański gubernator, zniósł restrykcje, które miały ograniczać rozprzestrzenianie się koronawirusa. Firmy powróciły do normalnej działalności, a maseczki przestały być wymagane w przestrzeni publicznej, co spotkało się z ostrym sprzeciwem polityków federalnych, w tym prezydenta Joe Bidena oraz ekspertów od zdrowia publicznego. Mimo to po dwóch tygodniach dzienna liczba nowych przypadków wirusa… spadła o 42,5 proc. Według danych z Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorób odsetek testów, które dały wynik pozytywny, osiągnął w stanie nowy najniższy poziom – 4,95 proc. – podczas gdy liczba hospitalizacji była najniższa od sześciu miesięcy. A pod koniec marca „Newsweek" donosił: „Przypadki koronawirusa spadły do rekordowo niskiego poziomu w Teksasie niemal trzy tygodnie po tym, jak stan zniósł obowiązek noszenia masek i ponownie otworzył firmy". Na pewno nie był to rezultat zastosowania szczepionek, ponieważ otrzymało je zalewie 6,8 proc. mieszkańców. Identyczna jak w Teksasie sytuacja po zniesieniu restrykcji wystąpiła w stanie Missisipi. – Najlepszym dowodem, że lockdown nic nie daje, są Stany Zjednoczone. Aby nie doszło do manipulacji, należy przeciwstawiać stany porównywalne pod względem klimatu, populacji, gęstości zaludnienia. Zamknięta Kalifornia ma większą zachorowalność i śmiertelność niż otwarta Floryda. Dakota Północna z obowiązkowymi maseczkami i lockdownem ma gorsze wyniki niż otwarta Dakota Południowa. Gdy przejdziemy przez dane szczegółowe stanów, dochodzimy do wniosku, że lockdown nie ma sensu, a najbardziej jaskrawym przykładem jest dziś Teksas, który jest swoistym trendsetterem, pokazującym, że bez lockdownu zachorowalność spada – komentuje poseł Artur Dziambor z Konfederacji, które to ugrupowanie od początku epidemii opowiada się przeciwko rządowym restrykcjom.

DLACZEGO OBOSTRZENIA NIE DZIAŁAJĄ?

W Polsce natomiast wystąpiła sytuacja przeciwna – zastosowanie ostrzejszego lockdownu nie wyhamowało choroby, a nawet ją przyspieszyło. Otóż wbrew zapewnieniom ministra zdrowia Adama Niedzielskiego dane rządowe pokazują ewidentnie, że lockdown w województwie warmińsko-mazurskim nie zadziałał. W ciągu dwóch tygodni poprzedzających wprowadzenie blokady 27 lutego br. średnia liczba nowych przypadków koronawirusa wynosiła 607 dziennie, a zgony w wyniku COVID-19 bez chorób współistniejących – 1,29 średnio dziennie (na marginesie: Czy przy tak niskiej liczbie zgonów powinno się wprowadzać jakąkolwiek blokadę gospodarki?). Po 10 dniach trwania lockdownu, które należy pominąć z uwagi na okres ujawnienia się choroby, w kolejnych tygodniach wzrosły oba wskaźniki! Od 9 marca do 2 kwietnia średnia nowych przypadków skoczyła do 864 dziennie, czyli o 42 proc., a liczba zgonów wzrosła 2,4 razy do średnio 3,04 dziennie!

Niemal identyczna sytuacja wystąpiła w województwie pomorskim, które jako drugie cierpiało bardziej restrykcyjny lockdown. W ciągu dwóch tygodni poprzedzających wprowadzenie blokady 13 marca nowych przypadków koronawirusa było średnio 1144 dziennie, a zgonów w wyniku COVID-19 bez chorób współistniejących – średnio 1,43 dziennie. Po 10 dniach trwania lockdownu wzrosły oba wskaźniki. Od 23 marca do 2 kwietnia średnia nowych przypadków skoczyła do 1629 dziennie, czyli również o 42 proc., a liczba zgonów niemal potroiła się do średnio 3,9 dziennie! – Lockdown nie powstrzymuje rozprzestrzeniania się wirusa. Sprawdziliśmy to zresztą empirycznie,

eprasa.pl 06d3422e85

wprowadzając lockdown dwukrotnie, wiosną i późną jesienią. Obecnie próbujemy trzeci raz, mając nadzieję, że przyniesie to inne skutki niż do tej pory. Przecież to absurd – oburza się posłanka Anna Maria Siarkowska z PiS. – Jednocześnie wydaje się, że zapominamy o tym, że koszty wprowadzenia lockdownu, zarówno gospodarcze, jak i społeczne, są gigantyczne. Tylko sam wiosenny lockdown kosztował nas, jak szacują eksperci, ok. 277 mld zł, czyli pięć razy tyle, ile rocznie wydajemy na obronę narodową. Lockdowny nas rujnują, nie przynosząc żadnych realnych korzyści. Nikt nigdy nie udowodnił, że opłaca się je wprowadzać, bo z rachunku korzyści i strat jednoznacznie wynika, że na dłuższą metę przynoszą więcej szkody niż sama pandemia. Gdybyśmy przez rok choć część tych pieniędzy, które straciliśmy na lockdownach, zainwestowali w służbę zdrowia, gdybyśmy pozwolili lekarzom na leczenie ludzi zgodnie z ich najlepszą wiedzą medyczną, nie ograniczając im możliwości stosowania leków, które – jak wynika z praktyki lekarskiej – działają, gdybyśmy nie zamykali przychodni i szpitali, tylko normalnie leczyli ludzi, sytuacja epidemiczna w Polsce byłaby dużo lepsza. Niestety, obecnie zmagamy się z negatywnymi skutkami działań, które sami wprowadziliśmy.

W marcu br. zablokowana lockdownem i z obowiązkiem noszenia maseczek Polska w liczbie zgonów na milion mieszkańców przegoniła Szwecję, gdzie nie ma restrykcji. Co więcej, w 2020 r. to u nas pojawiło się 10 razy więcej zgonów nadmiarowych (14,4 proc.) niż w Szwecji (1,5 proc.), z których zdecydowana większość nie ma nic wspólnego z koronawirusem, a może być efektem lockdownu. Co więcej, z danych Eurostatu wynika, że w 2020 r. w Szwecji wzrost śmiertelności był mniejszy niż w większości krajów europejskich. Zgonów było 7,7 proc. więcej niż średnia z poprzednich czterech lat, a tymczasem państwa, które prowadziły politykę lockdownową, takie jak Hiszpania i Belgia, odnotowały wyższą nadmiarową śmiertelność na poziomie odpowiednio 18,1 proc. i 16,2 proc. Polska ze swoim lockdownem bardzo źle wychodzi również w porównaniu z Białorusią, gdzie obostrzenia są bardzo łagodne. U nas liczba przypadków koronawirusa jest ponadpięciokrotnie wyższa, a liczba zgonów z powodu koronawirusa aż dziesięciokrotnie wyższa niż u wschodniego sąsiada. – Lockdown nie działa. Gdyby lockdown działał, to fale epidemii nie przychodziłyby i nie odchodziłyby, jak chcą, tylko by były z tym lockdownem skorelowane. Gdyby lockdown działał, to po czerwcowym ściskaniu się na wiecach wyborczych mielibyśmy wybuch zakażeń w lipcu. Nie było go. Gdyby lockdown działał, to w lipcu, po masowych wakacjach w górach, nad morzem, w Polsce mielibyśmy wychuch w sierpniu. Nie było go – mówił w Polsat News poseł Robert Winnicki z Konfederacji.

Niestety, obecnie zmagamy się z negatywnymi skutkami działań, które sami wprowadziliśmy

Dlaczego w takim razie obostrzenia nie działają? Badacze z Uniwersytetu Stanforda nie znaleźli dowodów na to, by bardziej restrykcyjne lockdowny znacząco przyczyniły się do wygięcia krzywej nowych przypadków w Anglii, we Francji, w Niemczech, Iranie, we Włoszech, w Holandii, Hiszpanii lub USA na początku 2020 r. Natomiast w Korei Południowej zaobserwowano znaczne zmiany zachowań ludzi po wycofaniu restrykcji. Ludzie podejmują środki ostrożności bez państwowego przymusu. – Urzędnicy zajmujący się zdrowiem publicznym uważają, że mogą zarządzać wirusem poprzez skuteczne centralne planowanie, ale to głupota i pycha. Ludzkie zachowania i działania są niewiarygodnie złożone, zbyt skomplikowane, aby biurokraci i politycy mogli kontrolować je za pomocą dyrektyw (z których wiele jest prima facie bezsensownych) – tłumaczy amerykański dziennikarz Jon Miltimore. – Pandemie są poważnymi problemami, ale przekonanie, że mogą być skutecznie zarządzane przez centralnych planistów, którzy odmawiają uznania granic własnej wiedzy i władzy, w dłuższej perspektywie stanowi znacznie poważniejsze zagrożenie dla wolności i dobrobytu człowieka.

Naukowcy z Francji również ustalili, że „rygorystyczność środków wprowadzonych w celu zwalczania pandemii, w tym lockdowny, nie wydają się mieć związku ze współczynnikiem śmiertelności". Zauważyli natomiast, że śmiertelność wiąże się z oczekiwaną długością życia, obciążeniem chorobami, rozwojem gospodarczym oraz ze środowiskiem. Konkludowali, że kraje, które doświadczyły stagnacji lub regresu oczekiwanej długości życia, z wysokimi dochodami i wysokimi wskaźnikami chorób niezakaźnych, miały najwyższą cenę do zapłacenia, a bardziej rygorystyczne restrykcje nie zmniejszyły tego obciążenia.

GDZIE LUDZIE SIĘ ZARAŻAJĄ?

Kluczowe może być to, gdzie ludzie zarażają się koronawirusem. – Wprowadzenie lockdownu istotnie nie zmniejsza transmisji wirusa. Powód jest taki, że do transmisji nie dochodzi przede wszystkim w restauracjach, hotelach, tylko w zakładach pracy oraz w domach. Pokazują to badania niemieckie, według których zarażamy się przede wszystkim w domu oraz w miejscu pracy, a że nie jesteśmy w stanie zamknąć ludziom domów, nie jesteśmy w stanie zamknąć wszystkich miejsc pracy, to wirus po prostu będzie się przenosił. To ma miejsce zawsze, niezależnie od tego, czy jest lockdown, czy lockdownu nie ma – mówi dr Sławomir Mentzen, polityk Konfederacji. – Krzywa zachorowań w Szwecji wygląda tak jak w Wielkiej Brytanii, w Dakocie Północnej tak jak w Dakocie Południowej, a w Kalifornii tak jak na Florydzie, mimo że w połowie tych miejsc wprowadzono lockdown, a w drugiej połowie – nie. W związku z tym wiara w to, że lockdown powstrzymuje wirusa, jest zwykłym zabobonem.

Z przywoływanych przez dr. Mentzena danych Instytutu Roberta Kocha wynika też, że bardzo duży odsetek ludzi zaraża się również w domach opieki osób starszych. Z drugiej strony „The Irish Times" podaje, że aktywność na świeżym powietrzu jest bardzo bezpieczna, ponieważ – jak policzył irlandzki urząd zajmujący się nadzorem nad chorobami zakaźnymi – odpowiada za zaledwie 0,1 proc. zakażeń. Natomiast badania przeprowadzone w Niemczech, Norwegii, Szwajcarii i we Włoszech wskazują także, że zamykanie szkół nie ma zauważalnego wpływu na rozprzestrzenianie się choroby, ponieważ poziom transmisji koronawirusa pomiędzy uczniami jest niski, szczególnie w szkołach podstawowych. Z kolei Piotr Kołodziej, lekarz kontraktowy na SOR Mazowieckiego Szpitala Specjalistycznego w Radomiu, zauważył, że to nie sklepy, centra handlowe ani kościoły są miejscem, gdzie ludzie najczęściej łapią koronawirusa, a właśnie szpitalne oddziały ratunkowe. Czy w takim razie zgodnie z lockdownową logiką należy przede wszystkim zamknąć wszystkie przychodnie i szpitale?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

REPUBLIKA

REPUBLIKA PYTA

sobota

20:30

zaprasza **Jaok**

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Na prawo od PiS?

Jan Fiedorczuk

„Koalicja z piekła" – tak swego czasu „Krytyka Polityczna" określiła pomysł sojuszu Solidarnej Polski z Konfederacją. Czy jednak ta budząca trwogę lewicy współpraca środowisk „na prawo od PiS" ma w ogóle szanse zaistnieć? Do tanga trzeba dwojga, a ze strony konfederatów nie słychać szczególnego entuzjazmu

Czasy, gdy o Zjednoczonej Prawicy mówiło się „biało-czerwona drużyna", minęły bezpowrotnie. Sytuacja w obozie rządzącym obecnie przypomina raczej meksykański pat – każdy z trzech koalicjantów trzyma na muszce pozostałych graczy, ale nie może pociągnąć za spust, gdyż sam znajduje się na ich łasce. Tak więc rządzący triumwirat trwa, tocząc się przed siebie do kolejnych wyborów. Politycy Solidarnej Polski i Porozumienia przy każdej możliwej okazji podkreślają, że są lojalnymi członkami Zjednoczonej Prawicy, jednak bez względu na ich zapewnienia koalicja jest regularnie wstrząsana kolejnymi kryzysami.

Konflikt eskaluje i zaczyna destabilizować obóz rządzący, czego dobitnym przykładem była – sama w sobie drugorzędna przecież – kwestia wniosku Koalicji Obywatelskiej ws. przekazania przez ministra kultury Piotra Glińskiego informacji na temat środków przyznanych z Funduszu Wsparcia Artystów. Tylko dzięki głosom Solidarnej Polski opozycji udało się odnieść to zwycięstwo. – Damy po łapkach. Tego rodzaju działania muszą rodzić konsekwencje – komentował niecodzienną sytuację wicemarszałek Terlecki. Rzecz jasna to tylko jeden z wielu prztyczków, gdyż w ostatnich tygodniach ciosów z obu strony było tyle, że trudno byłoby je zliczyć.

Spór między Solidarną Polską a PiS ma dwa wymiary: personalny (konflikt Zbigniewa Ziobry z Mateuszem Morawieckim) oraz ideowy, który jest najbardziej widoczny w temacie relacji z Brukselą. Stronnicy premiera mówią o ekonomicznych korzyściach z członkostwa w Unii Europejskiej, podczas gdy politycy Zbigniewa Ziobry wskazują na coraz butniejsze zachowanie unijnych dygnitarzy, podkreślając jednocześnie defensywną postawę samego premiera. – My bronimy programu, który PiS głosił w 2015 r. To, co robi Morawiecki, to jakiś „nowy PiS" – słyszymy od polityków Solidarnej Polski.

Niedawno podczas rozmowy w Polsat News Zbigniew Ziobro przyznał z rozbrajającą szczerością, że gdyby tylko istniała alternatywa dla polityki rządu Mateusza Morawieckiego względem UE, to Solidarna Polska na pewno by z takiej opcji skorzystała i wystąpiła z rządu. – Ale nie ma takiej alternatywy, bo jest nią tylko gorsze rozwiązanie – dodawał wówczas minister sprawiedliwości. No właśnie, czy aby na pewno nie ma takiej alternatywy?

W STRONĘ KONFEDERACJI?

Kwestia ewentualnego sojuszu Solidarnej Polski z Konfederacją była w przeszłości niejednokrotnie podnoszona. Temat pojawił się m.in. kilka miesięcy temu, gdy politycy obu ugrupowań złożyli projekt uchwały wzywający do odrzucenia roszczeń Parlamentu Europejskiego ws. liberalizacji prawa aborcyjnego, sytuując się tym samym jako ugrupowania „na prawo od PiS". Teorie dotyczące sojuszu nie były bezpodstawne – we wrześniu 2020 r. znany z liberalnych poglądów poseł Dobromir Sośnierz publicznie przyznał, że dopuszcza jakąś formę współpracy obu partii. – Moglibyśmy pomyśleć o wyciągnięciu ręki do Solidarnej Polski, ale do zawiązania koalicji dzieli nas zbyt dużo – mówił w rozmowie z serwisem Idź Pod Prąd.

Pomysł koalicji powrócił w publicznej debacie po niedawnej dymisji wiceministra aktywów państwowych Janusza Kowalskiego. Polityk przekonuje, że powodem końca jego ministerialnej kariery był sprzeciw wobec polityki energetycznej rządu oraz krytyka wyników grudniowego szczytu UE. „Wyrzucenie Kowalskiego to […] jasny sygnał, że PiS kapituluje na całej linii wobec Brukseli, jeśli chodzi o politykę energetyczną" – komentował sprawę na Twitterze Robert Winnicki. To kilka dni

eprasa.pl 06d3422e85

po tych zawirowaniach Kowalski udzielił znamiennego wywiadu, w którym wprost mówił o możliwości wspólnego startu z Konfederacją w przyszłych wyborach. – Tam jest wielu znakomitych polityków, takich jak Krzysztof Bosak czy Robert Winnicki, których niezwykle szanuję – stwierdził w rozmowie z Radiem ZET.

Pozytywnie do ewentualnej współpracy obu środowisk jest nastawiony również popularny radny Solidarnej Polski ze Szczecina Dariusz Matecki. – Idealnie dla Polski byłoby, gdyby cała Zjednoczona Prawica mogła współpracować z Konfederacją, gdybyśmy mieli większość konstytucyjną – mówił niedawno w nagraniu zamieszczonym na swoim kanale na YouTube.

Ten nagły przypływ sympatii do Konfederacji nie dziwi, jeżeli uwzględnimy tarcia wewnątrz samej Zjednoczonej Prawicy. Coraz częściej pojawiają się głosy, że Jarosław Kaczyński nie powtórzy błędu z 2019 r. i nie pozwoli ponownie swoim koalicjantom tak się rozepchać. – Nie ma szans na to, by w kolejnych wyborach Ziobro i Gowin znaleźli się na liście PiS – ocenia prof. Antoni Dudek z UKSW w rozmowie z DoRzeczy.pl. To oznacza, że obie partie muszą w przyspieszonym tempie budować swoją podmiotowość, by udowodnić prezesowi PiS, że ich ewentualna eliminacja z życia politycznego przysporzyłaby mu więcej problemów niż korzyści. I chociaż politycy Solidarnej Polski w oficjalnych wypowiedziach deklarują, że w razie potrzeby są gotowi iść do wyborów choćby i w pojedynkę, to rzeczywistość jest nieubłagana – poparcie dla partii Zbigniewa Ziobry od lat oscyluje w granicach 2–3 proc., a ugrupowanie Jarosława Gowina nie może liczyć nawet na tyle. O ile jednak Porozumienie ma zdolność koalicyjną (czy to z PSL, czy też z Hołownią), o tyle dla Solidarnej Polski jedynym partnerem do rozmów pozostaje właśnie Konfederacja.

KŁOPOTLIWY SOJUSZ

We wrześniu zeszłego roku Janusz Korwin-Mikke przyznał otwarcie, że „luźne rozmowy" między dwoma ugrupowaniami były już prowadzone. Z tego, co słyszymy od naszych rozmówców, to między przedstawicielami obu partii nadal dochodzi do kontaktów. – Prowadzimy dialog, na pewno nie jesteśmy wrogo do siebie nastawieni – podkreśla polityk Solidarnej Polski. Działacze Konfederacji dodają jednak dobitnie – to nic nie znaczy, w polityce zawsze się prowadzi rozmowy, jednak rzadko z nich cokolwiek wynika.

Na pytania dziennikarzy o koalicję Konfederacji i partii Zbigniewa Ziobry politycy obu stron reagują przed kamerami z rezerwą, a entuzjazm, jakim emanował Kowalski w Radiu ZET, stanowi wyjątek. Ton wypowiedzi zmienia się jednak nieco w mniej oficjalnych rozmowach. Od działaczy Solidarnej Polski słyszymy, że obie formacje prawicowe więcej łączy, niż dzieli, a bratobójcza walka w wyborach mogłaby okazać się mordercza dla obu partii. – Nawet Janusz Korwin-Mikke nie powiedział „nie" wspólnemu projektowi, bo jest oczywiste, że mielibyśmy kilka ładnych procent z perspektywą rosnącą – słyszymy.

Podobnego entuzjazmu nie znajdziemy jednak po drugiej stronie. Konfederacja została pomyślana jako sojusz trzech środowisk – Ruchu Narodowego, wolnościowców Korwin-Mikkego oraz Korony Grzegorza Brauna. Każde z nich ma wyznaczoną rolę do odegrania oraz inny elektorat do obsłużenia. Mimo że część publicystów od lat przewiduje rychły rozpad tego sojuszu, to ugrupowanie jest zaskakująco stabilne (jako jedyne w tej kadencji Sejmu nie straciło żadnego posła). Przeformułowanie całego projektu w koalicję czterech ugrupowań byłoby niezwykle złożoną i ryzykowną operacją. W przeszłości o tych trudnościach boleśnie przekonali się m.in. Piotr Liroy-Marzec, Kaja Godek czy Marek Jakubiak, którzy podejmowali tego typu próby, a obecnie znajdują się już de facto poza polityką. – Główny problem z Solidarną Polską jest taki, że to oni musieliby do nas przyjść i wpasować się w projekt, który już istnieje. I wcale nie jest powiedziane, że uzyskaliby coś atrakcyjnego – zaznacza polityk Konfederacji.

Nasi rozmówcy z Konfederacji nie kryją, że cenią niektórych działaczy Solidarnej Polski, ale z niechęcią odnoszą się do postaci samego lidera partii. Zbigniew Ziobro jest postrzegany jako esencja „pisowskości", co wcale nie jest oceniane jako atut. Konfederaci są ponadto przekonani, że ziobryści traktują ich w sposób czysto instrumentalny i wykorzystują do podbicia własnej wartości w oczach prezesa PiS. – Czasem dają nam sygnały. Próbują pokazać Jarosławowi Kaczyńskiemu, że są elastyczni, że nie są na niego skazani – mówi nam jeden z działaczy Konfederacji. Dopytujemy, jaka jest reakcja na te „sygnały" w samym ugrupowaniu, a tu odpowiedź pada jednoznaczna. – Nie mają nam nic do zaoferowania – słyszymy. Kolejny nasz rozmówca z kolei podkreśla: – Nie ma, i zapewne nie będzie, żadnego projektu. Nikt zakulisowo o tym nie dyskutuje.

ANTYSYSTEMOWY ELEKTORAT

Nawet jednak gdyby liderom udało się powściągnąć ambicje i doszłoby do porozumienia, to problemem nadal pozostaje formuła, w jakiej taki sojusz miałby pójść do wyborów. Stworzenie oddzielnej partii wydaje się pomysłem nader egzotycznym, nawet jak na standardy polskiej sceny politycznej, co podkreślają politycy obu ugrupowań. Z kolei budowa koalicji wyborczej jest niezwykle ryzykownym przedsięwzięciem ze względu na stosunkowo wysoki (ośmioprocentowy) próg wyborczy. Przekonało się o tym SLD w 2015 r., które po zawarciu koalicji z Januszem Palikotem nie dostało się do Sejmu.

Na to nakłada się jeszcze jeden, być może największy, mankament. Zakładając nawet, że sami politycy zagryźliby zęby i wystartowali wspólnie do Sejmu, nie wiadomo, jak na taki sojusz zareagowaliby sami wyborcy. Fakt, że jedno ugrupowanie ma 6 proc. poparcia, a drugie 2 proc., wcale nie musi przełożyć się na 8 proc. pozwalające przekroczyć próg wyborczy. Elektoraty nie sumują się w prosty sposób, czego doświadczyła Koalicja Europejska w wyborach do europarlamentu w 2018 r. Zarówno wyborcy Solidarnej Polski, jak i Konfederacji buntują się wobec III RP, ale różnica polega na tym, że Zbigniew Ziobro, podobnie jak PiS, pod pojęciem „III RP" rozumie państwo Tuska, Kwaśniewskiego i Michnika. Tymczasem Konfederaci wykrzykujący na manifestacjach „PiS-PO jedno zło", mają zupełnie odmienną perspektywę. – Wyborcy wolnościowi mają ogromną awersję do wszystkiego, co związane z PiS, a Solidarna Polska z perspektywy wolnościowej to kwintesencja PiS – mówi nasz rozmówca. Trafności tych sądów dowiodły wybory prezydenckie, gdy niemal połowa wyborców Konfederacji wolała w drugiej turze poprzeć Rafała Trzaskowskiego niż Andrzeja Dudę. Jeden z liderów Korwinistycznego skrzydła, dyskutując o przyszłości Konfederacji, miał ponoć stwierdzić: „Porozumienie jest do przyjęcia gospodarczo, ale światopoglądowo nie; Solidarna Polska dokładnie na odwrót".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

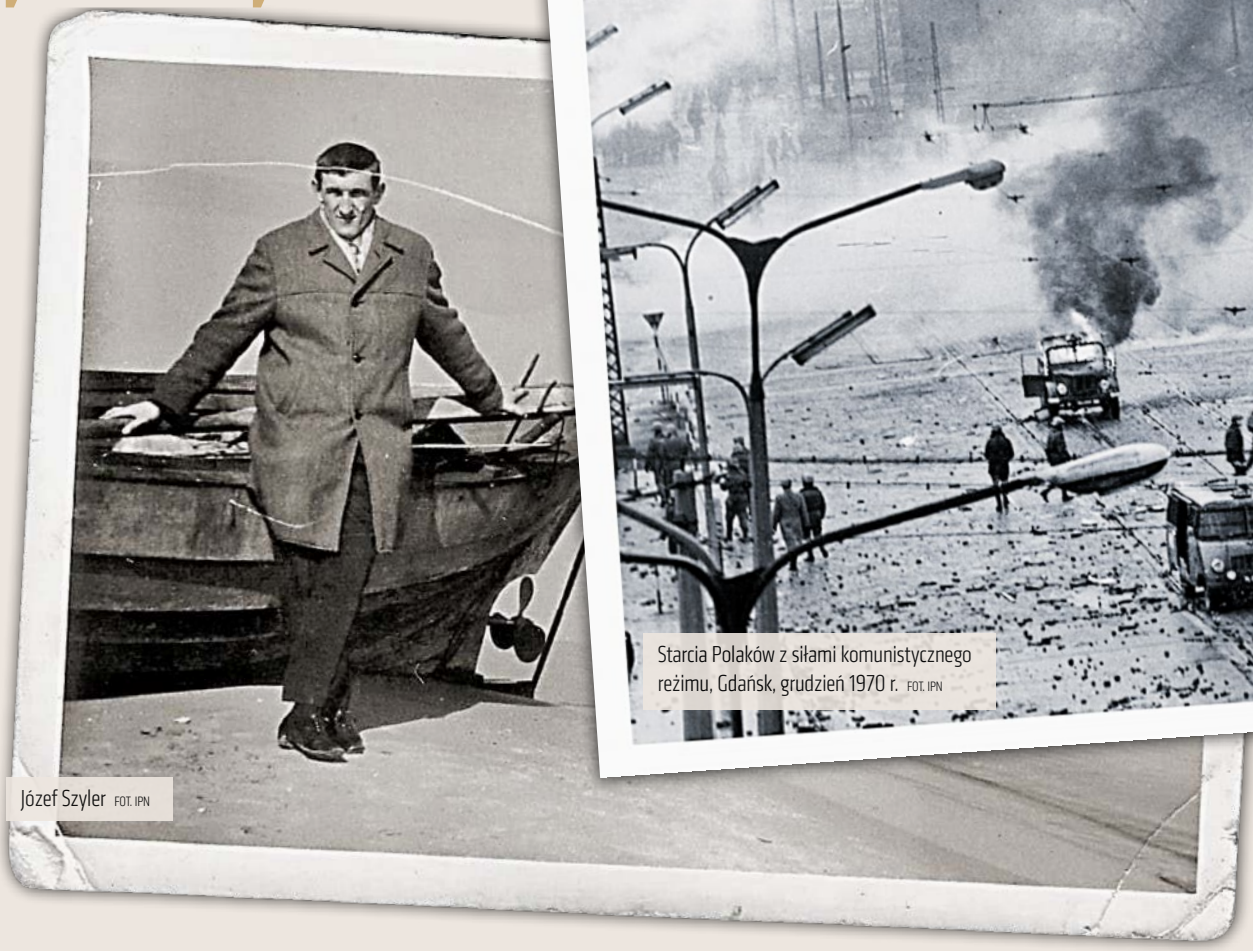

Józef Szyler FOT. IPN

Starcia Polaków z siłami komunistycznego reżimu, Gdańsk, grudzień 1970 r. FOT. IPN

Robotniczy arystokrata

Sławomir Cenckiewicz

Jeśli są świadkowie historii, którzy w moim życiu odegrali ważną rolę, to bez wątpienia należy do nich zmarły kilka tygodni temu w Mielcu Józef Szyler

W całym mozolnym dziele rekonstrukcji gdańskiego Grudnia '70, strajków z pierwszej połowy 1971 r., historii antypochodu z 1 maja 1971 r. i działań bezpieki, Józef Szyler stał się niestrudzonym współpracownikiem prawdy, zawsze gotowym do poświęcenia swojego czasu. Jednak to, co dziś, w obliczu jego śmierci, wydaje się jedynie rytualnym patosem, było w ostatnim 15-leciu jeszcze jednym, ostatnim, aktem odwagi Szylera.

Urodzony 2 lipca 1944 r. w Rożniatowie (gmina Zarzecze, powiat Przeworsk) Józef Szyler był człowiekiem – w najlepszym tego słowa znaczeniu – prosty. Skończył podstawówkę, a w 1962 r. zasadniczą szkołę zawodową w Jarosławiu z dyplomem elektromontera. Był człowiekiem ciężkiej pracy. I był człowiekiem szlachetnym. Był kimś z dawnej opowieści Lecha Kaczyńskiego o „najczystszej robotniczej arystokracji", którą spotkał wśród gdańskich stoczniowców: „Można ich scharakteryzować następująco: postawa ideowa, inny stosunek do pracy (byli do pracy nastawieni pozytywnie, tylko nie chcieli, by ich oszukiwano), osobista uczciwość – nie byli to »gazmajstrzy«, uporządkowane życie rodzinne – świadczył o tym choćby wygląd mieszkań". Opis ten dobrze oddaje także postać Szylera, czego uzupełnieniem potwierdzającym jedynie jego przynależność do „robotniczej arystokracji" niech będzie jego dozgonna fascynacja sportem, zdrowy tryb życia i dbanie o formę fizyczną. Dość powiedzieć, że kiedy osiadł w Trójmieście i w 1964 r.

eprasa.pl 06d3422e85

Przepustka Józefa Szylera jako pracownika Stoczni Gdańskiej im. Lenina FOT. IPN

zatrudnił się w Stoczni Gdańskiej im. Lenina jako elektromonter okrętowy, zaczął uprawiać wyczynowo boks (był nawet zawodnikiem drugoligowej gdańskiej Gedanii).

STOCZNIOWIEC BOHATER

W Gdańsku Szyler znalazł się przypadkiem. W 1963 r. katowicka Elektrobudowa oddelegowała go czasowo do pracy w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego Gdańsk, które wykonywały też prace na potrzeby stoczni. Kiedy delegacja dobiegła końca, Szyler marzył o stałym pobycie w Trójmieście i pracy w stoczni. W ten sposób w kwietniu 1964 r. został pracownikiem Wydziału Elektrycznego W4 Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Otrzymał pokój w hotelu robotniczym. W międzyczasie został powołany do wojska, a później się ożenił, doczekał się pierwszego dziecka. No i wrócił do pracy w stoczni, gdzie szybko zyskał opinię „pracownika zdyscyplinowanego, koleżeńskiego, sumiennego o dużym zasobie wiedzy i umiejętnościach technicznych". „Systematycznie podnosił swoje kwalifikacje zawodowe, ukończył kurs mistrzowski" i brał udział „w szkoleniu młodszych pracowników". Z taką nieposzlakowaną opinią wszedł w tragiczny gdański Grudzień '70, stając się jednym z jego aktywnych uczestników i bohaterów.

Od początku brał udział we wszystkich robotniczych protestach od 14 do 16 grudnia 1970 r. W dniu 14 grudnia był pod „Reichstagiem" (siedzibą KW PZPR), 15 grudnia pod Prezydium Miejskiej Rady Narodowej oraz Komendą Miejską MO i uczestniczył w proklamowanym tego dnia strajku okupacyjnym, brutalnie złamanym 16 grudnia strzałami do robotników pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej…

NA RADARZE SB

W ten sposób Józef Szyler znalazł się na celowniku SB. W ramach inwentaryzacji uczestników Grudnia '70 przez bezpiekę został później ujęty w przeróżnych zestawieniach zbiorczych osób aktywnych „w zajściach grudniowych", przeznaczonych do zwolnienia z pracy, wytypowanych do przeszkolenia wojskowego, a nawet wysiedlenia z Trójmiasta poprzez wycofanie zgody na tymczasowy meldunek związany z pracą w Stoczni Gdańskiej. Jednak proces dowiedzenia winy nie był prosty, tym bardziej że przez cały styczeń i luty organizowano w stoczni kolejne strajki, masówki i protesty. Stan pogrudniowego wrzenia utrzymywał się aż do maja 1971 r. Dynamika wydarzeń przybierała na sile, a analiza i weryfikacja zdjęć, filmów operacyjnych i doniesień agenturalnych dokumentujących przebieg Grudnia '70 wymagały żmudnej pracy. Przełomem w rozpracowaniu Szylera stało się ulokowanie wokół niego agenta, którym okazał się Lech Wałęsa (TW ps. Bolek). 30 marca 1971 r. Wałęsa po raz pierwszy zwrócił uwagę na Szylera, mówiąc o nim funkcjonariuszowi SB, że jest „jednym z najaktywniejszych inspiratorów do inicjowania przerw w pracy i wystąpień".

„W dniu 29 marca 1971 r. (TW »Bolek« przebywał na zwolnieniu lekarskim) Szyler Józef podczas przerwy śniadaniowej nawoływał ludzi do strajku. Twierdził on, że na Wydziale K-3 ludzie również chcą strajkować, tylko się boją. W tym celu wszedł na podwyższenie i usiłował zachęcać do strajku, jednak nie znalazł posłuchu i zrezygnował z przemówienia. O powyższym Szyler opowiadał osobiście tw. »Bolek« w dniu 30 marca 1971 r." – czytamy w raporcie SB.

Szyler na tyle polubił Wałęsę i mu zaufał, że miał mu zaproponować (poza Alfonsem Suszkiem i Romualdem Krukowskim) stworzenie grupy, „która by w sposób zdecydowany i nieustępliwy występowała w imieniu załogi i domagała się spełnienia postawionych postulatów". Na podstawie tego donosu SB założyła Szylerowi „kwestionariusz operacyjny", w ramach którego od tej pory kontrolowano jego działalność. Miała również zostać przeprowadzona „rozmowa profilaktyczno-ostrzegawcza", która jednak niczego nie zmieniła.

OFIARA „BOLKA"

Od tego czasu nazwisko Szylera jako „inspiratora do inicjowania przerw w pracy" przewijało się w donosach „Bolka". Zresztą Wałęsie SB zleciła zadanie „być w stałym i ciągłym kontakcie z Szylerem Józefem, kontrolować jego postępowanie i zamierzenia, ustalać wszystkie jego kontakty na Wydziale W-4 i stoczni. W razie potrzeby, gdyby

eprasa.pl 06d3422e85

próbował wywołać strajk, w sposób umiejętny temperować go i rozładowywać sytuację".

W kwietniu 1971 r. TW „Bolek" ustalił, że Szyler zamierza uciec z kraju. „Słyszałem od niego nieco wcześniej – pisał Wałęsa – że ma dwa plany: 1. Skończyć kurs mistrzowski i wyjechać z Gdańska gdzieś do mniejszej miejscowości. 2. Ma szanse uciec za granicę, prawdopodobnie do NRF, o czym mi też mówił". W związku z informacjami przekazanymi przez Wałęsę SB podjęła decyzję o przekwalifikowaniu prowadzonego na Szylera kwestionariusza operacyjnego w sprawę operacyjnego sprawdzenia (SOS), a „Bolek" otrzymał kolejne zadania: „Wykonać zadanie z poprzedniego spotkania odnośnie Szyler Józefa oraz w prowadzonej z nim rozmowie ustalić, w jaki sposób ma zamiar przekroczyć granicę państwa polskiego i zbiec do NRF". 18 kwietnia 1971 r. gdańska SB zawiadomiła bezpiekę z Przeworska, gdzie przebywała już wówczas żona Szylera z synem, o jego zamiarze ucieczki do zachodnich Niemiec.

W kolejnych donosach Wałęsa, powołując się na swoje rozmowy z Szylerem (i Janem Jasińskim) oraz dyskusje zasłyszane na budowanym statku, poinformował SB, że pracownicy słuchają w czasie pracy radia, „które mówiło, że są rozruchy w NRD", a jeśli dojdzie do organizacji pochodu pierwszomajowego, to część załogi będzie miała na rękawach „czarne opaski na znak żałoby". W związku z tym „Bolek" zaproponował neutralizację organizatorów manifestacji pierwszomajowej: „Jeśli chodzi o sprawę 1 Maja, ja widzę rozwiązanie tylko przez: rozmowy z jakimiś z wyższych czynników delegacjami ze strony władz. Jeśli chodzi o sprawę uczestniczenia ze strony przeciwnej, to powinni w niej brać udział ludzie najbardziej zadziorni i aktywni w innym kierunku, to by rozwiązało sprawę i manifestacja jako taka mogłaby być spokojna. Jednak takie spotkania powinny gdzieś się odbyć na 3 dni przed 1 Maja" (doniesienie z 17 kwietnia 1971 r.).

1 MAJA 1971 R.

Bezpieka starała się śledzić rozwój wypadków i kontrolować manifestantów, w tym Józefa Szylera, jednak podczas święta 1 maja 1971 r. nie była w stanie zapobiec ani uroczystościom wokół bramy nr 2, ani też przeszkodzić w kontrpochodzie, który przemaszerował ulicami Śródmieścia z transparentami wzywającymi do ukarania winnych masakry w grudniu 1970 r. Filmowano i fotografowano manifestantów, identyfikując ich później z nazwiska w celu inwigilacji.

O rozmiarach demonstracji z 1 maja 1971 r. świadczy m.in. esbecki opis sytuacji wokół stoczni: „W rejonie bramy nr 2 przez cały dzień grupowała się ludność. Największe nasilenie zanotowano w godzinach dopołudniowych. Natomiast po południu ruch ludności zmalał i do wieczora utrzymywał się w granicach 10–20 osób. Ogółem w ciągu dnia odwiedziło ww. miejsce ponad 8 tys. osób. Miejsce, w którym znajdują się wieńce, potocznie jest nazywane jako »ściana płaczu« prawdopodobnie dlatego, że większość kobiet w starszym wieku płakało, oglądając wieńce".

Po 1 maja pętla bezpieki wokół Szylera zaczęła się zaciskać. Nękany w pracy przez przełożonych i cały czas przez SB zaczął nie tylko ukrywać swoje działania, lecz także przygotowywać się do ucieczki z Gdańska. W dodatku jego żona – po traumatycznych przeżyciach w Grudniu '70 (była świadkiem zastrzelenia stoczniowców 16 grudnia 1970 r.) – nie chciała już wrócić do Gdańska z Przeworska, gdzie pozostała po świętach Bożego Narodzenia. Wałęsa szybko zauważył tę przemianę, więc w doniesieniu z 26 maja 1971 r. napisał, że Szylera „nie widać na arenie", co zinterpretował po swojemu: „Nie stara się zabierać głosu w większych skupiskach, uważa na słowa. Stara się łagodzić, tłumaczyć nieścisłości. To jednak jest odmienne, aniżeli dawne jego zdania. Może to być współpraca z milicją czy też z dyrekcją Stoczni. Często bierze ostatnio urlopy czy też wolne. Rzadko jest w pracy i jakoś to załatwia".

W kwietniu 1971 r. TW „Bolek", czyli Lech Wałęsa, ustalił i przekazał SB informację o tym, że Józef Szyler zamierza uciec z kraju

EWAKUACJA

Józef Szyler, choć przewidziany do zwolnienia z pracy, odszedł ze stoczni na własną prośbę 8 lipca 1971 r., co Wałęsa nie bez satysfakcji skwitował w donosie z 28 lipca 1971 r. w ten sposób: „Z ciekawszych ludzi zwolnił się członek Rady Robotniczej W-4 dość aktywny w pierwszym okresie Szyler. Wyjechał na wieś do rodziców. Przypuszczam, że ktoś go ostrzegł w swoim czasie i chyba najmądrzej zrobił".

Po opuszczeniu województwa gdańskiego Szyler osiadł z żoną i dziećmi w Przeworsku, a później w Mielcu, gdzie w dalszym ciągu był inwigilowany przez bezpiekę, tym bardziej że w 1980 r. wstąpił do NSZZ „Solidarność" w Zakładzie Robót Budowlanych w Mielcu i zaangażował się w działalność związkową.

13 grudnia 2018 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył Józefa Szylera Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Był także odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności.

Józef Szyler zmarł 26 marca tego roku w Mielcu. Odszedł człowiek dobry i prawy, bohater bez rozgłosu, który miał odwagę stanąć w obronie prawdy, kiedy Lech Wałęsa i jego akolici nawoływali, by „objawił się choć jeden skrzywdzony przez agenta Bolka". I właśnie wtedy ze swojej prywatności, skromności i emeryckiego zacisza domowego wyszedł Józef Szyler i trzymając w ręku donosy TW „Bolka", które otrzymał w Archiwum IPN, dał świadectwo prawdzie. – Ja przyjechałem specjalnie 300 km, żeby zaapelować do wszystkich redaktorów, młodych redaktorów, którzy nie ulegli zmanipulowaniu, aby dołożyli wszelkich starań, aby dojść do prawdy, wykazać prawdziwą historię naszego kraju, by nasze dzieci nie uczyły się historii, którą ktoś dyktował albo ktoś opracował poprzez mury magdalenkowe – wołał do warszawskich mediów.

Zderzył się z milczeniem. Spotkały go również słowa pogardy ze strony dawnego donosiciela i dręczyciela, który od 2008 r. go obrażał i kierował wobec niego groźby, aby na wieść o śmierci napisać, że umarł „pijak", który „opuszczał dni w pracy". W takich chwilach nie sposób zdobyć się na jakiekolwiek słowa. Niech przemówi za nas poeta:

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego...

Panie Józefie, dziękuję!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nowy gorszy świat

Lata 1917–1918 były okresem w historii Europy Środkowo-Wschodniej, który można porównać do erupcji wielkiego wulkanu lub – co wydaje się bardziej trafne – uderzenia kolosalnego meteorytu. Wielka wojna i rewolucja zdmuchnęły stary porządek i ład.

Wielkie imperia rządzone przez cesarzy przeszły do historii. Epoka konserwatyzmu i monarchii ustąpiła miejsca epoce demokracji, nacjonalizmu i komunizmu. Na gruzach wielonarodowych państw powstała mgławica małych etnicznych państewek.

Właśnie o tym przełomowym momencie w dziejach opowiadają teksty zebrane w wydanym przez IPN tomie „Rozpad imperiów". W środku znalazły się artykuły znakomitych badaczy z wielu państw naszego regionu, które ukazują bóle porodowe nowego porządku.

Proces ten był często gwałtowny, na co wskazuje w artykule „Jak rozdzielić nierozdzielne?" prof. Grzegorz Hryciuk. Rok 1918 był bowiem zenitem idei nacjonalistycznych i samostanowienia narodów. Każdy naród Europy Wschodniej chciał zbudować własne „państwo narodowe".

Problem polegał oczywiście na tym, że w naszej części świata ludzie różnych nacji mieszkali obok siebie na tych samych terytoriach. Granice etniczne były nieostre.

„O wiele łatwiej było przyjąć uznanie zasady samostanowienia całych narodów deklaratywnie – pisze prof. Hryciuk – o wiele trudniej zastosować ją na terenach pogranicza etniczno-językowego czy na terenach etnicznie mieszanych".

Efekt mógł być tylko jeden – seria niezwykle zaciekłych wojen i sporów terytorialnych między nowymi państwami. Modelowym przykładem tego jest konflikt między Polską a Litwą o Wilno, konflikt między Polską a Czechosłowacją o Śląsk Cieszyński czy wojna polsko-ukraińska o Galicję Wschodnią.

Podobnych punktów zapalnych – o czym można przeczytać w „Rozpadzie imperiów" – było w Europie Wschodniej i na Bałkanach mnóstwo. W długofalowej perspektywie dążenie do stworzenia jednolitych etnicznie „państw narodowych" musiało się oczywiście skończyć tragicznie. Mowa o masowych deportacjach, czystkach etnicznych i aktach ludobójstwa. To jest już jednak zupełnie inna historia. ©℗

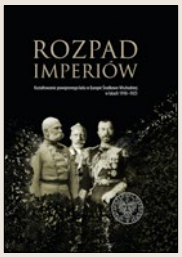

★★★★★★

„ROZPAD IMPERIÓW. KSZTAŁTOWANIE POWOJENNEGO ŁADU W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ W LATACH 1918–1923"
RED. M. GIBIEC, G. HRYCIUK, R. KLEMENTOWSKI
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Polak – katolik – komunista

Władysław Broniewski pozostał wierny ideałom komunizmu, chociaż podczas drugiej wojny światowej miał okazję się przekonać, jak ten ustrój wygląda w praktyce. Powrócił jednak do kraju i głośno twierdził, że jest Polakiem – katolikiem – komunistą, co czasami wzbudzało popłoch wśród partyjnych decydentów.

Potrafił przypominać niewygodne fragmenty swojej biografii

Podobnie zresztą jak jego zachowanie podczas wizyt w ZSRS. Gdy podczas oficjalnego spotkania w Moskwie zaproponowano mu, by usiadł, to z czarującym uśmiechem odparł: „Ja już u was siedziałem". Czasami potrafił przypominać niewygodne fragmenty swojej biografii i nie miało dla niego znaczenia, w jakim wówczas przebywał towarzystwie. Pisarzy sowieckich szokowało to w nieprawdopodobny sposób.

„Utkwił mi w pamięci – wspominał Leopold Lewin – wspólny pobyt w Związku Radzieckim w 1955 r. z okazji stulecia śmierci Adama Mickiewicza. Byliśmy razem na uroczystościach w Mińsku, Nowogródku, a potem w Moskwie. W Nowogródku wybraliśmy się na spacer po mieście. Towarzyszyli nam poeci ze wszystkich republik radzieckich, którzy przyjechali na uroczystości. W pewnym momencie Władysław zatrzymał się, spojrzał na wzgórze po lewej stronie i powiedział: – To wzgórze zdobyłem w 1920 r. na bolszewikach. Zapadła cisza".

Faktycznie, Broniewski miał za sobą piękną kartę zapisaną podczas wojny z Sowietami, za co został odznaczony Virtuti Militari. Osobiście jednak żałował, że nie brał udziału w odbiciu z rąk bolszewików Wilna (19–21 kwietnia 1919 r.), chociaż zasłużył się podczas operacji zimowej pod Dyneburgiem. Natomiast w czasach PRL miał na tyle silną pozycję, że mógł mówić wprost o sprawach, które mu nie odpowiadały. Kompletnie też nie zgadzał się z realizmem socjalistycznym, uważając narzucanie artystom tematów za kompletną bzdurę.

Janusz Atlas nigdy nie zapomniał swojego pierwszego kontaktu z poetą. Miał zaledwie kilka lat, gdy razem z ojcem pojawił się w Domu Pracy Twórczej w Oborach i zobaczył, co Broniewski sądzi o otaczającym go świecie:

„Przyjechaliśmy na miejsce w południe, było bardzo ciepło i świeciło słońce. Przed czworakami stało wielu dorosłych z ożywieniem coś komentujących. I wtedy ojciec podniósł mnie w górę i kazał patrzeć w wybrane okno na pierwszym piętrze. Pamiętam to okno, jak dziś, otwarte na oścież, wypełnione czymś, co wydało mi się… dużą pupą. »Tak jest! – przyklasnął tatuś. – Zapamiętaj synku, to jest pupa największego polskiego poety rewolucyjnego…«". ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Zawisza był poczciwy

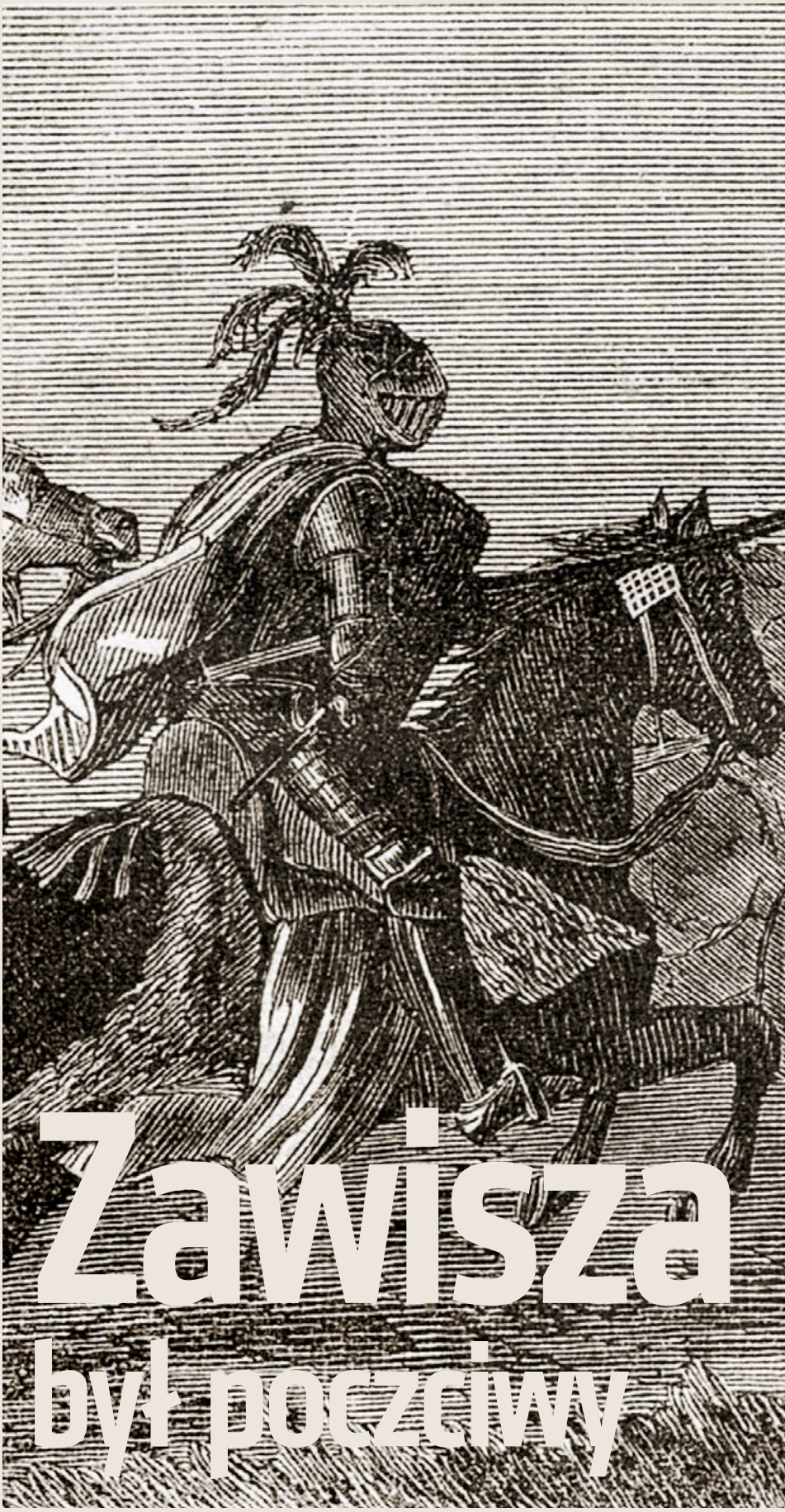

Z Jackiem Komudą, pisarzem, autorem książki „Zawisza. Czarne Krzyże”
rozmawia Łukasz Zboralski

ŁUKASZ ZBORALSKI: Nie zapytam pana o to, dlaczego napisał pan o Zawiszy Czarnym. Jeśli jest cykl książek o bohaterach, to moim zdaniem nie mógł się on w tym cyklu nie pojawić. Zapytam więc na początek inaczej: Czy cykl, który zaczął się od „Hubala”, był od początku zaplanowany jako dłuższy, czy po pierwszej książce okazało się, że warto dalej sięgać po bohaterów z odleglejszej przeszłości? Tym bardziej jestem ciekaw, bo Zawisza miał być protoplastą samego mjr. Henryka Dobrzańskiego...

JACEK KOMUDA: No, do Zawiszy jako przodka przyznawało się wielu polskich oficerów, potomków rodów szlacheckich. Można powiedzieć, że połowa hetmanów polskich, m.in. Żółkiewski i Koniecpolski, twierdziła, że są z rodu Zawiszy.

Jeśli chodzi o książki, to muszę przyznać, że miała być jedna – o „Hubalu”. Z czasem jednak rozrosło się to w cykl książek i o bohaterach polskich, i o dramatycznych wydarzeniach z naszej historii, takich jak np. obrona Westerplatte.

Próbuje pan mitycznych bohaterów naszkicować i przybliżyć jako ludzi z krwi i kości. To niełatwe zadanie. W przypadku Zawiszy nawet nie wiadomo, skąd się wziął jego przydomek – Czarny.

Prawdopodobnie wziął się stąd, że Zawisza miał czarne włosy. Miał też brata, którego nazywano Kruczek lub Kruk. Świadczyć może to o tym, że jako rycerze wyróżniali się wyglądem wśród większości rycerstwa, które – będąc pochodzenia słowiańskiego – mogło mieć raczej włosy jasne. To też może wskazywać, że ród Zawiszy pochodzić mógł spoza Polski, np. z Węgier.

Są też domniemania, że mógł występować w czarnej zbroi, ale potwierdzenia na to nie ma...

Nie ma takich przekazów. Natomiast Jan Matejko w swojej „Bitwie pod Grunwaldem” sportretował Zawiszę Czarnego właśnie w czarnej zbroi. Przy okazji – takiej zbroi, jaka jest na obrazie, w czasach Zawiszy jeszcze nie było. To są zbroje późniejsze, z wieku XVI. Ale Matejko znany jest z ahistoryzmów.

Wiadomo za to, że w czasach, gdy herbu Sulima używał Zawisza z Garbowa, miał w nim orła w połowie czarnego.

eprasa.pl 06d3422e85

Zawisza Czarny uderzający na Turków. Ilustracja z książki „Obrazki historyczne" z 1862 r. Rycerz często przedstawiany był w czarnej zbroi, choć nie ma żadnych dowodów, że takiej rzeczywiście używał

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Prawdopodobnie tak. Natomiast problem z tym jest taki, że stare przedstawienia bardzo często różniły się od wcześniejszej heraldyki. Pamiętajmy, że heraldyka została uporządkowana dopiero w XVIII–XIX w. Bardzo wiele herbów zyskało dopiero wtedy nową oprawę graficzną.

O wczesnych latach Zawiszy wiemy niewiele. Że się urodził w Garbowie i że miał dwóch braci. Trudno powiedzieć, czy rodzina była zamożna czy nie – z jednej strony Zawisza miał za żonę bratanicę biskupa, z drugiej – całe życie pracował mieczem, a synów chciał zabezpieczyć finansowo, żeby sami tego nie musieli robić.

Dariusz Piwowarczyk, biograf Zawiszy, jako pierwszą wzmiankę o nim podaje zapis z 29 listopada 1397 r. W tym zapisie sądowym z Sandomierza stwierdzono, że Zawisza nie jest obecny na procesie. Wiemy też, że nie był z bogatego rodu. Jego ojciec, Mikołaj, zginął prawdopodobnie pod Nikopolis w czasie jednej z ostatnich krucjat przeciwko Turkom. To z jednej strony dało pewne fawory Zawiszy na dworze króla Węgier Zygmunta Luksemburczyka. Z drugiej jednak strony, to, że jego ojciec zginął, wiązało się pewnie z tym, że zostawił tam swój poczet, wydał z pewnością na wyprawę bardzo dużo pieniędzy. To mogło sprawiać, że ród Zawiszy był raczej biedny. Mieli oni Garbów w ziemi sandomierskiej, było też kilka pomniejszych wiosek, w których mieli części udziałów i tak naprawdę zaliczali się – mówiąc językiem późniejszym, takim XVII-wiecznym – do drobnej szlachty. Żeby nie popaść w kompletną pauperyzację, majątków, które odziedziczyli, nie podzielili między siebie. Wspólnie nimi gospodarowali, dzięki czemu każdy z nich był w stanie wystawić poczet rycerski.

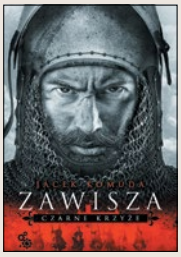

JACEK KOMUDA
„ZAWISZA. CZARNE KRZYŻE"
FABRYKA SŁÓW
2021

Jego młodość nie zwiastowała przyszłego ucieleśnienia rycerskiego mitu. Za zajmowanie posiadłości biskupa ołomuńskiego zagrożony był ekskomuniką, nie zawsze respektował wyroki sądów czy spłacał długi...

Zawisza zaczął karierę na służbie margrabiego Prokopa, gdy ten walczył z Zygmuntem Luksemburskim – chodziło o to, kto będzie margrabią Moraw. Brata Prokopa wspierał Zygmunt Luksemburczyk, a jego samego z kolei Wacław Luksemburski. Prokop przegrał, a pozaciągał w Polsce dużo najemników, którzy tam różnym włościom zaszkodzili, zwłaszcza biskupim, i zagrożeni byli ekskomuniką. Aczkolwiek wydaje się, że Zawisza był jednym z szacowniejszych z nich, bo po zakończeniu tej zwady poszedł na służbę do Zygmunta Luksemburczyka. Czyli ten, wiedząc, że Zawisza służył u jego wroga, nie uznał go za człowieka niehonorowego i wziął go na służbę do siebie.

Niektórzy mówią, że Zawisza był takim ówczesnym celebrytą. Trzymał się blisko dworu króla Węgierskiego – Zygmunta Luksemburskiego. Tam wyrabiał sobie „markę" na rycerskich turniejach. Największy przebłysk turniejowej sławy miał osiągnąć, zwalając z konia Jana z Aragonii – jednego z najsławniejszych wówczas w Europie rycerzy.

To jeden z najsławniejszych przeciwników turniejowych Zawiszy, którego znamy z imienia i nazwiska. Natomiast moim zdaniem Zawisza całą chwałę zdobył nie tylko w szrankach turniejowych i na polach bitewnych, lecz także przede wszystkim jako sprawiedliwy człowiek. Zawisza uznawany był za człowieka honoru – proszono go np. o poręczanie pożyczek dla rycerstwa i szlachty. Zasiadał w różnych sądach, podejmował się rozmaitych misji rozjemczych. Musiał się wykazywać niezwykłym taktem, skoro był jednocześnie sługą i poddanym dwóch królów – Władysława Jagiełły i Zygmunta Luksemburczyka, króla Węgier, a potem Czech, który był tak naprawdę małym, nikczemnym człowiekiem i miał zupełnie inny charakter niż Jagiełło. A już na pewno Luksemburczyk nie był podobny usposobieniem do Zawiszy. Zawisza jednak to jakoś umiał godzić. Co więcej, cieszył się łaską obu władców, bo dostał nadania na Węgrzech oraz w Polsce.

W obiegowej pamięci Zawisza utkwił nam jako ten wojownik z obrazu Matejki, który miał nieźle sprawić się pod Grunwaldem. Mniej wiemy o tym, że jako rycerz węgierskiego władcy jeździł z nim na wyprawy przeciw Turkom. A jeszcze mniej chyba pamiętamy, że Zawisza walczył też po stronie Zygmunta Luksemburskiego z husytami.

Tak, aczkolwiek należy zauważyć, że z husytami walczył tylko przez chwilę, bo dostał się do niewoli, i potem na

eprasa.pl 06d3422e85

nich się już nie wyprawiał. Wydaje się, że Zygmunt Luksemburski znacznie bardziej niż jego miecz cenił zdolności dyplomatyczne Zawiszy. Natomiast na sam koniec niestety Zawisza dał się wplątać w bardzo paskudną intrygę. Luksemburczyk wrobił go w krucjatę na Turków. Kazał mu zwerbować w Polsce w 1427 r. całą chorągiew rycerstwa zaciężnego, która została wykorzystana w tej krucjacie. Po czym właściwie skazał Zawiszę na śmierć w przegranej bitwie pod Golubacem na Serbii w 1428 r., gdyż Zygmunt Luksemburski tam po prostu uciekł, zostawiając swoją armię na rzeź Turkom. Zresztą uciekał tak wielokrotnie.

Z tej bitwy jednak chyba pochodzi trzon mitu o naszym niezłomnym rycerzu. Późniejsi kronikarze i piewcy jego sławy wspominali właśnie te wydarzenia – że król wysłał Zawiszy łódź na pomoc, a on do niej nie wsiadł i nie zostawił towarzyszy walki.

To jest prawda historyczna. Przy czym należy uzmysłowić sobie jednak, że Zawisza – jako dworzanin Zygmunta Luksemburskiego i znana postać – mógł się nie obawiać śmierci. Doskonale wiedział, że jego Turcy nie zabiją, bo im się to po prostu nie opłacało. Za głowę takiego człowieka był przecież wówczas ogromny wykup. Luksemburczyk zresztą pewnie wykupiłby go z własnej kiesy. Natomiast zginął prawdopodobnie dlatego, że albo w tym Golubacu doszło do jakiejś rzezi jeńców, albo – jak to się podejrzewa – dwóch Turków pokłóciło się o okup za tak znakomitego jeńca i któryś z nich w sporze ściął naszemu rycerzowi głowę.

To trochę zmienia postać rzeczy. Jakby mit Zawiszy, który dotrwał do dziś, więcej miał jednak związku z jego honorowym życiem, a nie z bohaterską śmiercią.

Oczywiście nie chcę jego przewag rycerskich umniejszać, natomiast gdy czytamy żywot Zawiszy, to jest żywot Zawiszy poczciwego – dobrego gospodarza, nieskazitelnego człowieka, takiego, jakich nam dzisiaj bardzo brakuje. Cieszył się takim szacunkiem i zaufaniem, że rycerze toczący spory zamiast iść do sądu, czasem woleli, by on rozstrzygnął ich problem. I z jego wyrokami się godzili.

Jest też prawdopodobne to, co pan mówi – że Zawisza mógł liczyć na wykup z niewoli od Turków. Wcześniej, podczas walk z husytami, dostał się do niewoli po bitwie pod Niemieckim Brodem w 1422 r., gdzie Jan Žižka rozgromił katolickie wojska. I z tamtej niewoli został właśnie wykupiony.

Tak. I pamiętajmy, że husyci nie przepuszczali rycerzom. Zawisza Czarny znany był jednak jako człowiek honoru i szanowali go też przeciwnicy.

Wrócę jeszcze na chwilę do krucjat przeciw husytom. Bo wiąże się z tym inny interesujący wątek. Zawisza był posłańcem Jagiełły na sobór w Konstancji – co dodatkowo potwierdza jego zdolności dyplomatyczne, o których już pan wspominał. Na soborze, według źródeł, bronił Jana Husa. Czyli krzyżowiec walczył z husytami, a Husa bronił. Jak to pogodzić?

Trzeba jednak pamiętać, że Zawisza cenił przede wszystkim dane komuś słowo i honor. A Luksemburczyk zaręczył Janowi Husowi bezpieczeństwo. Hus przybył na sobór, mając glejt, w którym jasno stało, że nie zostanie pod jego adresem rzucone żadne oskarżenie. Tymczasem został po prostu wydany i spalony na stosie. Myślę, że Zawisza Czarny w tym momencie pokazał właśnie swoją ludzką twarz. Skoro wielkim zwolennikiem husytów nie był, a przynajmniej nic o tym nie wiadomo, to jednak przeciwstawił się takiemu barbarzyńskiemu, niehonorowemu postępowaniu własnego władcy.

Zresztą sam związek Zawiszy z tym władcą jest czymś niezwykłym. To dwie odrębne postacie – tchórza i rycerza. Luksemburczyk był taki, jakiego widzimy go na portrecie, który można obejrzeć w Wikipedii – mały, nikczemny człowiek. Zawisza wręcz odwrotnie. Dodajmy, że czasem małość Luksemburczyka wychodziła nam na dobre, tak jak wówczas, gdy miał napaść nas od tyłu w czasie wojny z Krzyżakami. Nikczemnik wziął łapówkę od zakonu, ale swojego obowiązku nie wykonał.

Nie zdradzając zakończenia książki – bo nie chcę odbierać czytelnikom przyjemności – powiem jedynie, że u pana Zawisza nie dociera do Golubaca. Jego historię urwał pan w innym miejscu. Dlaczego?

Dzieje Zawiszy Czarnego uważam za zbyt rozległe, żeby zamknąć to w jednej opowieści. Chciałem przede wszystkim pokazać, popuszczając oczywiście wodze fantazji, historię naszego rycerza tuż przed wojną z zakonem krzyżackim. Mamy rok 1408, czas, w którym dochodzą słuchy, że wybuchnie niebawem wojna polsko-krzyżacka. Rycerze polscy, w tym Zawisza, będący na służbie Zygmunta Luksemburczyka opuszczają go i wracają do Królestwa Polskiego walczyć za Jagiełłę. A byli wtedy akurat na bardzo ponurej krucjacie. Luksemburczyk zwołał ją wtedy rzekomo na Turków, a w rzeczywistości na Bośniaków, żeby ich sobie podporządkować. Armia oblegała tam kilka miast, dokonała wielu zniszczeń, rzezi. Dzieje tej krucjaty w polskiej nauce historycznej są słabo opisane. Mamy mało opracowań pokazujących, co się wtedy tam tak naprawdę działo i jak te wojny Luksemburczyka wyglądały – zarówno z Turkami, jak i te na Bałkanach, czyli z Serbami, Wołochami i Bośniakami.

Znów pan trochę szczypie ten nasz mit narodowy. Bo wskazuje pan, że Zawiszy Czarnemu okazja walki u boku Jagiełły przyszła akurat w porę. Mogła być opłacalna, by wyrwać się z tej, jak pan to określił, ponurej krucjaty?

To też. Ja chciałem pokazać tego naszego Zawiszę w zupełnie inny sposób, by nie ciągnął się za nim ten sienkiewiczowski zaduch. Chciałem pokazać go w wyprawie, w której mógł brać udział – w wyprawie na Żmudź, do ostatniego pogańskiego państwa w Europie. Był to kraj, w którym toczyła się cały czas wojna, ponieważ teoretycznie Żmudź była pod kontrolą Krzyżaków, ale Żmudzini bez przerwy się buntowali, ukrywali w lasach i walczyli z zakonnikami. Wielka wojna z zakonem miała tu swoje źródła, gdy wielki mistrz uznał, że należy uderzyć na źródło, które pomaga Żmudzi, czyli na Rzeczpospolitą. Polscy rycerze rzeczywiście masowo na Żmudź przybywali i u boku Witolda z powszechnie znienawidzonymi Krzyżakami walczyli.

Skoro Zawiszy nie da się przedstawić w jednym tomie, to rozumiem, że możemy liczyć na kolejny tom?

Jak najbardziej. Historia jego ostatniej krucjaty życia, wyprawy pod Golubac, będzie tematem kolejnej książki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jacek Komuda – historyk, pisarz, autor powieści historycznych, publicysta „Do Rzeczy".

eprasa.pl 06d3422e85

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl 06d3422e85

Królowie na walizkach

Teresa Stylińska

Filip, książę Edynburga, zmarły w Windsorze 9 kwietnia, był bez wątpienia, jako książę małżonek, najbardziej prominentnym członkiem brytyjskiej rodziny królewskiej, poza samą królową Elżbietą. Ale nie tylko brytyjskiej – również greckiej, odsuniętej zresztą od władzy już blisko pół wieku temu

Nikt z greckich przodków księcia ani jego współczesnych krewnych nie był światu znany tak dobrze jak Filip. To zrozumiałe. Monarchię brytyjską otacza nimb, o jakim inne królewskie dynastie dawno zdążyły zapomnieć. Dlatego Filipowi, gdy w lutym na parę tygodni trafił do szpitala, wszyscy, nie tylko Brytyjczycy, gorąco życzyli, by dożył stu lat. To życzenie niestety się nie spełniło, choć cel był na wyciągnięcie ręki. Do setnych urodzin zabrakło księciu dwóch miesięcy i jednego dnia.

Książę Filip przebył drogę od Grecji do Wielkiej Brytanii, od dynastii greckiej do brytyjskiej. Ale na styku obu krajów i obu królewskich rodów była jeszcze jedna wyjątkowa postać. Chociaż pozornie mało ważna, bo z drugiego szeregu, to zostawiła po sobie szczególną pamięć. To Alicja, księżniczka Battenberg, matka Filipa i prawnuczka królowej Wiktorii. Alicja, urodzona w Windsorze, podążała w kierunku odmiennym niż jej jedyny syn: od Wielkiej Brytanii do Grecji, od domu Windsorów do greckiej dynastii, od anglikanizmu do prawosławia.

UCIECZKA PRAWIE SKAZAŃCA

Książę Filip, poza wczesnym dzieciństwem, na Wyspach Brytyjskich spędził całe swe życie. Dorastał pod opieką wu-

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. WPA POOL/GETTY IMAGES

jów, George'a i Louisa Mountbattenów, braci matki, którzy zajęli się wychowaniem siostrzeńca. Kto inny mógł to zrobić? Rodzina Filipa, po pospiesznym wyjeździe z Grecji i krótkim pobycie we Francji, po prostu się rozpadła. Matka, z zaburzeniami psychicznymi, trafiła do zakładu leczniczego w Szwajcarii. Ojciec z nową damą serca zamieszkał na południu Francji. Cztery starsze siostry poślubiły niemieckich książąt. Filip miał z nimi pewien kontakt, gdy przez parę lat uczęszczał w Niemczech do szkoły. Z rodzicami nie miał go wcale. Rodzina w komplecie spotkała się raz, w 1937 r. w Darmstadcie w Hesji, na pogrzebie Cecilii, siostry Filipowi najbliższej, która wraz z mężem i dwoma synami zginęła w katastrofie lotniczej.

Filip był więc sam. Dzieciństwo miał smutne i samotne – co do tego zgodni są jego przyjaciele i biografowie. „W domu? Ja nigdy nie miałem domu" – odpowiedział po latach na pytanie, w jakim języku mówiono w jego domu. Dlatego, jak przyznał, nie nauczył się mówić po grecku. Twierdził jednak, że trochę rozumie.

Rodzina Filipa opuściła Grecję w dramatycznych okolicznościach. Jego ojciec, Andrzej, czwarty z rzędu syn króla Jerzego I, był jednym z dowódców w wojnie toczonej z Turcją na początku lat 20. XX w. Stawka była ogromna: zdobycze terytorialne na gruzach rozpadającej się Turcji i równie wielkie nadzieje, które się nie spełniły. Wojna skończyła się „katastrofą narodową", jak mówi się w Grecji do dzisiaj. Winnych więc należało ukarać.

Przed karą śmierci, na którą skazano pięciu wojskowych i premiera, Andrzeja uchroniło królewskie pochodzenie. Grecy wprawdzie (o czym dalej) poczynali sobie z królami dość bezceremonialnie, nie posuwali się jednak do czynów ostatecznych. Księcia skazano więc na wygnanie. W groźnej sytuacji nie należało jednak zwlekać. Wyspę Korfu, gdzie w pałacyku Mon Repos, letniej rezydencji królewskiej, 10 czerwca 1921 r. przyszedł na świat Filip, Andrzej z rodziną opuścił pod koniec 1922 r. W pobliżu czekał brytyjski okręt.

OTWIERAM, COKOLWIEK TO JEST

Filip ukończył akademię marynarki wojennej w Dartmouth, a w czasie wojny służył na wielu morzach – od Zatoki Tokijskiej do Morza Śródziemnego, gdzie brał udział w bitwie o Kretę. Miał opinię oficera bardzo zdolnego, w dodatku z zamiłowaniem pełniącego służbę w marynarce, wróżono mu więc wielką przyszłość. Elżbietę znał od paru lat. Lilibet, jak nazywano ją w rodzinie, od pierwszej chwili była pod urokiem swego dalekiego, przystojnego kuzyna (oboje są praprawnukami królowej Wiktorii). Nie brak podejrzeń, że Louis Mountbatten, wuj obojga, celowo zaaranżował ich spotkanie. Filipa wychowywał, a dla Elżbiety był ukochanym wujem i później doradcą.

Na przeszkodzie stały jednak rodzinne niemieckie powiązania Filipa. Pamięć wojny była jeszcze świeża. Mężowie sióstr służyli oczywiście w Wehrmachcie, a w dodatku niektórzy otwarcie popierali Hitlera. Uparta Elżbieta zdołała jednak przekonać rodziców. Ślub odbył się w opactwie westminsterskim w listopadzie 1947 r. i pod jednym względem zwiastował nową epokę: był pierwszym transmitowanym przez Radio BBC. Żadnej z sióstr nie zaproszono.

Od tej pory Filip przez 73 lata – jak to wyraziła sama Elżbieta, gdy oboje obchodzili złote gody – „był jej siłą i podporą". Stał u boku królowej i nawet jeśli czasem powątpiewano w jego wierność, to nie jest to coś, o czym opinia publiczna mogłaby się dowiedzieć ze stuprocentową pewnością, przynajmniej nie w tym pokoleniu.

Dopiero mając 96 lat, książę przestał pełnić obowiązki przynależne członkom rodziny królewskiej. Przez lata patronował ok. 800 organizacjom, a liczba jego publicznych wystąpień, od odsłaniania tablic i pomników do udziału w imprezach narodowych, wyniosła dokładnie 22 219. Powszechnie znane jest powiedzenie, którym książę podsumował swą pracę, gdy przechodził na emeryturę: „Mam największe na świecie doświadczenie w odsłanianiu tablic". Ale jego ironiczne, a czasem wręcz zjadliwe poczucie humoru lepiej oddaje inna uwaga: „Otwieram, cokolwiek to jest".

W tym bilansie jest też miejsce na oficjalne wizyty za granicą. Królewska para odbyła ich 251, wszystkie wspólnie. Nigdy jednak nie odwiedziła Grecji. Dlaczego pominięto ojczyznę księcia? Nie ma zwyczaju, by to wyjaśniać, ale nieoficjalnie mówi się, że rodzina królewska, a Filip w szczególności, miała do greckich władz żal o to, jak traktowano jego rodzinę. Chodzi o księcia Andrzeja, a także o ostatniego króla Konstantyna II, stryjecznego bratanka Filipa. Przed trzema laty w zastępstwie królowej odwiedził jednak Grecję książę Karol. Chociaż formalnie nie była to wizyta państwowa, to przyjmowano go z honorami należnymi głowie państwa.

CZY CHCĄ MIEĆ KRÓLA?

Przez ostatnie dwa stulecia nie było w Europie monarchii, której dzieje byłyby równie burzliwe jak dzieje królów Grecji. W wielu krajach monarchów odsuwano od władzy, obalano, a nawet

eprasa.pl 06d3422e85

mordowano – vide: Romanowowie. Ale tylko władcy Grecji zasiadali na tronie jak na rozżarzonych węglach. W każdym pokoleniu doświadczali wstrząsów. Greccy królowie byli obalani, wypędzani z kraju i zapraszani ponownie, jak gdyby obywatele nie mogli się zdecydować, czy chcą mieć króla czy może jednak nie.

Na początku zresztą nikt Greków o zdanie nie pytał. Gdy powstała niepodległa Grecja – której 200-lecie niedawno, 25 marca, uroczyście obchodzono – Wielka Brytania, Francja i Rosja postanowiły, że będzie monarchią (w XIX w. było to raczej oczywiste), a na jej tronie zasiądzie młodziutki książę Otton z bawarskiej dynastii Wittelsbachów. Trzy mocarstwa dzięki wspieraniu Greków w wojnie z osmańską Turcją zapewniły sobie pozycję patronów Grecji. Dlatego one podejmowały decyzje.

Król Otton, który objął tron w 1833 r. i rządził przez niespełna 30 lat, pozostawił po sobie pierwszą grecką konstytucję i zbudowane podstawy państwa. Wobec animozji między przybyłymi z Bawarii urzędnikami a dawnymi przywódcami antytureckiego powstania nie szło to jednak gładko i w 1862 r. Otton został obalony – jako pierwszy, choć nie ostatni władca Grecji. Rok później tron zaoferowano duńskiej dynastii Sonderburg-Glücksburg. „Królem Hellenów", według przyjętej nowej terminologii, został Christian Wilhelm, młodszy syn króla Christiana IX. Od teraz Jerzy I.

Na jego rządy – aż trudno uwierzyć – przypadła prawie połowa ze 111 lat istnienia nowej dynastii. Było to zatem panowanie w miarę stabilne, chociaż przypadło na trudny czas wojen bałkańskich ze wszystkimi bez mała sąsiadami. Zakończyło się jednak tragicznie: w 1913 r. w Salonikach Jerzy I został zamordowany przez szaleńca. Tron objął Konstantyn I, najstarszy syn Jerzego.

Od tej pory rządy greckich monarchów toczyły się tak, jak gdyby scenariusz wydarzeń pisał szalony autor science fiction. Konstantyn, Aleksander, znowu Konstantyn, wreszcie Jerzy II – ten ostatni na ponad 20 lat, ale z przerwami na rządy wojskowych, którzy ustanowili republikę. W 1924 r. opuścił kraj na długich 11 lat. – Dla greckiego króla najważniejszym narzędziem sprawowania władzy jest walizka – król Jerzy nie bez racji, choć też nie bez goryczy podsumował sytuację.

Książę Filip wiele razy odwiedzał Grecję prywatnie. Szczególne więzy łączyły go ze Świętą Górą Athos

Dorzućmy do tego exodus zbiorowy, czasami z własnej woli. Podczas pierwszej wojny światowej, wskutek konfliktu króla z premierem Elefteriosem Wenizelosem, wyjechali wszyscy – Konstantyn I, jego bracia, całe rodziny. Po paru latach wszyscy wrócili. Podobnie w 1941 r., gdy Grecję zajęli Niemcy. A w grudniu 1967 r., po nieudanej próbie kontrpuczu i obalenia pułkowników, którzy przejęli władzę pół roku wcześniej, kraj opuścił Konstantyn II z całą swą rodziną. Uciekł samolotem, który sam pilotował.

Ci, którzy ochoczo odsuwali królów od władzy, lubili jednak zasięgać opinii narodu. Dlatego w XX w. aż sześć razy istnienie monarchii poddano pod referendum! Był to zapewne rodzaj bezpiecznika, ale po trosze także sztuka dla sztuki, bo wyniki były różne, a rzetelność głosowania oceniano rozmaicie.

Pierwsze referendum odbyło się w 1920 r., ostatnie – w 1974 r. Dzieli je nie tylko czas. Dzieli je przepaść. W 1920 r. powrót Konstantyna I na tron poparło 99 proc. głosujących. W 1974 r. prawie 70 proc. wybrało republikę, bo wielu miało królowi za złe, że początkowo godził się na rządy pułkowników. Konstantyn II, wnuk Konstantyna I, nie miał szansy, by się z tego wytłumaczyć, skoro był na emigracji. Ma żal. Uważa, że nie stało się to przypadkiem. Bo choć od nowych władz otrzymał obietnicę, że po upadku dyktatury będzie mógł wrócić do kraju, słowa nie dotrzymano. Są tacy, którzy sądzą, że gdyby król mógł przedstawić swój punkt widzenia na sprawy kraju i monarchii, wynik głosowania mógłby być inny.

GRECJĘ MAMY WE KRWI

Grecja ma jednak ogromną siłę przyciągania. Członkowie rodu wracali niegdyś i wracają teraz – niektórzy na stałe, inni na wakacje, za to regularnie. Księżna Alicja, opuściwszy klinikę, pod koniec lat 30. zamieszkała w Atenach. Żyła nadzwyczaj skromnie, w małym mieszkanku, bo wszystko, co miała, przeznaczała dla potrzebujących. W czasie wojny ukrywała żydowską rodzinę, za co została odznaczona Medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Grecja dla Alicji stała się ojczyzną. Już wcześniej księżna przeszła na prawosławie i założyła zakon z myślą o pracy na rzecz ubogich. Gdy władzę przejęli pułkownicy, na prośbę swego syna Filipa przeniosła się do pałacu Buckingham. Tam zmarła, ale, tak jak pragnęła, ostatecznie spoczęła w Jerozolimie, w cerkwi św. Marii Magdaleny, obok swej ciotki, wielkiej księżnej Elżbiety Fiodorowny, prawosławnej świętej.

Książę Filip wiele razy odwiedzał Grecję prywatnie. Szczególne więzy łączyły go ze Świętą Górą Athos, monastyczną republiką, której patronował z oddali, w ramach Stowarzyszenia Przyjaciół Góry Athos. Zaobserwowano zresztą, że Filip, choć musiał przyjąć anglikanizm, znak krzyża wykonywał na sposób prawosławny. Do stowarzyszenia należy też książę Karol, częsty gość na Athos, na wyspach i na jachtach pływających po wodach Grecji. „Grecję mam we krwi" – podkreślał podczas wizyty sprzed trzech lat.

Konstantyn II zaś całkowicie puścił w niepamięć urazy, sprzedał dom w Londynie i parę lat temu, wraz z żoną Anną Marią, siostrą duńskiej królowej Małgorzaty II, wrócił na stałe do Aten. Wcześniej zrobił to jego syn Nikolaos, trzeci z pięciorga dzieci. Przebaczenie jest chyba całkowite, skoro Nikolaos wynajmuje dom od córki Andreasa Papandreu, premiera, który w swoim czasie udaremnił zabiegi rodziny o uzyskanie odszkodowania za majątek przejęty przez państwo, choć był to majątek prywatny. Europejski Trybunał Praw Człowieka, do którego rodzina skierowała sprawę, przyznał jej 12 mln euro, nikłą część wartości trzech posiadłości – pałacyku Tatoi koło Aten, Mon Repos na Korfu i Polidendri w Tesalii – szacowanej na 500 mln.

Dlaczego więc król wybrał powrót w czasie, gdy wielu Greków marzyło raczej o wyjeździe z kraju? Konstantyn zdradził to w rozmowie z jednym z brytyjskich magazynów i trudno nie dostrzec, że on i Karol myślą tak samo. „Wszyscy Grecy, którzy żyją na wygnaniu, chcą wrócić do kraju – powiedział król. – Mamy to we krwi. Co zabawne, na powrót najbardziej naciskała moja żona. Dobrze wie, że będę szczęśliwy dopiero wtedy, gdy wrócę do domu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. JONAS EKSTRÖMER/TT NEWSAGENCY/FORUM

SZWEDZKA STRATEGIA, KTÓREJ NIE BYŁO

W czasach pandemii Szwecja ze względu na strategię walki z koronawirusem dla niektórych jest wzorem, a dla niektórych państwem nieludzkim – nigdy nie zrobiła głębokiego lockdownu, dopiero potem powoli wprowadzała restrykcje. Tymczasem, jak się właśnie okazało podczas przesłuchania szwedzkiej minister zdrowia Leny Hallengren (na zdjęciu) przed komisją konstytucyjną, Szwecja nigdy nie miała żadnej formalnej strategii radzenia sobie podczas pandemii. Hallengren przekonywała, że to nic niezwykłego w Europie, i podawała przykłady krajów również działających bez strategii – Niemcy, Francję i Włochy.

KONIEC LATANIA WE FRANCJI

Deputowani we Francji zajęli się wcielaniem w życie tzw. konwencji klimatycznej, której twarzą jest prezydent Emmanuel Macron. Zgodnie z nią zakazane mają być loty samolotami w kraju tam, gdzie alternatywą jest transport szynowy i gdzie dojazd pociągiem trwa mniej niż cztery godziny. Na razie deputowani zaczęli ostrożnie – zakazali we Francji lotów samolotem tam, gdzie podróż pociągiem trwa do 2,5 godziny. Air France poinformował, że w związku z tym do końca roku obetnie siatkę krajowych połączeń lotniczych o 40 proc.

NAUCZANIE PRZEZ PONIŻANIE

We Włoszech śledztwo kuratorium oświaty i reakcja ministerstwa oświaty. Do mediów wyciekło zdjęcie uczennicy odpytywanej on-line przez nauczycielkę języka niemieckiego z liceum w Weronie. Nastolatka tak dobrze odpowiadała, że wzbudziło to podejrzenia pani nauczycielki. Żeby wyeliminować ściąganie, kazała uczennicy zawiązać na oczach czarny szalik.

DOSTAŁA MILION I POSZŁA DO WIĘZIENIA

Pewna ratowniczka medyczna w USA przypadkowo – przez błąd firmy brokerskiej Charles Schwab & Co. – dostała na konto bankowe 1,2 mln dol. Natychmiast przelała te środki na swoje drugie konto, po czym kupiła dom i samochód. Została aresztowana i oskarżona o kradzież, oszustwo bankowe oraz nielegalne przekazanie środków pieniężnych.

KTO UKRADŁ KRÓLIKA?

W Stoulton w Anglii włamywacze zakradli się nocą do ogrodu Annette Edwards i skradli stamtąd Dariusa, czyli najdłuższego królika świata. Mierzący 129 cm zwierz został wpisany do Księgi rekordów Guinnessa. Zdaniem właścicielki złodzieje mogli marzyć o powieleniu genów Dariusa, ale się rozczarują – jest już zbyt stary, by się rozmnażać. Na tych, którzy pomogą odnaleźć królika, czeka nagroda – w przeliczeniu to ponad 10 tys. zł. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Marksistka cierpi za miliony

„Oddaj za darmo swój dom czarnej rodzinie" – postulowała przed rokiem założycielka ruchu Black Lives Matter (BLM) Chanelle Helm. I był to tylko jeden z 10 postulatów, które członkowie białej społeczności powinni zrealizować, aby „odkupić winy białych". Inna liderka tego skrajnie lewicowego ruchu, którego sympatycy wywołali wiele krwawych zamieszek i gigantyczne zniszczenia prywatnej własności nie tylko w USA, lecz także w wielu innych miejscach świata, postanowiła nie czekać na rewolucję. Zadeklarowana marksistka 37-letnia Patrisse Khan-Cullors, która rzekomo miała prowadzić proste, skromne życie, angażując się w „antyrasistowskie" akcje przeciw białym, kupiła niedawno piękny 220-metrowy dom o wartości 1,4 mln dol. w bogatej dzielnicy w okolicach Los Angeles. Jej czarnoskórych zwolenników oburzył fakt, że rezydencja stoi w dzielnicy zamieszkanej głównie przez białych.

Jak jednak odkryli dziennikarze „New York Post", nie był to wcale pierwszy tak drogi zakup „socjalistycznej aktywistki". Od 2016 r. kupiła ona bowiem jeszcze trzy luksusowe rezydencje, za które zapłaciła w sumie 3,2 mln dol. Wraz z „żoną" – kolejną aktywistką BLM – miała też udać się na Bahamy, aby tam szukać nieruchomości w dzielnicy zamieszkanej przez takie gwiazdy jak Tiger Woods czy Justin Timberlake. Ich ceny liczone są już nie tylko w milionach, lecz także w dziesiątkach milionów dolarów.

Skąd pani „marksistka" ma takie pieniądze? Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że tylko w 2020 r. ruch Black Lives Matter zebrał z datków ponad 90 mln dol. Pieniądze miały służyć m.in. podnoszeniu jakości życia czarnoskórej ludności USA oraz „eliminacji białej supremacji". Cel, jak wyraźnie widać, został osiągnięty. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. SAUL LOEB/AFP/EAST NEWS

Czy Biden poskromi Putina

Jacek Przybylski

11 września zakończy się najdłuższa wojna Ameryki – ogłosił Biały Dom. Wyjście armii USA z Afganistanu ucieszy islamskich radykałów, ale jednocześnie uwolni część amerykańskich sił. Biden chce bowiem uporządkować światową szachownicę i skupić się głównie na rywalizacji z Chinami. W tym celu musi też okiełznać imperialne zapędy Rosji

Prezydent Joe Biden ostro wziął się do rozwiązywania problemów na arenie międzynarodowej. Po klęsce polityki imigracyjnej, która doprowadziła do tego, że granicę z Meksykiem próbowało w tym roku przekroczyć najwięcej nielegalnych imigrantów od 2019 r., Biały Dom potrzebuje dużego sukcesu.

Amerykanie od miesięcy próbują więc namówić Irańczyków do powrotu do porozumienia nuklearnego. Na początku kwietnia w Wiedniu wznowiono rozmowy Waszyngtonu z Teheranem na temat odnowienia porozumienia nuklearnego z 2015 r. Biały Dom nazwał je nawet „konstruktywnymi". Szyki Amerykanom pokrzyżował jednak niespodziewany izraelski cyberatak na ośrodek wzbogacania uranu w Natanzie. Po tej operacji Irańczycy błyskawicznie ogłosili, że w ramach „odpowiedzi na zło" rozpoczną wzbogacanie uranu do 60 proc. zawartości rozszczepialnego izotopu U-235. Iran jest więc coraz bliżej możliwości zdobycia bomby atomowej – aby móc uzbroić głowicę nuklearną, potrzebuje bowiem uranu zawierającego ok. 90 proc. izotopu U-235. Widać jednak wyraźnie, że Biden chce zażegnać groźbę eskalacji napięcia między Izraelem a Iranem. Teheran może więc na tym sporo ugrać.

ZAMYKANIE FRONTÓW

W ramach strategicznego zamykania kolejnych frontów amerykański prezydent ogłosił datę zakończenia misji w Afganistanie. Symboliczny koniec najdłuższej wojny Ameryki ma przypaść dokładnie w 20. rocznicę ataków terrorystycznych na Stany Zjednoczone. Równocześnie z USA z Afganistanu uciekną również wszyscy pozostali sojusznicy z NATO. Rozpoczęcie wycofywania wojsk, które wkroczyły do Afganistanu pod koniec roku 2001 w odwecie za ataki na Nowy Jork i Waszyngton, zacznie się jednak już na początku maja.

To dobra wiadomość dla lewicowych wyborców – Biden obiecywał wycofanie wojsk z Afganistanu jeszcze podczas kampanii wyborczej – a także dla talibów i innych islamskich bojowników, którzy w większym spokoju będą mogli planować kolejne zamachy. I chociaż decyzję prezydenta krytykują nie tylko republikanie, lecz także wielu ekspertów ds. bezpieczeństwa, to powody decyzji Bidena można zrozumieć, nie tylko patrząc na nią jako na realizację oczekiwań zmęczonych długą wojną wyborców. Wycofanie wojsk z Afganistanu i pozamykanie wszelkich innych frontów pomoże Stanom Zjednoczonym skupić się na swoich dwóch największych wrogach: Chinach i Rosji.

Władze w Pekinie bez ogródek mówią już Amerykanom, że czują się tak potężne jak USA i nie zamierzają słuchać połajanek z Waszyngtonu. Co gorsza, Biały Dom doskonale wie, że nie jest to blef, bo ujawniony niedawno 27-stronicowy dokument zawierający wnioski sformułowane przez szefów różnych agencji wywiadowczych jasno wskazuje na Chiny jako na największe zagrożenie dla amerykańskich wpływów na świecie.

Aby móc się skupić na Chinach, Biden musi mieć więc spokój w Europie, gdzie największym zagrożeniem dla pokoju i stabilności od lat jest Rosja rządzona przez Władimira Putina. Oba kraje wykorzystały też pandemię koronawirusa do prowadzenia „szczepionkowej dyplomacji", czyli zwiększania wpływów w regionie w zamian za dostawy tak deficytowych produktów jak szczepionki przeciw COVID-19.

eprasa.pl 06d3422e85

Tego samego dnia, kiedy Biały Dom ogłosił wycofanie się z Afganistanu, prezydent Joe Biden zaproponował więc prezydentowi Rosji Władimirowi Putinowi spotkanie na szczycie. Pierwsze tego typu spotkanie od 2018 r., gdy Donald Trump i Władimir Putin rozmawiali w Helsinkach, miałoby się odbyć na neutralnym terenie, najprawdopodobniej w jednym z europejskich państw.

W ostatnich tygodniach Rosja na masową skalę zaczęła gromadzić swoje oddziały na granicy z Ukrainą. W okupowanym przez rosyjskich najeźdźców Donbasie oraz na Krymie Rosjanie mają obecnie najwięcej żołnierzy od 2014 r. Do tego wspierani przez Moskwę rebelianci, którzy okupują wschodnią Ukrainę, zaczęli organizować wielki pobór mężczyzn do swoich bojówek. A rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow złowieszczo zadeklarował, że „Rosja nikomu nie zagraża i nigdy nie zagrażała". Każdy podbity i okupowany przez Rosję naród wie, że w ustach Rosjan to bardzo groźna deklaracja. Może bowiem sugerować, że Kreml rzeczywiście myśli o wielkiej inwazji i rozpoczęciu na Ukrainie krwawej wojny na masową skalę.

ASY W RĘKAWIE PREZYDENTA

Czy Bidenowi uda się poskromić imperialne zapędy Putina i wskazać Rosji właściwe w XXI w. miejsce mocarstwa regionalnego, a nie światowego? Nie wiadomo. Jedno wydaje się jednak pewne. Joe Biden nie powinien dać się nabrać na rosyjskie sztuczki. Z jego doświadczeniem nie uwierzy też raczej w jakiekolwiek deklaracje o pokojowych intencjach Władimira Putina w jakimkolwiek sporze. Jeszcze jako zastępca Baracka Obamy Joe Biden przekonał się, że jakikolwiek „reset" z Rosją jest nierealny. O tym, że pamięta o lekcji, którą ambitnej ekipie Partii Demokratycznej udzieliły kilka lat temu władze na Kremlu, świadczy fakt, iż w marcu 2021 r., już jako prezydent Stanów Zjednoczonych, określił publicznie rosyjskiego przywódcę mianem „mordercy".

Relacje między USA i Rosją w ostatnich tygodniach stały się tak napięte, że w marcu Kreml odwołał nawet z Waszyngtonu „na konsultacje" swojego ambasadora. I nic nie wskazuje na to, aby placówka ta miała wkrótce zostać ponownie obsadzona.

Niestety, podczas szczytu zaproponowanego przez Joe Bidena Władimir Putin może mieć lepszą pozycję negocjacyjną, choć amerykańskie okręty na Morzu Czarnym w sprytny sposób grają Rosjanom na nerwach i wzmacniają dyplomatyczne deklaracje USA, w których Biały Dom nieustannie podkreśla wsparcie USA dla „suwerenności i terytorialnej integralności Ukrainy". Wzmocnienie wojskowej obecności Amerykanów na Morzu Czarnym jest tylko jednym z silnych argumentów Waszyngtonu.

Amerykański prezydent też ma kilka innych asów w rękawie. Podczas negocjacji z przywódcą Rosji może na przykład sugerować, że jeśli ten nie wycofa swoich wojsk i nie uspokoi apetytów rosyjskich bojówkarzy w Donbasie, to rozważy przyjęcie Ukrainy do NATO. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oznajmił 6 kwietnia, że przystąpienie jego kraju do sojuszu północnoatlantyckiego jest „jedyną drogą" do zakończenia konfliktu w Donbasie. Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg oraz szef amerykańskiej dyplomacji Antony Blinken po spotkaniu w Brukseli z szefem MSZ Ukrainy Dmytro Kulebą ogłosili zaś, że przeanalizują ukraińskie podanie o członkostwo.

Oczywiście, szanse Ukrainy na wejście do sojuszu są znikome. Zresztą sam Kijów miał przecież formalnie o wiele silniejsze gwarancje bezpieczeństwa, bo niepodległość i nienaruszalność istniejących granicy w ramach tzw. memorandum budapeszteńskiego 5 grudnia 1994 r. na szczycie Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) w zamian za rezygnację z broni atomowej formalnie zagwarantowały Ukrainie USA, Wielka Brytania oraz Rosja.

Mimo to jeszcze w 2021 r. na Ukrainie mają się odbyć ukraińsko-brytyjskie manewry z udziałem jeszcze co najmniej pięciu innych państw NATO. Biden może również doprowadzić do tego, że Ukraina otrzyma plan na rzecz członkostwa w NATO (Membership Action Plan – MAP), a już samo to będzie poważnym ciosem dla rosyjskiej propagandy, kreślącej przed biedniejącymi rosyjskimi masami wizję odbudowy rosyjskiego imperium.

Amerykanie konsekwentnie sprzeciwiają się także dokończeniu budowy wartego 10 mld dol. gazociągu Nord Stream 2. Tu Rosjanie tradycyjnie mogą liczyć wprawdzie na gorące wsparcie Niemców – szef niemieckiej dyplomacji Heiko Maas ostrzegł w ubiegłym tygodniu, że wstrzymanie budowy kontrowersyjnego gazociągu może doprowadzić do wzrostu napięć na granicy rosyjsko-ukraińskiej. Mimo to wydaje się, że prezydent USA zamierza w tej kwestii kontynuować politykę Donalda Trumpa. Przeciwna decyzja oznaczałaby bowiem, że Rosja otrzymałaby jasny sygnał: może bezkarnie łamać prawo międzynarodowe i zbrojnie zajmować kolejne terytoria w Europie, byle opłacało się to również innym wielkim krajom na Starym Kontynencie. Tymczasem Gazprom chce już w tym roku ukończyć zaawansowany w ponad 90 proc. projekt.

Jakby tego było mało, w tym samym tygodniu, w którym Biden zaproponował Putinowi spotkanie, Waszyngton ogłosił nowe sankcje przeciw Rosji. Mają być one karą za cyberszpiegostwo i kolejne próby wpływania na wynik wyborów w USA. Według Białego Domu nowe sankcje mają również „zademonstrować determinację administracji w reagowaniu i powstrzymywaniu pełnego zakresu szkodliwej działalności zagranicznej Rosji". I chociaż nowe sankcje nie są szczególnie dotkliwe – dotyczą 32 osób, zakładają wydalenie 10 dyplomatów oraz obejmują rosyjskie obligacje, to w odpowiedzi Kreml wezwał na dywanik amerykańskiego ambasadora. I zapowiedział, że w odwecie wprowadzi podobne, „nieodwracalne" sankcje przeciw Ameryce. W czwartek wydalenie trzech pracowników rosyjskiej ambasady ogłosiła również Polska. Władimir Dżabarow, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Rady Federacji, zapowiedział już, że Kreml szykuje „nie mniej surową odpowiedź", ostrzegając, że „Ameryka jest daleko, a Rosja obok".

Zachód wciąż ma w rękawie potężnego jokera, czyli groźbę odłączenia Rosji od międzynarodowego systemu przekazywania płatności międzybankowych SWIFT. Sama Moskwa ostrzegła niedawno swoich przedsiębiorców, że ryzyko takiej sankcji jest realne. Problem w tym, że opracowany w pośpiechu przez Rosjan system międzynarodowych płatności MIR działa na razie tylko… w samej Rosji. Moskwa zmniejsza więc udział dolara w rezerwach walutowych i nie finansuje już amerykańskiego długu publicznego.

Gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy", nie było więc nawet jasne, czy prezydent Rosji zgodzi się na spotkanie z Bidenem. Jeśli zaś do niego dojdzie, to można niestety wątpić w szybkie i konkretne rezultaty. Ustabilizować sytuację na wschodzie Europy, w Azji i na Bliskim Wschodzie chciał bowiem każdy poprzedni prezydent USA. Czy sztuka ta uda się Bidenowi? Zobaczymy już w najbliższych tygodniach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

Z Miklósem Csesznekym, ekspertem ds. stosunków międzynarodowych,
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Zrozumieć Orbána

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Przylatuje Viktor Orbán do Warszawy, modli się na roratach z Polakami, a wśród moich rodaków nie brakuje takich, którzy go nie rozumieją...

MIKLÓS CSESZNEKY: Niezależnie od tego, jak wiele nas łączy: Węgrów i Polaków, nasze doświadczenia historyczne i pozycja geopolityczna są inne, a modus operandi Viktora Orbána można zrozumieć tylko w kontekście węgierskim, zwłaszcza jeśli chodzi o jego stosunek do religii i do Rosji.

Znamy głównie najnowszą historię Węgier i dlatego wielu Polaków dziwi się, że po doświadczeniach z Wielkim Bratem Orbán tak dobrze dogaduje się z Putinem.

Z Rosji dotarły na Węgry tylko dwie dobre rzeczy: literatura i muzyka, i większość Węgrów jest tego świadoma. Jednak ze względu na nasze położenie geograficzne nowy ekspansjonizm Moskwy nie jest dla nas zagrożeniem, podczas gdy ukraiński nacjonalizm zagraża bezpośrednio mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu i pośrednio samym Węgrom. Z tego powodu Orbán nie stanie się jednak marionetką Putina, po prostu używa go jako przeciwwagi w konflikcie z Kijowem i Brukselą.

FOT. OLIVIER HOSLET/POOL/AFP/EAST NEWS

Wielu Polaków jest jednak przekonanych, że problemy z Brukselą zawdzięcza wyłącznie sobie, czyli miękkiej dyktaturze, którą stworzył. Orbán jest dyktatorem?

Jeśli Viktor Orbán jest dyktatorem, to jest to bardzo osobliwa dyktatura, w której toleruje się nie tylko polityczny pluralizm, lecz także pozwala opozycji odebrać dyktatorowi stolicę kraju, wraz z innymi dużymi miastami, w wolnych i transparentnych wyborach. No i gdzie Trybunał Konstytucyjny może unieważniać ustawy, tak jak to właśnie uczynił w przypadku trzech niedawno uchwalonych aktów prawnych.

I kolejny zarzut często powtarzany: korupcja. Mówi się, że znajomi i rodzina Viktora Orbána żyją z unijnych i publicznych pieniędzy.

Na Węgrzech, podobnie jak we wszystkich krajach naszego regionu, poważnymi problemami są korupcja i patronat polityczny. Tak było zawsze od upadku komunizmu: socjaliści mieli własnych oligarchów, a Orbán cieszy się po prostu poparciem przedsiębiorców, którzy podzielają jego wizję i poglądy. Jednak pomimo oskarżeń medialnych nigdy nie udało się udowodnić, aby premier lub jego rodzina byli zamieszani w jakieś nielegalne praktyki.

A mityczny brak praworządności?

Fidesz, partia Orbána, ma wyjątkowo silny mandat demokratyczny, który pozwala jej nie tylko na stanowienie prawa, lecz także na zmianę konstytucji wedle jej uznania. Taki kredyt zaufania pociąga za sobą wielką odpowiedzialność polityczną i obawiam się, że rząd nie zawsze stawał na wysokości zadania. Częste zmiany konstytucji motywowane aktualnymi interesami politycznymi i pojedyncze próby stanowienia prawa ad hominem (tak jak w przypadku ustawy anty-Soros) z pewnością nie wzmocniły rządów prawa. Pomimo tych pokus – sporadycznych, przyznajmy – wymiar sprawiedliwości działa niezależnie, a Węgry nadal są państwem praworządności, choć nie doskonałej.

I wreszcie ta straszna orbánizacja mediów. To mit czy prawda?

Orbán bardzo wcześnie zrozumiał – jeszcze będąc w opozycji ok. 1993 r. – że posiadanie własnego imperium medialnego jest kluczowe, i stopniowo udało mu się je stworzyć. Co więcej, rządy mają tendencję do faworyzowania sprzyjających im mediów poprzez kontrakty reklamowe i inne pośrednie metody, a węgierski rząd nie był tu wyjątkiem. Tymczasem lewica, równolegle ze spadkiem popularności, została zmuszona – nie przez rząd, ale ze względów rentowności – do zlikwidowania lub sprzedaży paru tytułów. Jeśli jakiś blok ideologiczny przegrywa w kolejnych wyborach, to jego media również tracą czytelników. Naprawdę, pomimo nieznacznej przewagi mediów prorządowych, na rynku medialnym panuje rozsądna równowaga: opozycja ma drukowane gazety, portale cyfrowe, kanały radiowe i telewizyjne itp.

Polski mainstream kopiuje prasę światową, a ta utrzymuje, że nic nie zostało z demokraty i liberała, jakim Orbán był niegdyś, a na Węgrzech panuje reżim.

Węgierski premier ma wiele wad: jest przywódcą demagogicznym i konfliktowym, który bardziej ceni lojalność polityczną niż kompetencje zawodowe

eprasa.pl 06d3422e85

oraz nie przyjmuje dobrze krytyki, nawet jeśli jest ona konstruktywna. Jednak doświadczenie pokazuje, że jego zaangażowanie na rzecz demokracji jest niepodważalne. Podczas swojej długiej kariery politycznej Orbán poniósł kilka porażek wyborczych, ale zawsze akceptował demokratyczną wolę ludu. Oczywiście jeśli Orbán przegra w 2022 r., to jego partia będzie zaciekłą i nieubłaganą opozycją.

Mówi się też, że popularność zawdzięcza Sorosowi i stworzeniu mitu o jego wszechmocy...

Za medialnym pojedynkiem Orbána i Sorosa kryje się prawdziwy konflikt wizji świata. Magnat finansowy, naznaczony okropnościami nacjonalizmu i Holokaustu, walczy o otwarte globalne społeczeństwo bez granic i tożsamości, a premier, który dorastał w kraju bez prawdziwej suwerenności, opowiada się za Europą narodów i ich prawami do samostanowienia. Obaj mają skłonność do demonizowania drugiego i obaj chcą narzucić swoją wizję za wszelką cenę: Orbán nadużywa demokratycznego mandatu do wprowadzenia konkretnych przepisów przeciwko swojemu przeciwnikowi, podczas gdy Soros wykorzystuje swoje pieniądze i wpływy, aby podważyć demokratyczny mandat węgierskiego premiera.

Orbán jest oskarżany o wykorzystywanie religii do celów politycznych. Czy chrześcijaństwo odgrywa ważną rolę w życiu głowy państwa, czy to tylko polityczny marketing?

Religia odgrywa znacznie mniejszą rolę w społeczeństwie węgierskim niż w polskim. Większość Węgrów jest kulturowo chrześcijanami, ale wiara w Chrystusa jest już opcjonalnym dodatkiem. Obrona chrześcijaństwa przez Orbána oznacza dwie rzeczy: potwierdza historyczno-kulturowe dziedzictwo Zachodu w obliczu postępującej wielokulturowości i masowej imigracji. I jest też dowodem politycznej legitymizacji, czyli potwierdzaniem chrześcijańskich demokratycznych zasad, którymi kierowali się założyciele UE.

Pana zdaniem spotkanie Orbána, Morawieckiego i Salviniego to zwiastun prawdziwej zmiany w PE?

Jeśli Viktorowi Orbánowi uda się zjednoczyć europejską prawicę w jeden blok polityczny, to będzie to największy wyczyn w jego długiej karierze politycznej. Fakt, że zarówno Matteo Salvini, jak i polski premier przyjęli jego zaproszenie, wskazuje, że przynajmniej są otwarci na taką możliwość. Jednak przywódcy pozostałych partii, które potencjalnie mogłyby być częścią tego nowego sojuszu, nie przyjechali do Budapesztu i nawet nie skomentowali spotkania. Relacje między Ligą Salviniego a Fratelli d'Italia, na której czele stoi Giorgia Meloni, dobra znajoma Orbána, pozostają napięte. Oświadczenia trzech przywódców wydane po szczycie w Budapeszcie wiele mówią o wartościach i zasadach, ale brakuje w nich konkretów. Właściwie to mowa o osiągnięciu porozumienia, że nadal będą dążyć do porozumienia...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Hrabia Miklós Cseszneky** jest węgiersko-brytyjskim ekspertem ds. stosunków międzynarodowych, profesorem, poliglotą i trenerem. Był korespondentem wojennym, kierownikiem kampanii wyborczej i doradcą Węgierskiego Forum Demokratycznego. Współpracuje z mediami na całym świecie.*

REKLAMA

eprasa.pl 06d3422e85

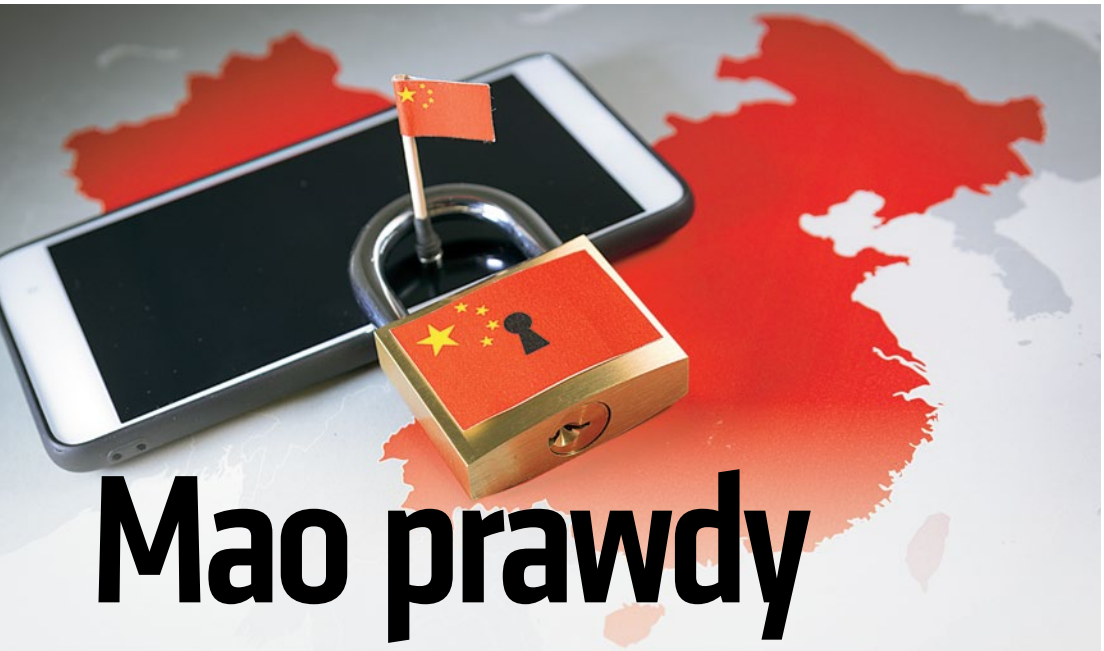

FOT. ADOBE STOCK

Mao prawdy

Piotr Włoczyk

Chińskie władze rozpoczynają wielką kampanię mającą wyłapać „historycznych nihilistów", którzy przypominają o zbrodniach komunistów. Historia czerwonych Chin ma być jednym wielkim ciągiem sukcesów, w którym nie ma miejsca na dziesiątki milionów ofiar systemu

Yi ze er shi – w wolnym tłumaczeniu z chińskiego oznacza „zamianę dzieci dla jedzenia". Był to bodaj najpotworniejszy efekt obłąkańczej polityki Mao Zedonga, która doprowadziła w Chinach w latach 1958–1961 do klęski głodu na biblijną skalę. W regionach najbardziej dotkniętych głodem zdarzały się miejsca, gdzie doprowadzeni do granicy desperacji wieśniacy uciekali się do aktów kanibalizmu, wymieniając się z sąsiadami swoimi zmarłymi dziećmi. W ten sposób nie musieli zjadać własnego potomstwa.

Szacuje się, że z powodu głodu zmarło wówczas od 20 mln nawet do 45 mln Chińczyków. Górna granica tych szacunków zbliżona jest do liczby ofiar drugiej wojny światowej. Głównym powodem była ambicja Mao, który w błyskawicznym tempie chciał uczynić z kraju potęgę przemysłową i rolniczą. Komuniści przeorali tradycyjną chińską wieś, odbierając chłopom ziemię i tworząc komuny, z których wiele było fatalnie zarządzanych przez ludzi niemających jakiegokolwiek pojęcia o rolnictwie. W czasie zbiorów odciągano miliony chłopów od zbiorów, każąc im wytapiać stal w przydomowych dymarkach. Mimo doniesień o kolejnych milionach ofiar Mao Zedong nie schodził z raz obranej drogi.

Zbrodnie „wielkiego skoku" (1958–1962) to najbardziej tragiczny rozdział rządów Komunistycznej Partii Chin (KPCh), ale nie jedyny, gdy wprowadzanie w życie marksizmu-maoizmu kończyło się horrorem dla rzesz Chińczyków. Kolejnym nieprzerwanym pasmem zbrodni był okres rewolucji kulturalnej 1966–1976.

CZERWONI E-DONOSICIELE

W dzisiejszych Chinach nie ma jednak miejsca na jakiekolwiek kwestionowanie kierowniczej roli KPCh. W lipcu tego roku przypada 100. rocznica utworzenia partii i władze komunistyczne bardzo starannie przygotowują się do tej wielkiej celebracji. Jednym z „prezentów", które Pekin szykuje dla partii, jest wyczyszczenie chińskiego Internetu z jakichkolwiek, nawet najmniejszych, wzmianek o zbrodniach chińskich komunistów.

Na początku kwietnia Urząd Cyberprzestrzeni Chin (CAC) ogłosił otwarcie systemu zgłaszania przez internautów ludzi, którzy odważyli się skrytykować KPCh. Jak tłumaczyła CAC w swoim komunikacie, kampania wymierzona jest w „historycznych nihilistów", ludzi, którzy obrażają „bohaterów narodowych", oraz tych, którzy zaprzeczają „wielkości i wyrafinowaniu kultury socjalistycznej". Paragraf chińskiego kodeksu karnego wymierzony w „zakłamywanie" historii partii mówi nawet o trzech latach więzienia.

Donosicielstwo nie jest oczywiście niczym nowym w systemie komunistycznym. W swojej klasycznej formie zjawisko to osiągnęło w Chinach apogeum w trakcie rewolucji kulturalnej, gdy miliony młodych ludzi były na każdym kroku zachęcane przez państwo do donoszenia na wszystkich, którzy kultywowali „stare zwyczaje" i w jakikolwiek sposób kwestionowali rządy Mao.

Jednak mimo olbrzymiego postępu, jaki w kwestiach gospodarczych poczyniły Chiny, donosicielstwo to w tym kraju wciąż niezawodny sposób walki władz z wszelkim nieposłuszeństwem. Na samym początku pandemii Pekin uruchomił specjalne infolinie, za pomocą których można było zgłaszać wszelkie podejrzane przypadki. Każdy sprawdzony donos nagradzany był kwotą kilkudziesięciu dolarów. Równolegle w Hongkongu wprowadzono system donoszenia na ludzi, którym nie podoba się nowe prawo o bezpieczeństwie narodowym. Celem nowych regulacji jest odebranie temu terytorium resztek niezależności od Pekinu.

70 DO 30

Torbjørn Færøvik to norweski historyk specjalizujący się w dziejach komunistycznych Chin, autor książki „Mao. Cesarstwo cierpienia", który od lat przygląda się procesowi fałszowania przez Pekin swojej przeszłości. Czy Chińczycy zdają sobie sprawę, do czego doprowadził człowiek, którego wielki portret do dziś wisi nad główną bramą do Zakazanego Miasta?

– Chińczycy nie mają pojęcia o milionach ofiar wielkiego skoku – powiedział w rozmowie z „Do Rzeczy" Torbjørn Færøvik. – Historia, jako nauka, jest w Chinach w tragicznym stanie. Historię dyktuje partia. W książkach po prostu przeskakuje się ten okres, tak samo jak

eprasa.pl 06d3422e85

rewolucję kulturalną. Generalnie młodzi Chińczycy nie mają prawa usłyszeć prawdy o wielkim skoku, o milionach ofiar głodu. Bardzo się dziwią, gdy mówię im o tym. Tymczasem wszyscy dobrze wiemy, czym grozi nieznajomość historii...

W Chinach Xi Jinpinga bardzo niewiele jest miejsc, które idą w poprzek komunistycznej propagandzie. W prowincji Henan, jednym z najbardziej dotkniętych głodem miejsc w ChRL, w jednej ze wsi na środku pola jeszcze do niedawna stał niewielki pomnik zbudowany przez pewnego chłopa ku pamięci milionów ofiar szaleństwa Mao. – Na poziomie państwowym nie ma jednak szans na upamiętnienie milionów ofiar wielkiego skoku – mówi Færøvik. – Zaszkodziłoby to bowiem partii, stawiając w złym świetle Mao. Władze ChRL muszą bronić „pięknej" historii partii. Bo jeżeli przeszłość przestanie być wspaniała, to dlaczego partia miałaby dalej rządzić krajem?

Chińscy komuniści w latach 80. w niezwykle innowacyjny sposób rozwiązali problem „dziedzictwa" Mao. KPCh uznała wówczas oficjalnie, że jej pierwszego przewodniczącego należy oceniać w 70 proc. pozytywnie, a w 30 proc. negatywnie. Te proporcje wciąż są uznawane za oficjalną wykładnię.

Historykiem, który z wielkim niepokojem przygląda się temu, co KPCh robi z wizją dziejów Chin, jest dr Zehao Zhou, wykładowca York College of Pennsylvania. Specjalizuje się on w najnowszej historii Chin, a jego praca doktorska dotyczyła rewolucji kulturalnej. Doktor Zehao Zhou problem ten zna jednak nie tylko z książek, lecz także z życia codziennego. Urodzony w 1955 r. Zhou dorastał w Szanghaju w tzw. koncesji francuskiej – dzielnicy, która uważana była przez komunistów za enklawę „burżujów". Jego rodzice byli wykształconymi ludźmi, co w czasach rewolucji kulturalnej sprowadziło na siedmioosobową rodzinę Zhou tragedię.

– Dorastałem, widząc, jak mój ojciec jest cały czas poddawany krytyce, mieszany z błotem, jak sąsiedzi go bez pardonu inwigilują – powiedział „Do Rzeczy" dr Zehao Zhou. – Publicznie go upokarzano na sąsiedzkich spotkaniach lokalnego czerwonego komitetu. W końcu ogłoszono, że trzeba go cały czas pilnować, więc nigdy nie mieliśmy spokoju. W każdej chwili ktoś mógł wejść do naszego domu i spokojnie przysłuchiwać się rozmowom, które ojciec toczył z naszymi gośćmi. I nic nie można było z tym zrobić.

Doktor Zehao Zhou jako nastolatek trafił do obozu „reedukacyjnego", ale w 1987 r. udało mu się wyjechać do USA. Choć trudno w to uwierzyć, to podobnie przetrąconą młodość ma sam Xi Jinping (rocznik 1953), którego ojciec był bliskim współpracownikiem Mao, ale ostatecznie sam został poddany czystce.

– Xi Jinping stracił kilka lat życia, wegetując w jaskini na prowincji, ale nie jest w stanie zdobyć się na potępienie zbrodni Mao. Tu musi działać jakiś fascynujący mechanizm psychologiczny – mówi dr Zehao Zhou. – Dziesiątki milionów Chińczyków mają przetrącone życiorysy przez zbrodniczą kampanię Mao. Jej efekty widać po dziś dzień. Obecna generacja chińskich przywódców ma umysły ukształtowane w czasie rewolucji kulturalnej. Uważają, że ten okres to tylko niewielkie odchylenie od wspaniałej historii komunizmu. Niestety nawet dziś w Chinach nie wolno badać tego rozdziału. Mao zniszczył wówczas poczucie moralności. Dziś chińskie społeczeństwo jest socjopatyczne. Tam już nie ma sumienia, tam nie ma już jakichkolwiek skrupułów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

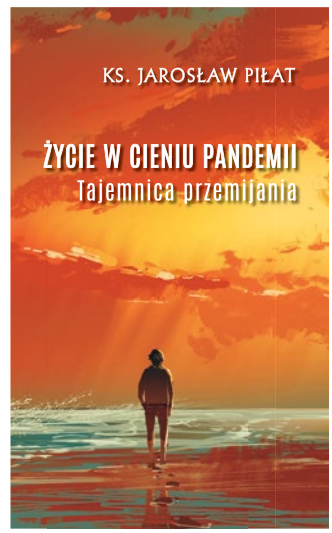

Wydawnictwo bernardinum POLECA:

KS. JAROSŁAW PIŁAT
ŻYCIE W CIENIU PANDEMII

Aktualny komentarz duchowy do obecnego czasu!

Lektura tej książki niesie –
używając słów św. Franciszka z Asyżu –
światło w mroku, nadzieję w strapieniu,
radość w smutku.

Wydawnictwo „Bernardinum" Sp. z o.o.
tel. +48 58 531 64 81, kom. 662 014 683
www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl; zakupy@bernardinum.com.pl

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez
Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl 06d3422e85

Cios w klasę średnią

Łukasz Warzecha

PiS od samego początku postawił na redystrybucję – takie są korzenie programu „500+" – i wprost stwierdza, że budowany przez tę partię ład ma być oparty na socjalistycznej idei równości

Dziwna historia z tym Nowym Ładem. Pakiet – nawet nie całkiem wiadomo czego, samych pomysłów? założeń do ustaw? gotowych ustaw? – miał się pojawić już jakiś czas temu oficjalnie. Ba, była nawet wyznaczona konkretna data: sobota 20 marca. I nic. Na razie dostajemy jedynie przecieki, na podstawie których można sobie wyrobić wyłącznie ogólne zdanie co do kierunku zmian.

Z tymi przeciekami to również ciekawa sprawa. Wziąwszy pod uwagę hipotetyczny radykalizm niektórych propozycji, można by uznać, że są to typowe balony próbne: wypuszcza się w przestrzeń publiczną jakiś pomysł, potem obserwuje się jego przyjęcie, czasem jeszcze robi wewnętrzne badania, by następnie ostateczny kształt propozycji do nich dostosować.

Był jednak jeszcze drugi epizod związany z przeciekami: prezentacja założeń Nowego Ładu współkoalicjantom miała zostać wykorzystana do sprawdzenia, kto nie zachowuje w obozie rządzącym szczelności. Część obserwatorów twierdziła, że niepewnym ogniwem okazał się wiceminister aktywów państwowych Janusz Kowalski z Solidarnej Polski i z tego powodu stracił stanowisko. SP tego miejsca w rządzie dotąd nie odzyskała, a przecież Ministerstwo Aktywów Państwowych jest kluczowe z punktu widzenia kontroli nad obsadą spółek Skarbu Państwa. Inna sprawa, że i tak w zasadzie niepodzielnie rządzi nim Jacek Sasin.

Tu pojawia się i taka hipoteza, że Nowy Ład będzie jak yeti, o którym wszyscy mówią, ale nikt go nie widział i nikt go nie zobaczy. Ewentualnie jest jeszcze możliwość, że co prawda zostanie zaprezentowany, ale wyłącznie w formie ogólnikowych zapowiedzi i pomysłów, z których część później wcale nie zostanie zrealizowana, część zostanie, ale w mocno zmienionej formie, a jedynie mała część w formie oryginalnej. Na prawdopodobieństwo takiego scenariusza mógłby wskazywać los Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Dziś już mało kto pamięta tę efektowną prezentację ówczesnego wicepremiera Mateusza Morawieckiego w PowerPoincie, przygotowaną w pierwszej połowie 2016 r. Zakładała ona m.in. stworzenie w całym kraju klastrów przedsiębiorczości czy reformę instytucji naukowo-badawczych. Dziś próżno szukać jakichkolwiek śladów tamtego programu. Szczególnie złośliwi mogliby też przypomnieć o zapowiedzi miliona aut elektrycznych na polskich drogach w 2025 r.

POTRZEBA NOWEGO OTWARCIA

Tyle że mogą to być analogie chybione, gdyż okoliczności są dzisiaj inne. Po pierwsze – PiS, skonfliktowany ze

eprasa.pl 06d3422e85

FOT. ADOBE STOCK

swoimi koalicjantami do tego stopnia, że scenariusz przyspieszonych wyborów wydaje się coraz realniejszy, potrzebuje gwałtownego przyspieszenia jak kania dżdżu. Przyspieszone wybory niosłyby za sobą duże ryzyko, wziąwszy pod uwagę, że notowania samego PiS plasują się już regularnie w okolicach 30 proc., za nisko na większość. Skupienie się wokół Nowego Ładu, nawet gdyby było w dużej mierze jałowe i czysto retoryczne, byłoby ucieczką do przodu. Jarosław Kaczyński może też liczyć, że kolejny raz udałoby się osiągnąć efekt z lat 2015 i 2019: my mamy konkretne propozycje, a opozycja umie tylko krzyczeć: „Precz z PiS!".

Po drugie – Nowego Ładu potrzebuje sam Morawiecki, który jest – co prawda – niemal ostentacyjnie wspierany przez Kaczyńskiego, ale jednocześnie wie, że to jego jedyna opoka. To Morawiecki firmuje rządową strategię antyepidemiczną, więc obciążenia idą na jego konto, a jego wrogowie chętnie to wykorzystają. Osobiście potrzebuje nowego otwarcia.

Po trzecie – fiskus rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, a Zjednoczona Prawica – wyborców. Jeżeli minister finansów Tadeusz Kościński stwierdza, że zmiany w systemie podatkowym będą „neutralne" dla budżetu, to należy na tę deklarację patrzeć z umiarkowanym zaufaniem. Na pewno w każdym razie budżet na tym nie straci – przynajmniej w zamierzeniach, bo w rzeczywistości, jak wiadomo, kalkulacje z Excela często nie przekładają się na realia. Zarazem agresywna redystrybucja jest najzwyczajniej sposobem na kupowanie słabiej sobie radzących wyborców. Nikt chyba nie ma wątpliwości, że dla PiS to oni są oczkiem w głowie, a nie ci bardziej przedsiębiorczy i lepiej sytuowani.

Po czwarte wreszcie – wprowadzeniu Nowego Ładu sprzyja kontekst globalny. Tylko ktoś całkowicie ślepy mógłby nie dostrzec efektów przedłużanych w nieskończoność lockdownów: one nie uderzają przede wszystkim ani w wielkie korporacje – wręcz przeciwnie, te w niektórych sektorach, takich jak IT, mogą przeżywać wręcz boom – ani w podmioty państwowe; niszczą przede wszystkim klasę średnią oraz małe i średnie przedsiębiorstwa. Według szacunków Pew Research Center, opartych na danych Banku Światowego, w 2020 r. grupa ludzi o wysokich dochodach zmalała o 62 mln osób, o dochodach wyższych średnich – o 36 mln, o średnich – o 54 mln, podczas gdy grupa osób o dochodach niskich wzrosła o 21 mln, a ubogich – aż o 131 mln. W sumie osób o średnich dochodach mamy na świecie po pierwszym – niepełnym przecież – roku pandemii aż o 90 mln mniej! A to dopiero początek.

KLASA ŚREDNIA, CZYLI KTO

Bez klasy średniej – to zasada znana co najmniej od czasów Arystotelesa – nie może dobrze funkcjonować żadne państwo. Zarazem jednak klasa średnia bywa dla rządzących kłopotliwa. Z naprawdę bogatymi zawsze można się ułożyć; oni zresztą od nadmiernych obciążeń zawsze zdołają uciec. Ubogich z kolei łatwo kupić obietnicami lub transferami socjalnymi. Największy kłopot jest z tymi, którzy już coś mają i zaczęli odczuwać potrzebę ochrony tego swojego stanu posiadania, choćby niewielkiego. Oni mogą oczekiwać na przykład stabilności prawa albo tego, że władza nie będzie ich dociskać podatkami. Stawiają żądania, a z czasem może ich być wystarczająco wielu, żeby dało się to odczuć przy wyborach.

Pandemia dała wielu rządom pretekst do tego, żeby się z tym problemem uporać w białych rękawiczkach. To klasa średnia zostanie najbardziej poszkodowana, bo to ona przede wszystkim żyje z sektora usług, najbardziej poturbowanego, a przy tym można ją będzie docisnąć podatkowo, żeby poprzez redystrybucję zapewnić sobie głosy uboższych.

Trzeba tu wyjaśnić nieporozumienia wokół samego pojęcia klasy średniej. Największym z nich jest przeświadczenie, że mówimy o osobach zarabiających po prostu średnią krajową. Byłoby to zatem obecnie ok. 5,5 tys. zł brutto. To jednak słaby wskaźnik – lepszym jest mediana, czyli punkt, w którym po obu stronach jest taka sama liczba danych. Ta wynosi nieco mniej, bo ok. 5,1 tys. Gdyby jednak przyjąć takie kryterium, trzeba by uznać, że ktoś zarabiający dwukrotność tej sumy, a więc ok. 10 tys. brutto, jest już bogaczem. I tak wydaje się sądzić ogromna liczba ludzi. W niedawnym sondażu dla „Super Expressu" aż 46 proc. badanych uznało, że powyżej 120 tys. zł rocznie (czyli właśnie 10 tys. miesięcznie) powinno się płacić 50 proc. podatku. Można się zastanawiać, czy respondenci w ogóle rozumieją, jak działają podatki i czy mają świadomość, że mowa jest o 50 proc. od zarobków powyżej 120 tys., a nie 50 proc. od wszystkiego – ale pomińmy to. Wiadomo, że świadomość ekonomiczna jest w Polsce dramatycznie niska.

Jednak zarobki rzędu 10 tys. zł brutto, jakkolwiek ogromnej części Polaków mogą się wydawać zawrotne, nie oznaczają wcale bogactwa. Szczególnie w dużych miastach i w warunkach coraz bardziej dającej się we znaki inflacji. Klasę średnią lepiej zatem definiować przez czynniki socjologiczne. Można by powiedzieć, że to ludzie, którzy przede wszystkim byli w stanie zgromadzić jakieś znaczące oszczędności. Tymczasem żadnych oszczędności – według świeżego badania Krajowego Rejestru Długów – nie ma aż 25 proc. Polaków, a tylko 13 proc. deklaruje zasoby na tyle duże, że byliby w stanie utrzymywać się bez pracy przynajmniej rok. I to jest być może najtrafniejsze tutaj kryterium finansowe. Klasa średnia to ci, którzy posiadają jakąś trwałą wartość – nieruchomość, względnie nowy samochód; którzy są w stanie zapewnić swojej rodzinie coroczne wakacje, niekoniecznie w kraju, a ich dzieci nie mają problemów materialnych.

Ta grupa ludzi nie jest przesadnie liczna. W drugi próg podatkowy wpada w Polsce ok. 1,5 mln osób – ale nie wliczamy tu tych, którzy prowadzą działalność gospodarczą, bo oni rozliczają się na innych zasadach. Tyle że progi podatkowe nie były waloryzowane od 11 lat i granica nadal wynosi nieco ponad 85 tys. zł

eprasa.pl 06d3422e85

rocznie, a więc zaledwie trochę ponad 7 tys. zł opodatkowanego dochodu miesięcznie. Przy ostatnim rozliczeniu podatkowym próg przeskoczyło kolejne 300 tys. Polaków, którzy od zarobków powyżej owych 85 tys. muszą oddać fiskusowi już nie 17, ale aż 32 proc. swoich dochodów. Gdyby próg waloryzowano wraz ze wzrostem przeciętnego wynagrodzenia od momentu jego wprowadzenia, powinien się dzisiaj sytuować ok. 140 tys. zł.

JESZCZE WIĘCEJ „SPRAWIEDLIWOŚCI"

Formalnie mamy tylko dwie stawki podatku osobistego, ale faktycznie kuchennymi drzwiami rządzący wprowadzili jakiś czas temu drugi próg i trzecią stawkę, nazywając ją po swojemu nie podatkiem, lecz daniną solidarnościową. Pożera ona dodatkowo 4 proc. dochodów powyżej 1 mln zł rocznie. W tę pułapkę wpadło ok. 30 tys. osób.

Tu dochodzimy do tego, co może się w Nowym Ładzie znaleźć i jakie będzie mieć skutki. Jeśli chodzi o system podatków osobistych, to od dawna pod ostrzałem są dwie niezmieniane od lat wartości, czyli właśnie wysokość progu podatkowego i kwota wolna, z którą PiS pograł wyjątkowo nieładnie. Wykonując wyrok Trybunału Konstytucyjnego, faktycznie podniesiono ją do 8 tys. zł, ale tylko dla osób zarabiających właśnie owe 8 tys. zł rocznie – czyli w praktyce dla nikogo. Kwota wolna maleje stopniowo wraz ze wzrostem dochodu, zaś od 127 tys. zł rocznie znika kompletnie.

Najwięcej szumu narobił zatem przeciek o wzroście kwoty wolnej w Nowym Ładzie do 30 tys. zł, ale to niemal na pewno się nie stanie. Tę wieść dementował już zresztą minister Kościński, mówiąc, że może będzie to 15 tys. A i tu pojawia się pytanie, czy przypadkiem znów nie wejdzie do gry ostra degresywność i „bogacze" zostaną nadal bez żadnej kwoty wolnej. Wszak słyszeliśmy już, że Nowy Ład ma być realizacją zasady jeszcze większej „sprawiedliwości społecznej".

Drugi przeciek dotyczy waloryzacji progu podatkowego – wprawdzie nie do 140, ale do 130 tys. Brzmi to atrakcyjnie i jest mocno spóźnione, ale zanim za bardzo się ucieszymy, trzeba spojrzeć na te mniej przyjemne zapowiedzi.

Dotyczą one dwóch kwestii. Pierwsza, o której ostatnio mówi się mniej, to obłożenie pełnym opodatkowaniem na ZUS (jest to bowiem nic innego jak rodzaj podatku) wszystkich umów cywilnoprawnych (zwanych propagandowo „śmieciowymi"). Oznaczałoby to, że niezależnie od tego, czy zleceniobiorca ma gdzieś indziej etat, czy zawiera dwie umowy-zlecenia czy 10 – od każdej musi zostać odprowadzony pełen ZUS-owski podatek. Konsekwencje dla wynagrodzenia netto będą gigantyczne. Mowa była też o ozusowaniu umów o dzieło, i tak już rzadko stosowanych z powodu notorycznego ich kwestionowania przez ZUS. Gdy po raz pierwszy pojawiły się takie plany, wywodzono – słusznie – że specyfika tych umów, o ile są stosowane zgodnie z przeznaczeniem, sprawia, że nałożenie na nie podatku ZUS-owskiego jest trudne, a nawet niewykonalne. Nie mówiąc o tym, że dla przedstawicieli wolnych zawodów twórczych oznaczałoby to skokowe zmniejszenie dochodu o ponad 20 proc.

Największym ciosem dla podatników prowadzących działalność gospodarczą może być jednak urealnienie składki ZUS i konieczność jej opłacania od faktycznego dochodu, a nie – jak obecnie – od minimalnej podstawy (60 proc. prognozowanego przeciętnego wynagrodzenia miesięcznego w danym roku, abstrahując od preferencyjnych warunków). Sen z powiek wielu osobom może też spędzać wzmianka o ograniczeniu albo całkowitym zlikwidowaniu możliwości rozliczania się przez przedsiębiorcę według liniowej stawki 19-procentowej.

Nietrudno sobie wyobrazić, jakie byłoby uzasadnienie takich zmian. Po pierwsze – usłyszelibyśmy zapewne o konieczności dofinansowania służby zdrowia w erze pandemicznej i postpandemicznej. Tyle że żonglowanie miliardowymi sumami to czysta demagogia. Od tego, ile pieniędzy miałoby na służbę zdrowia pójść, ważniejsze jest to, jak miałaby ona zostać zorganizowana – a tutaj jakichś wyjątkowych pomysłów reformatorskich nie widać.

Po drugie – dowiedzielibyśmy się, że za sprawą rozwiązań takich jak ZUS-owski ryczałt albo liniowa stawka podatkowa system podatkowy w Polsce jest w istocie degresywny i jest to niesprawiedliwe.

Tu dochodzimy do istoty sprawy, bo w istocie mówimy o sporze pomiędzy wizjami gospodarki, a nawet więcej: podstawy społecznego ładu. PiS od samego początku postawił na redystrybucję – takie są korzenie programu „500+" – i wprost stwierdza, że budowany przez tę partię ład ma być oparty na socjalistycznej idei równości. Wszak – jak wywodził w słynnym wystąpieniu podczas kampanii parlamentarnej w 2019 r. sam premier Morawiecki – myśl socjalistyczna jest w PiS głęboko obecna.

W tym modelu obywatelom państwo pozwala się bogacić tylko do pewnego minimum, gdy zaś znajdą się powyżej tej granicy, wkracza i odbiera im większość zarobionych pieniędzy. To model wprost zniechęcający do wydajniejszej pracy, zniechęcający dla wyżej wykwalifikowanych specjalistów i dyskryminujący klasę średnią. Szczególnie gdy członkowie tych grup zadadzą sobie pytanie, co właściwie państwo im za te zabrane pieniądze zapewnia.

Jego zwolennicy będą twierdzić, że redystrybucja wspiera popyt wewnętrzny, bo ubożsi, do których trafiają pieniądze od bogatszych, szybciej je wydadzą. W krótkim okresie to nawet może być prawdą. Problem w tym, że w tym modelu szybko znikają lepiej zarabiający – i jedną z konsekwencji Nowego Ładu może być znaczący wzrost emigracji – a ludzie przestają oszczędzać, bo zwyczajnie nie mają z czego. Tymczasem oszczędności obywateli – co również mówił wielokrotnie premier Morawiecki – są warunkiem sprawnego rozwoju gospodarczego, m.in. dlatego, że to dzięki nim banki mogą prowadzić akcję kredytową, niezbędną dla większości zwłaszcza małych i średnich firm.

Pamiętajmy jednak, że Nowy Ład będzie musiał być przeprowadzony przez Sejm. Tam może go wesprzeć Lewica. Ale czy za socjalistycznymi z ducha rozwiązaniami opowie się też Porozumienie? Czy Jarosław Gowin wsparłby na przykład likwidację limitu 30-krotności przy składkach na ZUS, przeciw czemu swego czasu ostro i skutecznie protestował? Czy wsparłaby go Solidarna Polska, już na poważnie z PiS pogryziona? Czy wreszcie wszystkie agresywnie redystrybucyjne pomysły Mateusza Morawieckiego zyskałyby poparcie w samym PiS, nawet gdyby naciskał na to Jarosław Kaczyński? Tego nie wiemy.

Jeśli zaś sięgniemy po Rooseveltowski Nowy Ład (New Deal), do którego bez wątpienia pan premier się odwołuje, to wbrew mitologii był to przecież jeden z najgorszych gospodarczo programów w historii. Ale to już temat na całkiem inną opowieść.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wicemistrzowie nieprzejrzystości

Okazało się, że jeśli Polsce uda się wyprzedzić jeszcze tylko Cypr, to znajdzie się na pierwszym miejscu wśród państw z najbardziej nieprzejrzystymi finansami publicznymi w całutkiej UE. A na razie musimy się zadowalać drugą lokatą.

Chachmęcenie w finansach publicznych ma u nas długą tradycję, ale bez dwóch zdań sztuka ta – czy raczej sztuczka – szczególnie bujnie rozwinęła się ostatnio. Najkrócej mówiąc, z danych przesłanych Komisji Europejskiej przez rząd Rzeczypospolitej Polskiej ma wynikać, że różnica między prawdziwym obrazem budżetu centralnego naszego państwa a tym, nad czym kontrolę ma polski parlament, w roku 2020 wyniosła już aż 6,6 proc., czyli aż 150 mld zł.

Z pewnością do ukrywania wydatków w zakamarkach publicznej kasy zachęca rządzących polityków zapisana w naszej konstytucji niemożność zadłużenia państwa ponad trzy piąte, czyli 60 proc. produktu krajowego brutto, do której to granicy szybko się zbliżamy, a według unijnej metodologii liczenia tegoż długu zapewne już ją przekroczyliśmy. A przekroczenie tej granicy według metodologii polskiej sprowadziłoby na rządzących konieczność szybkiego zrównoważenia budżetu państwa, czyli odpowiednio zdecydowanego obniżenia wydatków lub/i zwiększania przychodów, a więc podatków; w przeciwnym razie groziłaby im odpowiedzialność wobec prawa.

Stąd się bierze owa ostatnio szybko rosnąca (w związku z zadłużaniem państwa na prowadzoną w taki, a nie inny sposób walkę z COVID-19) rozpiętość między faktycznym zadłużeniem finansów publicznych Polski liczonym właśnie według metodologii unijnej a zadłużeniem finansów Polski liczonym według metodologii polskiej, któraż to metodologia (co za przypadek!) niestety na takie zabiegi pozwala. I o ile różnica ta na koniec 2015 r. wynosiła 46,1 mld zł, a na koniec 2019 r. – 54,4 mld zł, o tyle na koniec 2020 r. od kwot tych była już aż kilka razy wyższa. W znacznej mierze za sprawą finansowania wielkich tarcz antykryzysowych nie bezpośrednio z kasy państwa, lecz przez Polski Fundusz Rozwoju i Bank Gospodarstwa Krajowego.

Jaka jest na to rada? Cóż, najlepiej mniej się zadłużać, a jeszcze lepiej – w ogóle się nie zadłużać, zwłaszcza podczas koniunktury, wzorem choćby Niemiec, choćby z 2018 r. (i 13 innych państw UE; nie było wśród nich Polski) – tak by według żadnej metodologii nie przekraczać ustalonej w konstytucji bariery długu. Albo inaczej – przekonać odpowiednio liczną reprezentację parlamentarną do wykreślenia z konstytucji zapisu o zakazie zadłużania państwa. A potem albo nie zadłużać państwa ponad miarę, albo nadal je zadłużać ponad miarę i czekać, aż poziom najwyższego możliwego do sfinansowania poziomu długu publicznego Polski wyznaczą „rynki finansowe". A kiedy już to uczynią – zbankrutować. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Maseczki dla tresury

W ubiegłym tygodniu jednym z najchętniej cytowanych wywiadów była rozmowa Marcina Zaborskiego z RMF z prof. Miłoszem Parczewskim, członkiem Rady Medycznej przy szefie rządu. Nic dziwnego – lekarz zakaźnik z rozbrajającą szczerością wyznał, że nie ma żadnych badań, które by wskazywały, iż zamknięcie salonów fryzjerskich ma jakikolwiek wpływ na zakażenia, a wiele państw nigdy ich nie zamykało. Po czym wskazał, że jedyne ciekawe badanie, jakie się ostatnio pojawiło, dotyczyło wpływu noszenia maseczek na wolnym powietrzu na rozwój epidemii i wynikało z niego, że ten wpływ jest statystycznie pomijalny. „Więc noszenie masek na dworze jest bez sensu" – oznajmił prof. Parczewski.

Rząd powinien nas zwolnić z obowiązku zakrywania nosa i ust na powietrzu

Po tej rozmowie – w warunkach racjonalnie działającego państwa i władzy – Rada Ministrów powinna natychmiast wydać nowelizację rozporządzenia i zwolnić nas wszystkich z uciążliwego oraz jako żywo bezsensownego obowiązku zakrywania nosa i ust na wolnym powietrzu. Oraz oczywiście otworzyć salony fryzjerskie. A najlepiej wszystkie przybytki, gdzie dba się o zdrowie, bo ma to ogromne znaczenie dla wyrabiania odporności także na zakażenie koronawirusem – to akurat badania pokazują niezbicie.

Tymczasem nic się nie dzieje. I to już jest rzeczywistość skrajnie schizofreniczna: członek rady medycznej, teoretycznie najważniejszego ciała doradczego, kształtującego sposób walki z epidemią, a przecież i tak skażonego wąskim, lekarskim spojrzeniem na sprawy, jasno oznajmia, że noszenie maseczek na dworze mija się z celem, a rząd trwa przy swoim. Ba, nawet tej wypowiedzi nie komentuje.

Można sobie zatem zadać pytanie, dlaczego się tak dzieje. I trudno tutaj znaleźć odpowiedź dla rządzących łaskawą. Wygląda na to, że radą medyczną szef resortu zdrowia podpierać się lubi tylko wtedy, gdy rada mówi to, co mu się podoba. Dlaczego akurat w sprawie maseczek postanowił udawać głuchego? Przecież upieranie się przy nich nie tylko nie przynosi żadnej korzyści i jest uciążliwe, lecz także w wielu przypadkach może zwyczajnie szkodzić – jeśli spojrzeć na to, w jakim stanie są często noszone przez ludzi maseczki.

Odpowiedzi trzeba chyba szukać w relacji jednego z członków rady, który już jakiś czas temu wyznał, że pan minister tłumaczył, iż maseczki muszą być „ze względów behawioralnych". Czyli dla tresury – żeby nieustannie przypominać nam o zagrożeniu.

Ja nie cierpię być przez władzę tresowany. Nie wiem, jak Państwo. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

TEST „DO RZECZY": ZASILACZ AWARYJNY GREEN CELL 2000VA 1400W

Banalnie prosta obsługa, niezła wydajność, dobry stosunek ceny do możliwości oraz nowoczesny design – to największe zalety zasilacza awaryjnego 2000VA 1400W Power Proof polskiej firmy Green Cell.

Pandemia sprawiła, że nagle całe życie przeniosło się do domów. A ponieważ nadchodzi sezon burz i awarii elektrycznych, to aby mieć pewność, że nawet w razie chwilowej przerwy w dostawie prądu telekonferencja z szefem na pewno się odbędzie, a dziecko nie opuści kluczowego sprawdzianu, warto zainwestować w zasilacz awaryjny. Green Cell 2000VA 1400W Power Proof to zasilacz o mocy pozornej 2000VA i mocy pozorowanej 1400W, dzięki czemu w razie nagłej awarii prądu jest w stanie podtrzymać zasilanie komputera lub innych sprzętów niezbędnych w erze telepracy i zdalnej edukacji.

Solidna obudowa typu tower (19,8 cm wysokości, 15,8 cm szerokości, 38 cm głębokości) z czytelnym, podświetlanym na zielono wyświetlaczem LCD sprawia, że testowany model – jak na UPS-a – wygląda nieźle. Dzięki nowoczesnemu designowi sprawia, że urządzenie powinno pasować nie tylko do serwerowni, lecz także do pokoju biurowego. UPS-a można też schować na półkę szafki telewizyjnej w salonie i również wstydu nie będzie. Z tyłu obudowy znajdują się m.in. dwa gniazdka Schuko (do nich można podłączyć „zwykłe" wtyczki od routera, komputera, drukarki etc.), dwie wtyczki typu IEC oraz wentylator. Ten ostatni uruchamia się wyłącznie wówczas, gdy UPS przechodzi na pracę w trybie akumulatorowym, i dopiero wtedy urządzenie mocno słychać. Z tyłu są też gniazda RJ-45 oraz USB. Gdy tylko wraca stałe zasilanie, Green Cell 2000VA 1400W Power Proof pracuje bardzo cicho. Plusem testowanego UPS-a jest deklarowany przez producenta bardzo krótki czas przełączania w tryb zasilania akumulatorowego, który wynosi od 2 do 6 ms.

UPS może być wykorzystany do ochrony komputerów, stacji roboczych, serwerów NAS czy systemu alarmowego. Zgromadzona energia wystarcza na podtrzymanie wydajnego peceta wraz z monitorami przez mniej więcej 10 min, co pozwala na spokojne zakończenie i zapisanie wykonywanych zadań oraz wylogowanie się bez niemiłych konsekwencji zarówno dla efektów pracy, jak i dla samego komputera. Do UPS-a można też np. jednocześnie podłączyć dwa pecety. W razie awarii prądu dodatkowych kilka minut zasilania może uratować zarówno ostatnie zmiany w służbowej prezentacji, jak i pozwolić na dokończenie ostatniego zdania na klasówce z polskiego i grzeczne wyjaśnienie szefowi/nauczycielowi, dlaczego za chwilę zmieni się status na off-line.

Jeśli rodzina pracuje na laptopach, które same mogą na baterii wytrzymać kilka godzin, to do zasilacza awaryjnego można podpiąć np. tylko router. W takiej sytuacji w razie awarii prądu Green Cell Power Proof UPS09 podtrzyma domowy dostęp do Internetu przez dobrych kilka godzin (w naszym teście UPS podtrzymał zasilanie routera przez ponad 3 godz.). Po zakończeniu zdalnej nauki lub telepracy Green Cell Power Proof UPS09 może pozwolić również na podładowanie smartfonów, a także podtrzymanie pracy konsoli do gier albo telewizora w kluczowej końcówce meczu mistrzostw w piłce nożnej. Czas ładowania do pełna rozładowanego UPS-a wynosi od 6 do 8 godz.

Testowany model zapewnia także podłączonym urządzeniem ochronę przeciwzwarciową i przeciwprzepięciową, a także chroni je przed zakłóceniami w sieci. Plusem jest też czysta fala sinusoidalna, która wyróżnia droższe UPS-y i umożliwia bezpieczne zasilanie wrażliwych urządzeń elektronicznych.

Cena: 749 zł. ©℗

Jacek Przybylski

MASECZKA OD RAPERA

COVID-19 niestety nie odpuszcza. Na rynku pojawiła się więc maseczka firmy Honeywell, w której projektowaniu udział wzięli m.in. znany raper will.i.am oraz Jose Fernandez, który wcześniej stworzył skafandry kosmiczne dla firmy SpaceX oraz kostiumy dla hollywoodzkich superbohaterów. Futurystycznie wyglądająca Xupermask, czyli gadżet będący tak naprawdę mobilnym oczyszczaczem powietrza, wyposażona jest w filtry HEPA, dwa wentylatory z trzema prędkościami nadmuchu, oświetlenie LED oraz słuchawki z aktywną redukcją szumów. Cena: 299 dol., czyli równowartość ok. 1,1 tys. zł. Do wyboru są dwa rozmiary i dwa wzory kolorystyczne: czarno-pomarańczowy oraz biało-szaro-pomarańczowy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ROBOODKURZACZ Z ODŚWIEŻACZEM POWIETRZA

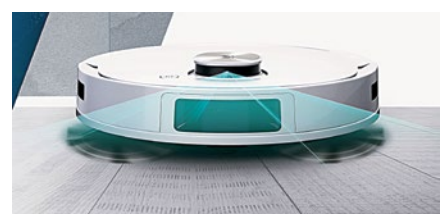

Ecovacs Deebot T9 to najnowszy model robota sprzątającego. Samodzielnie odkurza i mopuje, a śmieci zostawia w stacji dokującej o pojemności 2,5 l, dzięki czemu można go opróżniać raz na 30 dni. Podobnie jak roboty konkurencji Deebot T9 tworzy wirtualną mapę mieszkania, która pozwala mu się szybciej poruszać po gęsto umeblowanej powierzchni. Nowy model robota może również pełnić funkcję mobilnego odświeżacza powietrza. Model wyposażony w stację dokującą kosztuje 899 euro, czyli nieco ponad 4 tys. zł. Bez niej cena wynosi 699 euro, czyli 3,2 tys. zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 06d3422e85

Bublem prawnym w deweloperów

Urszula Hofman

Konrad Płochocki

Obecny kształt projektu nowelizacji ustawy deweloperskiej powołującej Deweloperski Fundusz Gwarancyjny (DFG), przyjęty przez sejmową Komisję Infrastruktury, pokazuje, że wnioskodawca - UOKiK, zignorował przedstawiane zarówno w toku konsultacji publicznych, jak i na etapie sejmowym krytyczne raporty czy opinie prawne środowiska branżowego. Według Polskiego Związku Firm Deweloperskich jasno wskazywały one na wiele istotnych zarzutów prawnych, które w wielu miejscach naruszają zasady techniki prawodawczej, zwiększając skalę uchybień i wątpliwości interpretacyjnych

18 marca, podczas pierwszego czytania w Sejmie, prezes UOKiK argumentując konieczność powołania DFG z obowiązkową składką na jego rzecz w wysokości 2 proc. wartości mieszkania, przywołał, że od 2012 r. upadło 150 firm deweloperskich. Miałoby to uzasadnić konieczność wprowadzenia DFG.

DEWELOPERZY I UPADŁOŚCI, KTÓRYCH NIE BYŁO

Dane, które przywołał UOKiK, obejmują przede wszystkim te firmy, które w swoim PKD mają wpisane roboty budowlane związane ze wznoszeniem budynków, działalności deweloperskiej klasyfikacja działalności w ogóle nie rozróżnia.

Polski Związek Firm Deweloperskich szacuje, że w ciągu dziewięciu lat funkcjonowania ustawy deweloperskiej mieliśmy do czynienia z dwoma przypadkami upadłości, przy czym w obu sytuacjach działanie spółek nie było objęte przepisami ustawy deweloperskiej.

JAKIE SĄ INNE ZARZUTY WOBEC PROJEKTU?

Projekt zakłada istotne zwiększanie uprawnień kontrolnych banku, na podstawie których bank będzie mógł wstrzymywać wypłatę środków z rachunku powierniczego. Wystarczy, że wykonawca nie zapłaci podwykonawcy, a ten poinformuje bank prowadzący rachunek powierniczy, że deweloper ma obowiązek mu zapłacić dług wykonawcy. Bank nie będzie analizował, czy należności te są wymagalne, czy nie i po prostu wstrzyma wypłatę.

Ponadto błędnie zredagowane przepisy dopuszczają możliwość usunięcia w trybie zastępczym wady istotnej, co może generować ogromne koszty, jak również ogromne szkody związane z nieprofesjonalnym działaniem.

Zasady przyzwoitej legislacji obejmują między innymi wymaganie określoności przepisów, które muszą być formułowane w sposób poprawny, precyzyjny i jasny, czego niestety temu projektowi brakuje. UOKiK dał wyraz temu chociażby poprzez wprowadzenie do projektu pojęcia „wady istotnej". Na uwagi PZFD wskazujące, że wada istotna ma w istocie charakter subiektywny, ponieważ oceny istotności nie należy dokonywać pod kątem wykorzystania rzeczy zgodnie z jej celem, ale z punktu widzenia kupującego. UOKiK odpowiedział, że „jest to celowy zabieg, który w przypadku ewentualnych wątpliwości interpretacyjnych pozwoli wykorzystać istniejące bogate i ugruntowane orzecznictwo lub doktrynę.

Zatem już z założenia został zaprojektowany przepis, który będzie powodował komplikacje i spory sądowe, co jednocześnie kłóci się z zasadą jasności tworzonego prawa.

„Jasność przepisu oznacza jego klarowność i zrozumiałość dla adresatów, którzy mają prawo oczekiwać od racjonalnego ustawodawcy tworzenia norm prawnych niebudzących wątpliwości co do treści nakładanych obowiązków i przyznawanych praw" (wyrok TK z 11 grudnia 2009 r., Kp 8/09) – niestety, jak pokazuje treść ustawy, dążenie UOKiK do osłabienia za wszelką cenę branży deweloperskiej ma się nijak do powyższych konstytucyjnych zasad państwa prawa.

PODSUMOWANIE

Powyższe pokazuje, że choć w uzasadnieniu projektu UOKiK wskazywał, iż „celem proponowanych rozwiązań nie jest osłabienie branży deweloperskiej […]", to jednak doskonale widać, że projekt ten ma być swoistą karą dla deweloperów za ich, wielokrotnie podkreślane przez prezesa UOKiK, „mięsiste" marże.

Wielką szkodą jest, że finalnie wprowadzenie Funduszu Gwarancyjnego uderzy w nabywców mieszkań, których ceny i tak znacznie w ostatnim czasie wzrosły. Firmy branży deweloperskiej są zaniepokojone tym, co się dzieje na rynku i w jaki sposób UOKiK „walczy" z inwestorami.

PZFD wspólnie z Grupą Inwest oraz tygodnikiem „Wprost" organizuje 21 kwietnia 2021 r. debatę dotyczącą przyszłości branży. Debata dostępna będzie na żywo na stronie internetowej „Wprost".

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest i PZFD

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 06d3422e85

Łukasz Majchrzyk

Kontuzje czasem niszczą kariery, a czasem gwiazdorzy pokazują wówczas jeszcze większy hart ducha

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Ból zwycięstwa

Robert Lewandowski wydawał się niezniszczalny. Od wielu lat walczy na najwyższym poziomie i jest atakowany bez litości przez rywali. Wykonuje sprinty, gwałtowne zwroty, zatrzymuje się w pełnym biegu, wyskakuje do dośrodkowań. Gra w Bundeslidze, Lidze Mistrzów i reprezentacji Polski. Jego ciało musi znosić ekstremalne obciążenia, ale dzięki restrykcyjnej diecie, dbaniu o każdy detal przygotowania fizycznego, pracy na siłowni, odpoczynkowi i dobrej opiece medycznej unikał poważniejszych urazów. Medycyna sportowa w ostatnich latach zrobiła ogromny postęp, a Lewandowski miał do dyspozycji najlepszych lekarzy i umiejętnie korzystał z tej wiedzy.

Kapitan reprezentacji Polski budzi powszechny podziw, bo starał się mieć całą swoją karierę pod kontrolą i długo mu się to udawało. Czasami jednak nawet najmocniejszy organizm mówi „stop", zwłaszcza kiedy do akcji włączy się zwykły pech. Kto mógł przewidzieć, że zawodnik reprezentacji Andory upadnie na nogę Polaka w niegroźnej, wydawałoby się, sytuacji? Od razu pojawiły się komentarze, że można było Lewandowskiemu oszczędzić starcia z tak słabym rywalem i zachować jego zdrowie na dużo poważniejszy mecz, zaplanowany kilka dni później, czyli prestiżowe starcie z reprezentacją Anglii na Wembley. Inni bronili decyzji selekcjonera, przypominając, że zadaniem piłkarza jest granie i inni wielcy zawodnicy też rzadko odpoczywają, bo liczy się zwycięstwo.

Były to jednak komentarze, które już niewiele mogły zmienić. Fakty były takie, że Polacy na Wembley musieli sobie radzić bez Lewandowskiego. Kontuzje i problemy ze zdrowiem są wpisane w sport i nie było jeszcze atlety, który przeszedłby przez karierę bez żadnego urazu.

KOLANO LUBAŃSKIEGO

Kontuzje i choroby nieraz już zmieniały historię światowego sportu. Czasami zabierały szansę na laury i chwałę, a niekiedy dawały możliwość pokazania jeszcze większego hartu ducha. Kreowały też nowych bohaterów. Jeśli gwiazdor się leczył, to często ktoś zajmował jego miejsce.

Polski futbol też miał takie historie, też w tle bywało starcie z Anglikami na Wembley i walka o awans na mistrzostwa świata. Jan Ciszewski, zaczynając relację z meczu Polska–Anglia na Stadio-

eprasa.pl 06d3422e85

nie Śląskim, mówił, że data 6 czerwca 1973 r. zapisze się w historii polskiego futbolu, i miał rację, choć pewnie nie przeczuwał, że aż z dwóch powodów. Biało-Czerwoni jedyny raz jak dotąd pokonali reprezentację Anglii, a jedną z bramek zdobył kapitan Włodzimierz Lubański.

To był Lewandowski swoich czasów, najlepszy piłkarz, gwiazda mediów i ulubieniec kibiców. Miał 27 lat, był już znany w Europie, a dopiero wkraczał w najlepszy dla sportowca wiek. Pewnie zrobiłby też wielką karierę na Zachodzie, gdyby żył w innych czasach. Niestety, dla władz PRL nie do pomyślenia były wtedy wyjazdy polskich sportowców na Zachód, a jeśli ktoś, tak jak Jan Banaś, zdecydował się zrobić to bez zezwolenia, to potem miał kłopoty.

Przez to jednego z najlepszych polskich napastników lat 70. ominął udział w igrzyskach olimpijskich w Monachium w 1972 r. i dwa lata później w mistrzostwach świata. Obie imprezy odbywały się w RFN, a Banasia na pozostanie w Niemczech namówił mieszkający tam ojciec. Taki zawodnik bardzo by się Kazimierzowi Górskiemu przydał. Lubański leczył się po kontuzji zerwania więzadeł w kolanie, a jego rehabilitacja się przedłużała. Organizm wysyłał sygnały ostrzegawcze, ale nie zostały w porę dostrzeżone.

Na ujęciach z tamtego meczu widać, jak słaba była opieka medyczna dla sportowców w tamtych czasach, przynajmniej w Polsce. Lubański padł na murawę i najpierw długo zwijał się z bólu, zanim ktokolwiek pospieszył mu z pomocą. Potem zamieszanie było tak wielkie, że gdzieś zagubili się noszowi i Lubańskiego znosili z boiska koledzy, trzymając go m.in. za uszkodzone kolano. Potem najlepszy polski piłkarz trafił do kliniki w Piekarach Śląskich. Operacja niewiele pomogła i dopiero drugi zabieg, który przeprowadzili lekarze z jednego z wiedeńskich szpitali, pozwolił Lubańskiemu wrócić do gry.

Kontuzja i dramat jednego piłkarza okazały się szansą dla innych. Jan Domarski strzelił na Wembley słynną bramkę, dającą „zwycięski remis" 1:1 i udział w mistrzostwach świata. Na samym turnieju wielką gwiazdą stał się z kolei Andrzej Szarmach, który na wiele lat zastąpił Lubańskiego w ataku reprezentacji Polski.

Pod koniec PRL i na początku lat 90. już tak kolorowo nie było. Polscy kibice chwytali się każdego, nawet chwilowego sukcesu, a jeśli pojawiał się ktoś grający tak efektownie jak Marek Citko z Widzewa, to zostawał bohaterem narodowym. Po golu strzelonym Anglikom na Wembley i świetnych występach w Lidze Mistrzów kariera stała przed młodym piłkarzem otworem. Zgłaszały się kluby z zachodniej Europy, podobno nawet tak wielkie jak Arsenal, Liverpool czy Milan. Jednak właśnie wtedy Citko zerwał ścięgno Achillesa.

I znów, tak jak w przypadku Lubańskiego, można było pewnie tego urazu uniknąć. Piłkarza noga bolała już od jakiegoś czasu, jeździł na zabiegi do Niemiec, ale one niewiele pomogły. Pewnie pomógłby odpoczynek, ale zamiast kilku miesięcy wolnego, Citko dostał zastrzyk, który miał być lekarstwem, a tylko uśmierzył ból. Potem znów były nieudana operacja, długie leczenie i kolejny zabieg. Po wznowieniu kariery Citko już nigdy nie grał tak dobrze jak przed kontuzją.

STOPA BECKHAMA

Były też takie kontuzje i dziwne problemy ze zdrowiem, o których dyskutował cały świat i które przedzierały się nawet do popkultury, tak jak kontuzjowana stopa Davida Beckhama, o której mówi w oficjalnym wystąpieniu brytyjski „premier", grany przez Hugh Granta w filmie „To właśnie miłość".

Żeby dobrze zrozumieć kontekst, trzeba by chyba mieszkać w Anglii na początku lat 2000. Naród, który uważa, że wynalazł piłkę nożną, raz za razem na wielkich imprezach przeżywał rozczarowania. Wielu kibiców liczyło na sukces podczas mistrzostw świata 2002, a tymczasem kilka miesięcy przed startem turnieju Beckham złamał kość w stopie. Jedna malutka kosteczka zajmowała wtedy serca i umysły Anglików, bo do końca nie było wiadomo, czy największy gwiazdor kadry pojedzie na mistrzostwa świata. Poważne gazety szczegółowo informowały o tym, na czym polega taki uraz i jak się może goić.

TAJEMNICA RONALDO

Przed finałem 1998 r. wszyscy czekali na popis Ronaldo. I nagle na trybunie prasowej zrobił się szmer. Dziennikarze dostali składy obu drużyn, a w jedenastce Brazylii nie było Ronaldo. Kilkadziesiąt minut później przyszła korekta, Ronaldo był w składzie, ale na boisku w niczym nie przypominał wielkiego piłkarza. Francja łatwo wygrała tamten finał 3:0.

O tym, co się wtedy stało, nie wiadomo niczego pewnego. Podobno Ronaldo odpoczywał w pokoju hotelowym, kiedy nagle zaczął się dusić i toczyć pianę z ust. Przerażony kolega z drużyny, Roberto Carlos, wybiegł na korytarz, krzycząc, że Ronaldo nie żyje. Zbiegli się wszyscy, piłkarz otworzył oczy i niczego nie pamiętał. Badania nie wykazały niczego groźnego, ale trener Mário Zagallo nie chciał go wystawić. Podobno przekonał (lub może zmusił) go prezydent brazylijskiej federacji. Wiadomo tylko, że niemal przez cały turniej grał na środkach przeciwbólowych.

Wiele lat później, na mundialu w Brazylii, lekarze już takiego błędu nie popełnili, ale turniej potoczył się dla gospodarzy jeszcze bardziej dramatycznie. Neymar doznał kontuzji pleców. Pękł jeden z kręgów i występ ulubieńca kibiców był wykluczony. Zaklinano rzeczywistość i przypominano, że w 1962 r. w najważniejszych meczach Brazylia musiała sobie radzić bez Pelégo, ale niewiele to pomogło. Półfinał z Niemcami zakończył się kompromitującą porażką 1:7. Brazylia płakała i znów przeklinała „pechową" Maracanę, na której straciła w 1950 r. tytuł mistrza świata na rzecz Urugwaju.

Takich historii, pokazujących z jednej strony piękno, a z drugiej dramat sportu, jest więcej i nie tylko w futbolu. Tomasz Gollob mógł zostać mistrzem świata na żużlu już w 1999 r., ale kilka dni przed decydującymi zawodami doznał groźnej kontuzji i potem walczył poturbowany. Na triumf czekał 11 długich lat.

Simon Ammann upadł na skoczni kilka tygodni przed igrzyskami olimpijskimi w Salt Lake City, a potem „zabrał" Adamowi Małyszowi dwa złote medale. Michael Jordan wyszedł na parkiet po zatruciu pokarmowym w jednym z meczów finałowych NBA i choć lekarz mówił, że nie ma mowy, by zagrał, to potem gwiazdor Chicago Bulls rzucił 38 punktów.

Wielcy sportowcy pokazują swoją klasę nie tylko, kiedy są zdrowi, lecz także zwłaszcza wtedy, kiedy los im nie sprzyja. O Lewandowskiego można być spokojnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

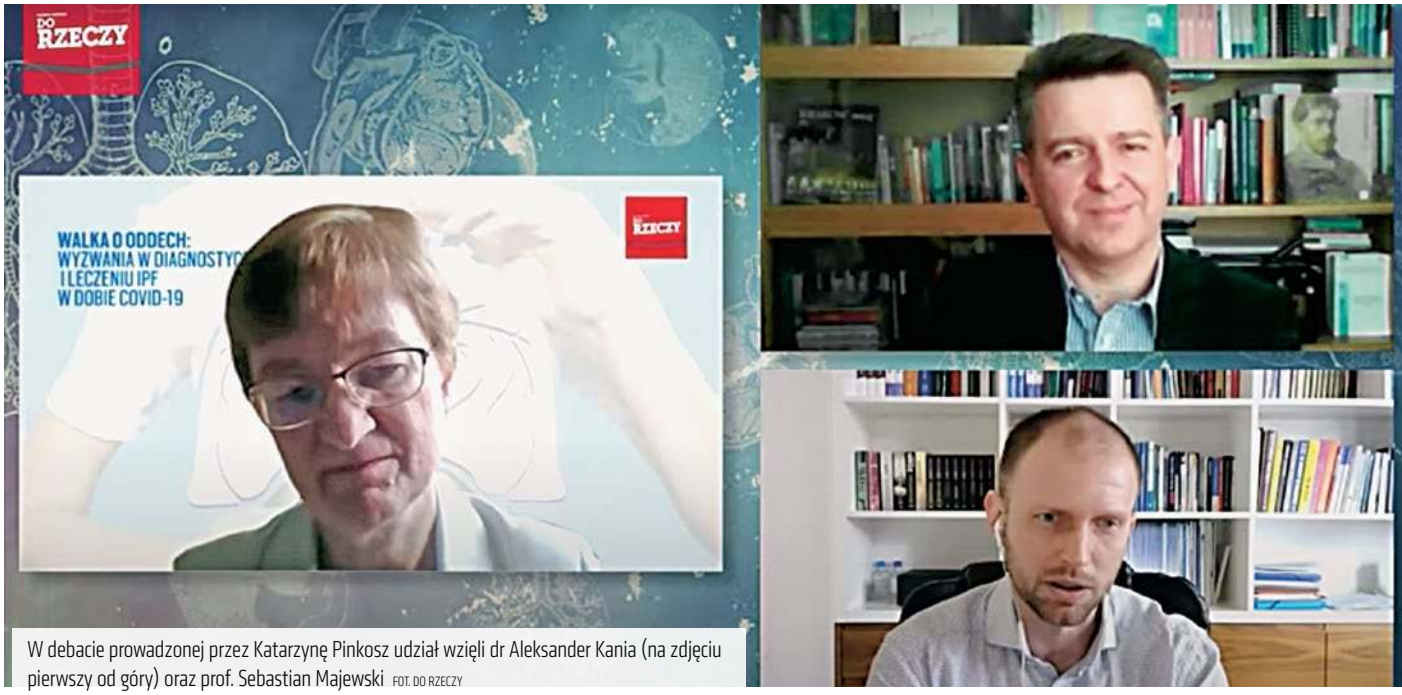

W debacie prowadzonej przez Katarzynę Pinkosz udział wzięli dr Aleksander Kania (na zdjęciu pierwszy od góry) oraz prof. Sebastian Majewski FOT. DO RZECZY

Walka o leki i oddech

Katarzyna Pinkosz

– Czuję się strasznie, kiedy przychodzi pacjent cierpiący na IPF, a ja nie mogę podać mu leczenia, gdyż nie spełnia norm programu. Drugi moment, kiedy czuję się nieetycznie, jest wtedy, gdy muszę odebrać choremu leczenie, bo przestał spełniać kryteria programu – mówił dr Aleksander Kania podczas debaty w „Do Rzeczy" na temat IPF. – Kryteria kwalifikacji chorych powinny się zmienić, nie są zgodne z wiedzą i zaleceniami medycznymi – przekonywał prof. Sebastian Majewski

Idiopatyczne włóknienie płuc (IPF) to rzadka choroba: z nieznanych przyczyn pęcherzyki płucne zaczynają włóknieć. – Dochodzi do mikrouszkodzeń struktur nabłonka pęcherzyków płucnych i nieprawidłowej reakcji naprawczej, co można porównać do postępującego bliznowacenia miąższu płuc. Pojemność płuc zmniejsza się, przez co pojawiają się postępująca duszność, kaszel, a następnie niewydolność oddechowa, która prowadzi do zgonu – tłumaczy prof. Sebastian Majewski z Kliniki Pneumonologii UM w Łodzi.

Choroba powoduje podobne zmiany w płucach co COVID-19, tyle że w zwolnionym tempie. – Są to choroby śródmiąższowe płuc, z tym że COVID-19 ma niewyobrażalnie szybką dynamikę; niewydolność oddechowa może rozwinąć się nawet w ciągu doby. Chory na IPF ma ten sam problem, tyle że zwykle rozwija się on latami, choć zdarzają się również nagłe zaostrzenia – mówi dr n. med. Aleksander Kania, pulmonolog z Kliniki Pulmonologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Szacuje się, że w Polce na IPF choruje ok. 8–10 tys. osób (co roku zapada na nią ok. 2 tys. osób), z czego większość pozostaje przez długi czas niezdiagnozowana. Wynika to z faktu, że objawy choroby są niespecyficzne. Ten problem nie dotyczy tylko Polski, europejskie dane pokazują, że ponad połowa chorych odwiedza co najmniej trzech lekarzy, zanim zostanie postawione prawidłowe rozpoznanie. Od pierwszych objawów do diagnozy upływa zwykle ok. półtora roku. Przez ten czas co najmniej połowa pacjentów ma rozpoznawane inne choroby, np. astmę oskrzelową, przewlekłą obturacyjną chorobę płuc, niewydolność serca. Ścieżka pacjenta do diagnozy trwa długo, choć podejrzenie IPF powinno pojawić się już po dokładnym badaniu: w trakcie osłuchiwania klatki piersiowej można usłyszeć charakterystyczne trzeszczenia, odgłos, który przypomina rozpinanie rzepa – mówi prof. Majewski.

Rokowanie jest niepomyślne: pięć lat od diagnozy przeżywa ok. 30 proc. pacjentów – to mniej niż w przypadku większości nowotworów, m.in. piersi, prostaty czy nerki.

PROGRAM LEKOWY WARTO ZMIENIĆ

Nie ma dziś możliwości wyleczenia IPF, od kilku lat są jednak dostępne leki antyfibrotyczne (przeciwzwłóknieniowe), które hamują proces włóknienia płuc. Udostępnienie tych leków pacjen-

eprasa.pl 06d3422e85

tom było dla wielu chorych przełomem. – Pamiętam, jak trudny był czas, gdy leczenia nie było, a potem jeszcze trudniejszy, gdy było wiadomo, że są leki, ale nie były one jeszcze dostępne w Polsce. Poziom rozgoryczenia i frustracji pacjentów oraz lekarzy był bardzo wysoki. Dzisiaj, chociaż nie jesteśmy w stanie wyleczyć choroby, jednak w wielu przypadkach możemy dać pacjentowi prezent w postaci wydłużenia czasu życia, co jest bezcenne – przekonuje dr Kania.

Aby jednak pacjent został zakwalifikowany do leczenia, musi spełnić określone kryteria czynności płuc. Zostały one ustalone zgodnie z badaniami rejestracyjnymi, w których brali udział pacjenci z łagodną i umiarkowaną postacią choroby. Dlatego obecnie tylko część chorych w Polsce ma szansę otrzymać leczenie. – Program pozwala nam leczyć tylko osoby, które mają łagodną lub umiarkowaną postać IPF. Nadal nie możemy leczyć sporej grupy chorych, chociaż dane z badań obserwacyjnych prowadzonych w różnych krajach pokazują, że korzyści z terapii antyfibrotycznej odnoszą też ciężko chorzy pacjenci z wynikami badań czynnościowych płuc, które dziś nie pozwalają na ich włączenie do programu lekowego – mówi prof. Majewski.

W lutym 2020 r. Polskie Towarzystwo Chorób Płuc opracowało pierwsze polskie wytyczne dotyczące diagnostyki i leczenia IPF. Na podstawie badań i doświadczeń międzynarodowych eksperci postulowali wprowadzenie m.in. dwóch ważnych zmian do programu lekowego. – Pierwsza: leczenie powinno się oferować każdemu choremu, bez względu na stopień uszkodzenia czynnościowego układu oddechowego – mówi prof. Majewski. Druga rekomendowana zmiana dotyczy wyłączania chorych z programu. – Obecnie obowiązuje w nim zapis, który określa, że jeśli chory ma progresję choroby (pojemność płuc spada co najmniej o 10 proc. w ciągu sześciu miesięcy), to nie możemy u niego kontynuować terapii. Tymczasem dostępne dane wskazują, że kontynuowanie leczenia powoduje, iż w kolejnych miesiącach postęp choroby jest wolniejszy, a chorzy żyją dłużej. Program lekowy wymaga pilnych zmian i uwzględnienia stanowiska polskich wytycznych – zaznacza prof. Majewski.

Brak możliwości kontynuowania terapii to ogromny problem etyczny dla lekarzy, którzy wiedzą, że mogliby w ten sposób pomóc chorym. – Niezwykle smutne są historie ludzi, których leczymy czasem wiele lat, a w pewnym momencie choroba szybko postępuje. To trudny moment, kiedy pacjent przestaje spełniać kryteria kontynuacji leczenia w ramach programu lekowego. Czuję się bardzo nieetycznie jako lekarz, bo wiem, że mam lek, który mógłby pomóc, przedłużyłby życie, ale nie wolno mi go dalej oferować – opowiada dr Aleksander Kania. Jak reagują pacjenci, gdy pozbawia się ich terapii? – Depresją, sprzeciwem, buntem. Staram się nie pozbawiać ich nadziei, podaję leki, które działają wspomagająco i poprawiają jakość życia, choć wiem, że nie hamują postępu choroby. Chcę, żeby pacjenci nie mieli poczucia, że są zostawieni sami sobie. Dalej się nimi opiekujemy, staramy się być z nimi do końca – dodaje dr Kania.

Równie trudno jest powiedzieć pacjentowi, że jest „zbyt chory", żeby w ogóle zakwalifikować się do leczenia. – Przychodzą do nas pacjenci ciężko doświadczeni chorobą, ale pełni nadziei, że trafili do ośrodka specjalistycznego, gdzie lekarz im pomoże. Wiem, że leczenie by pomogło, ale nie mogę go podać ze względu na sztywne zapisy programu. To najbardziej niewdzięczne momenty mojego życia zawodowego. I to jest też po ludzku nie fair – zaznacza dr Kania.

PANDEMIA I OPÓŹNIENIE DIAGNOSTYKI

Obecnie w Polsce leki antyfibrotyczne w ramach programu lekowego otrzymuje ok. 900 chorych na IPF w ponad 30 ośrodkach. To ośrodki pulmonologiczne, które dziś leczą również chorych na COVID-19. Nie zawiesiły jednak opieki nad chorymi na IPF. – W pierwszych miesiącach pacjenci często obawiali się do nas przyjeżdżać, rezygnowali z części wizyt. Staraliśmy się przesuwać terminy wizyt kontrolnych, wydawaliśmy leki na dłuższy okres, żeby pacjenci nie mieli przerw w terapii. Później udało nam się wypracować takie mechanizmy i organizację pracy, by bezpiecznie przyjmować chorych w ośrodku. Obecnie przyjeżdżają już do nas regularnie na wizyty – opowiada prof. Majewski.

Podobnie jest w ośrodku, w którym pracuje dr Kania, przy Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie, największym szpitalu leczącym chorych na COVID-19 w Małopolsce. Obydwaj eksperci podkreślają jednak, że przez rok trwania pandemii COVID-19 dramatycznie zmniejszyła się liczba nowych pacjentów kierowanych przez lekarzy rodzinnych na diagnostykę z powodu podejrzenia IPF. – Przyczyn na pewno jest wiele, częściowo pacjenci rezygnowali z wizyt u lekarzy rodzinnych, jednak ogromnym problemami były „zamknięcie się" POZ i teleporady. Lekarz nie postawi podejrzenia IPF podczas teleporady, gdyż chorego trzeba zobaczyć, osłuchać, wysłać na badanie obrazowe płuc – zaznacza prof. Majewski. Obecna sytuacja powoduje, że chorzy jeszcze później będą mieć postawioną diagnozę, gdy ich płuca będą bardziej zniszczone włóknieniem. – Żniwo epidemii COVID-19 będziemy zbierać w kolejnych miesiącach i latach – ostrzega prof. Majewski. U części pacjentów opóźnienie w postawieniu diagnozy może spowodować, że nie będą mieć szans na zakwalifikowanie się do obecnego programu lekowego.

– Pamiętam, jak tuż przed pandemią COVID-19 zostali do nas skierowani przez lekarza POZ dwaj pacjenci z podejrzeniem IPF, którzy mieli tak małe zmiany, że obraz radiologiczny klatki piersiowej był prawidłowy. Lekarz bardzo dokładnie ich osłuchał. Dzięki temu mogli mieć wcześniej włączone leczenie, co przełoży się na ich dłuższe życie. Niestety, obawiam się, że wrócimy do sytuacji sprzed wielu lat, kiedy przychodzili do nas pacjenci z bardzo zaawansowaną chorobą – dodaje dr Kania. W jego ośrodku do leczenia w tym roku udało się zakwalifikować tylko dwóch pacjentów.

Eksperci podkreślają, że trzeba szukać rozwiązań, by przyspieszyć diagnostykę. Apelują do pacjentów, by zgłaszali się do lekarzy POZ, a do lekarzy o dokładne badanie pacjentów i rozważenie wszystkich możliwych przyczyn nieswoistych objawów, jakimi są postępująca duszność i kaszel. – Teleporady świetnie sprawdzają się u pacjentów już zdiagnozowanych, których stan jest stabilny. Jednak każdy nowy objaw kliniczny powinien być sprawdzony przez badanie fizykalne pacjenta – mówi dr Kania. – Czasy, kiedy nie można było pomóc chorym na IPF, są już historią. Dzisiaj mamy dostęp do nowoczesnych, skutecznych terapii. Dlatego konieczne jest szybkie diagnozowanie pacjentów, włączanie ich do leczenia i takie zmiany w programie lekowym, by wszyscy chorzy mogli być leczeni – zaznacza prof. Majewski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 06d3422e85

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Fortalicja kresowe

Czym były tak często wymieniane w źródłach z epoki i opisywane w księgach sądowych „fortalicja kresowe"? Jedni widzą w nich zameczki, inni murowane dwory albo wręcz jakieś pojedyncze fortyfikacje. Ja daję posłuch Władysławowi Łozińskiemu, który w „Prawem i lewem" i „Życiu polskim w dawnych wiekach" określa wyraźnie, że pod wspomnianym określeniem należy rozumieć po prostu dwór otoczony drewniano-ziemnymi fortyfikacjami, które czasem bywały niezwykle silne i rozbudowane w głąb. Dwór oczywiście drewniany, gdyż jeśli był murowany, to dostawał zwykle w aktach przydomek muratum. Z kolei zameczek drewniany, potężniejszy od dworu, o którym kiedyś pisałem w jednym z felietonów, określany był już jako arx.

FOT. MYCHADRE77/ADOBE STOCK

Jak wyglądało takie fortalicjum? Ciekawie, bo trzeba pamiętać, że wiele z dworów, które dziś stoją sobie na środku parku, kiedyś otoczonych było fortyfikacjami mającymi powstrzymać złego sąsiada, Tatara, Szweda, rozbójnika i swawolnego żołnierza. Przede wszystkim sama siedziba szlachecka była umocniona – okna zakratowane, drzwi okute, strzelnice w alkierzach i w dachu. Zwykle otaczały ją okop i ostrokół, czyli palisada, jak w gródku z czasów Piastów, często wszakże był to parkan, czyli drewniany mur z ociosanych kantówek wpuszczonych w szczeliny wkopanych w ziemię palików. Łoziński podaje, że każde fortalicjum musiało mieć przynajmniej jedną basztę – a najlepiej nawet kilka, jak w Drozdowicach, przy dworze starosty przemyskiego Madalińskiego. Było tam ich aż pięć – każda inaczej budowana, co świadczy o nadzwyczaj ciekawym wizerunku tych budowli. Jedna była z jodły, okrągłej, druga z tarcicy, znajdowało się też w niej na górze mieszkanie sługi. Trzecia baszta była wjazdowa, miała dwoje wielkich wrót, mieściła nad wjazdem dużą izbę, a w niej okna z prawdziwymi szybami. Kolejna baszta była zupełnie innej konstrukcji – bo z pruskiego muru, to znaczy konstrukcji z belek, pomiędzy którymi znajdował się chrust wylepiony gliną. Ciekawe, że wieża owa miała jeszcze nadbudowaną dodatkową „baszteczkę", do której wiodły dębowe schody. Dziwne, że prosta konstrukcja wytrzymywała takie nadbudowy.

„Każdy nieco tylko zapaśniejszy szlachcic – pisze Łoziński – choćby jednowioskowy, starał się mieć przy swoim domostwie basztę. Taka baszta bywała zazwyczaj drewniana i służyła do obrony oraz do straży – gdzie nie było baszty, tam chłopi na dachu kolejno odprawowali nocą warty, śpiewając, trąbiąc lub dmąc w piszczałki na znak czujności". I tak we wsi Pisarowice pod Sanokiem stał 400 lat temu dwór, który miał ściany z chrustu polepionego gliną, a jednak miał basztę – a może po prostu lamus, wysoki na cztery sążnie.

Kolejną przeszkodą opasującą fortalicjum był okop – czyli fosa i wał. Zwykle liczył sobie 2 m szerokości, 1,5 m głębokości, a wał mierzył ok. 3 m. Wystarczyło to, aby powstrzymać Tatarów, zwłaszcza najmniejszą wyprawę zwaną „besz-basz", to znaczy „pięć głów", konfederatów albo beskidników, ale nie chroniło przed potężniejszym przeciwnikiem, zwłaszcza całą armią. Bramy w basztach były często murowane i zwodzone, obstawione ostrogami, kobylicami i gankami. Niektóre zaś fortalicja były po prostu prawdziwymi miniaturowymi twierdzami. Łoziński przytacza m.in. opis Ożomli pod Jaworowem, gdzie znajdował się dwór drewniany otoczony ostrokołem z dębowych pali, dodatkowo ogrodzony jeszcze zwykłym płotem. Za tym ostrogiem znajdowało się kolejne podwórze ogrodzone z kolei „tynem", czyli prawdopodobnie parkanem lub murem, wzdłuż którego biegły fosa i wał.

Obronna była sień dworu zaopatrzona w potężne drzwi, zabezpieczane kunami żelaznymi, boczne drzwi zaopatrzone w strzelnice, zamki z antabami. Niektóre dwory, tak jak ten w Nowym Borku pod Rzeszowem, miały ciekawe wyjścia – otóż do ogrodu i podwórza można było dostać się wyłącznie przez zwodzone mosty z dębowych ław, które podnoszone na łańcuchach chowały się w ścianach domostwa. Jak pisze Łoziński, wszystko po to, aby „nie był pierwej Pomagaj Bóg, aniżeli: Otwórz!". Wszystko wskazuje na to, że dwory wzniesione na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej nigdy nie stały samotnie; zawsze bywały w jakiś sposób obwarowane, gdyż po prostu… nie przetrwałyby licznych wojen, zajazdów i najazdów. Z kolei w zachodniej części Korony spotykano dwory na kopcu, wznoszone jak rycerskie siedziby, i to w XVIII w., kiedy obronność miejsca nie miała już takiego znaczenia. O nich będę jeszcze pisał. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

POSEŁ MILEWSKI POLECA SÓJKĘ MAZOWIECKĄ

Rarytasem charakterystycznym dla gminy Cegłów w powiecie mińskim, skąd pochodzę, są zapiekane pierogi z cienko rozwałkowanego ciasta wypełnione kapustą, boczkiem lub słoninką, kaszą jaglaną i grzybami, zwane powszechnie „sójkami mazowieckimi". Dla lepszego efektu wizualnego przed włożeniem sójek mazowieckich do pieca niektórzy smarują je rozbełtanym jajkiem, wtedy nabierają połysku, ale nie jest to konieczne. Pierogi przygotowuje się od początku do końca ręcznie według tradycyjnych przepisów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Sójka mazowiecka należy do potraw niedrogich, łatwych do przyrządzania, pożywnych i bardzo smacznych. Powstaje na bazie surowców często pochodzących z własnego gospodarstwa. Przepisy przyrządzania tego wyjątkowego produktu mają ponad stuletnią tradycję.

Składniki:

Ciasto:

- 500 g mąki
- ok. 2/3 szklanki ciepłej wody
- 4 łyżki oleju
- 20 g drożdży
- łyżeczka cukru
- sól
- ewentualnie jajko do smarowania

Farsz:

- szklanka kaszy jaglanej
- garść suszonych grzybów (u mnie borowiki i podgrzybki)
- 500 g kiszonej kapusty
- cebula
- 200 g surowego boczku lub słoniny (u mnie boczek wędzony)
- sól, pieprz
- olej
- liść laurowy

Przygotowanie:

Farsz:

Grzyby zalewamy wodą i moczymy przez noc, następnego dnia je gotujemy, a po wystudzeniu drobno siekamy. Kaszę gotujemy tak jak zwykle. Kapustę gotujemy do miękkości z liściem laurowym. Cebulę kroimy, podsmażamy na oleju, dodajemy boczek. Dorzucamy ugotowaną kaszę, pokrojone grzyby i kapustę. Doprawiamy solą i pieprzem.

Ciasto:

W wodzie rozrabiamy drożdże, dodajemy cukier i odstawiamy do wyrośnięcia. Mąkę przesiewamy, dodajemy sól, olej i drożdże. Odstawiamy do wyrośnięcia na ok. półtorej godziny. Wałkujemy ciasto, wykrawamy krążki, kładziemy farsz, zalepiamy. Robimy falbankę. Smarujemy rozbełtanym jajkiem. Pieczemy ok. 40 min w temperaturze 180 st. C. ©℗

oprac. raw

FOT. KRZYSZTOF STANISZEWSKI

Daniel Milewski jest posłem PiS.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Duch czasu i kucharz

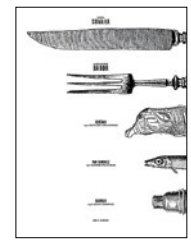

Istnieją specjalne placówki naukowo-badawcze, których zadaniem jest ustalenie na podstawie badań naukowych zasad prawidłowego żywienia [...]. Na stan i sposób odżywiania wpływają w znacznej mierze zasoby i możliwości surowcowe, a przede wszystkim rozmiary, charakter i kierunek rozwoju produkcji rolniczej. [...] idzie nie tylko o zwiększenie rozmiarów produkcji rolniczej, lecz także o znaczną poprawę jakości produktów".

Oto kilka cytatów z monumentalnego dzieła (760 stron) pt. „Kuchnia polska" (Wydanie XV poprawione, PWE, 1971). Autorów jest 10, nie wymienię wszystkich, każdy z tytułem magistra, inżyniera, a jeden nawet profesora. Jest to moja pierwsza książka kucharska, dostałam ją od teściów jako młoda mężatka. Szczerze mówiąc, bardziej przypomina podręcznik dla studentów agrotechniki niż książkę, z której można się dowiedzieć, jak ugotować zupę.

Nie tylko wstęp, lecz całość napisana jest twardą nowomową rodem z zeszytów plenum KC. Nie wiadomo, do kogo się zwraca – do ucznia technikum, pracownika zakładu gastronomii uspołecznionej, kucharza w restauracji. Na pewno nie do kobiety, która stoi bezradna w kuchni i musi ugotować obiad. Otrzymuje drętwe przepisy, raczej receptury z gramaturami precyzyjnie odważonymi w laboratorium Instytutu Żywności i Żywienia. Przez utytułowanych naukowców ma się rozumieć. Czy ktoś z autorów w ogóle coś kiedyś ugotował? Czterdzieści lat spędziło to dzieło na mojej półce w kuchni i nigdy z niego nie skorzystałam.

Tak, duch czasu jest też w czymś tak przyziemnym jak książka kucharska. Oto zaprzeczenie powyższego dzieła – „Suwała, Baron i inni. Przepisy i opowieści", praca zespołowa, Zeitgeist 2021, Wydawnictwo Dwie Siostry. Ile razy wezmę ją do ręki, tyle razy rwałabym się do gotowania, choć sama jej lektura jest wystarczająco smaczna. Nie tylko dzięki pięknej, nowoczesnej i subtelnej szacie graficznej. Czy to zasługa Piotra Szczęsnego, pomysłodawcy książki i koordynatora wydania, fotografa, czy wydawcy – nie wiem, ale finis coronat opus. Wyszło wspaniale. Zdjęcia, zarówno potraw, jak i autorów – naturalne, czarno-białe, niewysilone. Kto wpadłby na pomysł sfotografowania nakrętek do słoików? Superzdjęcie. A przepisy? A opowieści? Jest o mięsie, o chlebie, warzywach, rybach, zupach, deserach. Gdybym z dziesiątek tego, co leży przy wejściu do empiku, miała wybrać jedną jedyną książkę kucharską, wybrałabym tę. Zabrać na bezludną wyspę też bym mogła. Ale, zapomniałam, to zbyt ambitna książka dla Empiku. ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Wielka śmieciówka

Jak powszechnie wiadomo, w sytuacjach ekstremalnych prędzej czy później następuje odrzucenie norm cywilizacyjnych, a ludzie zaczynają robić rzeczy, których sami po sobie się nie spodziewali. Organizują pogromy i rzezie, dokonują aktów kanibalizmu albo piszą donosy do gestapo.

Historia pełna jest takich wydarzeń, a w literaturze takie zjawisko pięknie opisał William Golding w powieści „Władca much". Jeśli ktoś nie czytał, szczerze polecam: grupa młodych chłopców z dobrej szkoły w wyniku katastrofy zostaje uwięziona na bezludnej wyspie. Zaczyna się jak niezła książka przygodowa w stylu Juliusza Verne'a, ale potem fabuła zmierza w innym kierunku. Drastycznie innym.

No i można powiedzieć, że ta nasza pandemia to właśnie taka sytuacja. Daleko jej jeszcze do ekstremalności. Ale bez wątpienia dla sytych, dostatnich, hedonistycznych i raczej beztroskich społeczeństw jest to moment przynajmniej niecodzienny. Trudno nazwać udręką to, przez co przechodzimy (mam tu na myśli oczywiście społeczeństwa, a nie jednostki i rodziny dotknięte chorobą), ale mieszanka izolacji, ograniczeń, brzydkiej pogody, maseczek i zaparowanych okularów powoduje, że czasem temu i owemu coś pęka. Zdarzały się już wypadki nokautowania ludzi, którzy domagali się zakrycia nosa w sklepie, ale na szczęście akty przemocy są bardzo rzadkie. Znacznie potężniejszym symptomem tego, że zachowujemy się nieco inaczej niż w „normalnych czasach", są śmieci. Na razie nie ma rzezi i kanibalizmu, ale są śmieci.

Warszawa stała się przygnębiająco zaśmieconym miastem. Czasem ten czy ów polski patriota wrzuca do sieci filmiki ukazujące zasyfiony przez muzułmańskich imigrantów Paryż. Niestety, czas, kiedy mogliśmy się czuć pod tym względem lepsi, przeminął – mam nadzieję, że niebezpowrotnie. Ludzie, którzy chcą się spotkać ze znajomymi i wypić drinka, zostali pozbawieni knajp i barów. Nie każdy może zaprosić zacną kompanię do własnego lokum. W związku z tym już nie tylko żule i dresiarze, lecz także całkiem zwykli obywatele imprezują na osiedlowych skwerkach i w parkach. Ale po dziadersku krew mnie zalewa, kiedy brodzę w porzuconych przez imprezowiczów małpkach, pogniecionych puszkach i potłuczonych flaszkach posypanych dekoracyjnie srebrzystymi opakowaniami po chipsach. Tak, trzeba się napić! To bezsporne. Ale obywatelu – sprzątaj nie tylko po swoim psie, ale i sobie samym!

Tym bardziej że to łatwe. Większość miejskich pobojowisk imprezowych położonych jest na terenach wprost upstrzonych koszami na śmieci. Ale jakoś uznaliśmy, że „ciężkie czasy" zwalniają nas z wrzucania pustych flaszek do śmietnika. Że skoro kiedyś gwałcono i palono, to my chociaż ciepniemy na trawnik jednorazowe kubeczki – będzie tak bardziej apokaliptycznie. A jest jedynie brudniej. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Hołownie na antypodach Europy

Małgośka, mówią mi, co myślisz o Hołowni? Ale o którym? – pytam. – O tym, który stacjonował w telewizjach śniadaniowych, o tym, który nauczał z ambony, czy o tym, który teraz sprytnie udaje męża stanu i żony pilotki? Ja wolę o nim nie myśleć, wszystko mi psuje, nawet z daleka od ojczyzny.

Chodzę ci ja w styczniu kolejny raz po muzeum Prado, ale tym razem wszędzie Hołownię widzę! Choć przecież ani van Eyck, ani van der Weyden nie malowali faceta od Polski 2050, tylko ideał średniowiecznej kobiecej urody: te wysokie, wypukłe czoła, te depilowane brwi, te wąskie usteczka, jasna cera i grube powieki. Więc mówię do kolegi Rafaela: „Uciekajmy stąd, bo ja w Madonnach Hołownię widzę!". „Jaką holouvñe?" – pyta zdziwiony, więc ja mu wyjaśniam, że to jest polska Inés Arrimadas – tyle że w spodniach. A chłop aż się za głowę złapał, bo myślał, że Polacy, naród północy, nie dają się nabrać na elokwentne wydmuszki.

Wolę o nim nie myśleć. Hołownia wszystko mi psuje, nawet z daleka od kraju

Więc wyżaliłam mu się i pokazując na jedną taką z obrazu, mówię: nasza Hołownia robi to samo co wasza Inés, jak była na fali w 2017 r.! Nawet Polska 2050 ma logo podobne do jej „Obywateli". I to wszystko, co obiecuje, to jak z kserokopiarki. Ta sama gadka, że naród podzielony, ale oto przyszła Hołownia jak deus ex machina i z podziałów uleczy. I ten sam spektakl krasomówstwa aż do mdłości: jacy to oni profesjonalni, proeuropejscy. „I też się zalecają do Macrona i proszą o dyrektywy z Paryża?" – pyta Rafael. „No nasza Hołownia za ścisłą współpracą z Berlinem i Paryżem". „I że konstytucja najważniejsza?" – dopytuje Rafael. „No ba! Wasza tylko powtarza w kółko o wartościach konstytucyjnych, ale nasza Hołownia nawet spazmuje nad konstytucją. Poza tym wasza Inés jest jednak atrakcyjną kobietą, co usprawiedliwiało jakoś jej sukces wyborczy". „Uroda to nie problem – mówi Rafael, po prostu Holouvña będzie musiała się wyrzekać dwa razy szybciej swoich zasad i pryncypiów. Resztę załatwi religią klimatyczną i ukochaniem zwierzątek!". Spojrzałam podejrzliwie na Rafaela i pytam: „Skąd to wiesz?!". „Nie zapominaj, 29 lat w policji na ulicach Madrytu, zabiliby mnie, gdybym nie umiał wyprzedzać ruchów przeciwnika. A politycy, no przynajmniej w Hiszpanii, to moja działka – czyli przestępczość lub… podstępność zorganizowana". ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nałkowska za żółtymi firankami

JOANNA SIEDLECKA

Nowa, komunistyczna władza, „ekipa pastuchów i rabinów", jak nazywał ją Tyrmand, szukała gorączkowo legitymizacji. Jej najważniejszą i pierwszą zdobyczą była znakomita pisarka Zofia Nałkowska. Chociaż większość pisarzy, zwłaszcza tej miary, na akces do komunistów jeszcze się nie decydowała, to ona została posłanką do samozwańczego, komunistycznego „parlamentu", Krajowej Rady Narodowej (powołanej już w nocy z 31 grudnia 1943 r. na 1 stycznia 1944 r. pod przewodnictwem Bolesława Bieruta), a w 1947 r. do komunistycznego Sejmu. Była członkiem komisji konstytucyjnej, przygotowującej dyktowaną przez Stalina nową, socjalistyczną konstytucję i nieprzynoszące jej chluby ustawy, np. o zmianie nazwy Katowic na Stalinogród (mimo że obwinia się o nią Gustawa Morcinka, który ją tylko przeczytał w Sejmie).

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

„Wybierają mnie wszędzie zaocznie" – skarżyła się. Nigdy bowiem nie odmawiała, przyjmując kolejne funkcje: prezesa albo tylko członka Komitetu Obrońców Pokoju, Ligi Walki z Rasizmem, Zarządu Ligi Kobiet, Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Gorliwie wypełniała też „obstalunki" nie tylko „Trybuny Ludu", lecz także nawet prowincjonalnych gazet, zamawiających u niej wypowiedzi z okazji śmierci Stalina, urodzin Bieruta, przyjazdu Wandy Wasilewskiej. Bywała wszędzie tam, gdzie ją zapraszano, np. na wiecu przeciw wojnie w Korei.

Dzięki ojcu, wybitnemu geografowi Wacławowi Nałkowskiemu, zwolennikowi PPS, wyniosła z domu poglądy socjalistyczne, a nie komunistyczne. O jej akcesie zadecydowała więc prawdopodobnie chęć ponownego bycia na świeczniku, prowadzenia, tak jak przed wojną, światowego życia, wizyt w Belwederze, rautów i bankietów. Pierwsza dama sanacji, elegancka, w futrze z norek, błyszcząca światową ogładą, znająca języki została więc pierwszą damą komunistycznej władzy. Odpowiednio, oczywiście nagradzaną, obwieszoną wszystkimi możliwymi odznaczeniami, m.in. Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski i dopiero w 1953 r. Nagrodą Państwową w dziedzinie literatury, na którą od dawna czekała.

W Łodzi otrzymała przeszło stumetrowy, luksusowy, poniemiecki apartament w Domu Literatury, gdzie bywała rzadko, ze względu na liczne, zwłaszcza poselskie, obowiązki. W Warszawie obdarowano ją więc kolejnym mieszkaniem w odbudowanym Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Dzięki niej mieszkanie w stolicy dostali też jej siostra Hania i kochanek, a formalnie sekretarz – Bogusław Kuczyński, których właściwie utrzymywała. Wysokie dochody zapewniały jej poselska pensja oraz diety (o które ciągle się bała, mogły się przecież urwać), a także imponujące nakłady („Granicy" np. w masowym, gazetowym 50-tysięcznym wydaniu), najwyższe autorskie stawki, wznowienia, tłumaczenia na niemal wszystkie, zwłaszcza socjalistyczne, języki. Mogła więc np. pozwolić sobie na miesięczną kurację w najbardziej ekskluzywnym sanatorium w Marienbadzie (Mariańskich Łaźniach), najpiękniejszym czeskim kurorcie. Z Łodzi do Warszawy wożono ją rządowym, czarnym chevroletem, limuzyną z żółtymi firankami. W Warszawie miała zawsze do dyspozycji auto i kierowcę Związku Literatów.

Wyjeżdżała często na zamknięty wtedy dla Polaków Zachód, np. w 1946 r. razem z Iwaszkiewiczem do Paryża, mieszkali w luksusowym hotelu Ritz, „w którego holach i salach restauracyjnych przewalał się cały przepych Paryża" – pisała w swoich dziennikach. Nigdzie też, w żadnej kawiarni, nie mogła dostać rachunku, za wszystko płaciło MSZ. Jeździła też do tzw. demoludów, do Pragi, Moskwy (którą była zachwycona, zwłaszcza bankietami z ulubionymi pisarzami Stalina: Fadiejewem, Erenburgiem, Simonowem, bogato zastawionymi stołami, „choć sama jadła tylko kawior i jesiotra z rusztu, piła wino i bruderszafty, przemawiała").

Jako laureatka Nagrody Państwowej, a wcześniej dzięki zgodzie ministra zdrowia, korzystała z lecznicy rządowej dla partyjnych i rządowych dygnitarzy przy ul. Emilii Plater, była pacjentką znakomitego prof. Mieczysława Fejgina, nadwornego lekarza władzy, brata wysokiego funkcjonariusza MBP. Gdy w 1947 r. zachorowała poważnie na zapalenie płuc, uratowała ją niedostępna w Polsce penicylina z kliniki rządowej, bo tylko tam Ministerstwo Zdrowia sprowadzało ją za grube miliony. Słyszała, że mówią o niej „dama czerwonego dworu", dostawała listy i telefony grożące jej śmiercią, ale nie wywoływało to u niej żadnej refleksji. Chyba tylko raz napisała w dzienniku: „Najpierw robią z człowieka szmatę, a potem nią powiewają". ©℗

eprasa.pl 06d3422e85

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

KUPIĆ KOLONIĘ

Mam tu na prerii sejf. Wszyscy mamy – w każdym domu, gdzie jest broń, a broń jest… w każdym domu BEZ WYJĄTKU. Ja kupiłem stary sejf bankowy, bo mi się podobał jako „mebel". Ma wielkość szafy i wchodzi do niego wiązka strzelb i karabinów, skrzynka amunicji, a do tego człowiek, gdyby chciał się tam schować. (Od razu Państwu powiem, że chowanie się w sejfie to GŁUPI pomysł. Co innego za sejfem – gdy strzelają).

Mam też kilka skrytek w różnych punktach na mojej ziemi – wojskowe skrzynki na amunicję, wodoszczelne i dobrze ukryte. Tak się zachowują preppersi, a teraz tu wszyscy pozamieniali się w preppersów. Na wszystkich ranczach dookoła, po tym, jak Biden zlikwidował granicę z Meksykiem. Do strzelanin nie dochodzi wyłącznie dlatego, że my tu WSZYSCY uzbrojeni po zęby i meksykańskie kartele o tym wiedzą i omijają nas bokiem.

***

Mam więc w domu sejf, który jest przy okazji śliczny i ozdobny, bo kupiłem go, gdy likwidowali jeden ze starych banków. Trzymam w nim część broni – tę, której nie trzymam akurat przy sobie, na biurku, w kuchni, przy pasku, przy drzwiach, w samochodzie, nad drzwiami do szopy oraz w kilku innych strategicznych miejscach. Poza bronią, której akurat dzisiaj nie używam, trzymam tam też wszystkie paszporty i trochę różnych walut.

Mam paczkę forsy peruwiańskiej, bo kręciłem odcinki „Boso przez świat" w Peru i trochę mi zostało, a pewnie niedługo polecę znowu. Mam paczkę forsy meksykańskiej, bo często jeżdżę. Mam walutę paragwajską, bo tam robię interesy na yerbie i matero. Mam różne waluty, a do tego mam też stare dolary papierowe oraz monety w złocie i srebrze. Na tych starych dolarach z papieru napisano ZOBOWIĄZANIE: na każde żądanie rząd amerykański wymieni ten papierek na prawdziwe złoto.

***

Kiedyś na świecie obowiązywał parytet złota. Znaczyło to tyle, że z papierowym banknotem mogłeś iść do banku i odebrać równowartość w złocie. Władzy (rządowi ani królowi) nie wolno było drukować więcej papierków, niż wynosiło aktualne pokrycie w złocie. Każda władza MUSIAŁA być ZAWSZE wypłacalna. A potem politycy wpadli na pomysł, że to niedobre, i rządy na świecie zaczęły drukować papiery w liczbie… tyle, ile chciały. I tak jest dzisiaj. Rząd w Polsce drukuje tyle pieniędzy, ile uważa za potrzebne. Kto to ocenia? On sam.

Ekonomista wybitny (były doradca Trumpa) stwierdził, że skoro władza drukuje sobie tyle pieniędzy, ile tylko chce, to nie powinna zbierać podatków. Zawsze, gdy im jest na coś potrzebna forsa, niech sobie ją wydrukują, a nie zabierają obywatelom. Logiczne.

***

Przed wojną mieliśmy (my – Polska) rezerwy złota i udało się je w porę ewakuować, dzięki czemu nie zrabowali ich Hitler ani Ruscy. Od tamtego czasu leżały w Banku Anglii, a ostatnimi laty zaczęliśmy to złoto zwozić do kraju. W roku 2008 okazało się, że giełda to nie jest bezpieczna inwestycja, podobnie jak trzymanie rezerwy w walutach zagranicznych, których wartość skacze, i żaden rząd nie panuje nawet nad własną walutą. Po roku 2008 jedni po cichu, inni jawnie zaczęli znowu złoto gromadzić. Chiny, Rosja, Indie... Dziś, kto ma rezerwy w złocie, tego się na rynkach zagranicznych wyżej ceni. Wniosek z tego, że w interesie Polski jest złoto kupować i trzymać rezerwę na ciężkie czasy nie w papierach nic niewartych, lecz w złocie.

Tylko gdzie to trzymać fizycznie, żeby było bezpieczne?

Węgry sprowadziły swoje złoto z Londynu do kraju. Podobnie Niemcy z Paryża i Nowego Jorku. Holandia zrobiła to po kryjomu w roku 2014 – 100 ton wróciło z USA. Austria z kolei nie wierzyła, że jej złoto istnieje fizycznie w Banku Anglii – uważała, że Brytole mają jedynie zapisy na papierze, a złota fizycznie trzymają mniej, niż zapisali, no bo przecież wszyscy właściciele naraz po swoje złoto nie przyjdą, to częścią CUDZEGO złota pohandlujemy. Dlatego Austria zażądała, by zwrócić wszystko do Wiednia.

A co powinna robić Polska? Jesteśmy na linii moskiewskiego frontu, więc trzymanie tego w Warszawie jest ryzykowne. W Londynie też niedobrze – warto zabrać, zanim się okaże, że Austria ma rację. Gdzie to trzymać?

Mój dziadek przed wojną był aktywistą Ligi Morskiej i Kolonialnej, a Liga zajmowała się szukaniem dla Polski jakiejś zamorskiej kolonii. Rozważaliśmy zakup Madagaskaru od Francji, prowadziliśmy rozmowy w Afryce, w Argentynie. Przyszła wojna, wszystko przepadło. A proszę sobie wyobrazić nasz los wojenny i powojenny, gdyby Polska miała terytorium zamorskie. Złoto nie musiałoby uciekać do Londynu, rząd nie byłby rządem na emigracji, a Polacy uciekający na Zachód nie musieliby prosić o azyl, lecz jechaliby do polskiej kolonii.

Do tej koncepcji można wrócić teraz. Absurdalne? O nie!

***

Europie grozi wojna – islam jest groźny, Putin też groźny, także CHINY. A na Karaibach są wyspy na sprzedaż. Są na świecie małe kraje, które chętnie sprzedałyby się jako kolonia (to może się nazywać dowolnie – Rzeczpospolita Obojga Narodów). Bieda, nędza i 100 tys. wyspiarzy, którzy bardzo chętnie staną się obywatelami RP, bo to im daje obywatelstwo w Unii Europejskiej. To nie jest koncepcja absurdalna i niewykonalna. Jesteśmy w stanie przejąć (kupić, zjednoczyć się) mały kraik zamorski o populacji 100 tys. mieszkańców. Jesteśmy w stanie to uciągnąć gospodarczo. Ba – jesteśmy w stanie tam zarobić choćby na turystyce, a oni dzięki temu poprawiliby swoją sytuację.

I co nam to daje poza dobrym interesem? Bezpieczeństwo narodowe, bo część złota trzymamy daleko od Warszawy – na zamorskim terytorium RP. A na wypadek wojny w Europie mamy dokąd uciekać. Tylko… do tego typu operacji, koncepcji, wizji potrzebny byłby w Polsce ktoś taki jak Trump. Postać taka, jaką był Piłsudski, lub przynajmniej prezydent Mościcki. (Kolonie zamorskie ma wiele państw członków UE!). ©℗

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

eprasa.pl 06d3422e85

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

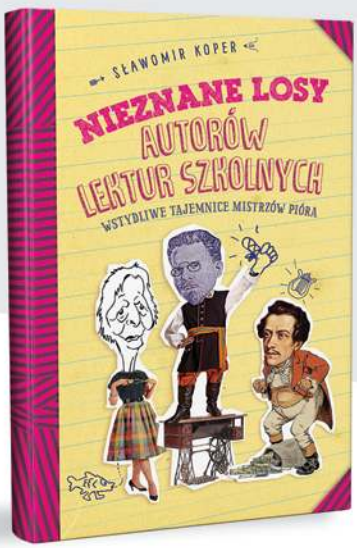

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

S. KOPER
„NIEZNANE LOSY AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~209~~ ZŁ

192,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 107 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 06d3422e85

Kup

KUBEK TERMICZNY

za 39,99 zł i odbierz

MAŁĄ KAWĘ

w cafe punkt

Każda kolejna kawa
#zwłasnymkubkiem
1 zł TANIEJ

+200 pkt.
navigator

LOTOS

Promocja trwa od 01.03 do 31.05.2021 lub do wyczerpania zapasów kubków.
Szczegóły w regulaminie na lotos.pl

eprasa.pl 06d3422e85